

MERLIN



KSIEGA 2

SIEDEM PIEŚNI

T. A. BARRON

Zachwycająco oryginalna opowieść z krainy magii i mitu.

– School Library Journal



MERLIN

KSIĘGA 2

SIEDEM PIEŚNI

The Seven Songs of Merlin

T. A. BARRON

Przełożył

Patryk Gołębiowski

Książkę tę dedykuję

CURRIE

która śpiewa swoje życie,

jakby było wersem z siódmej Pieśni

i dwuletniemu

ROSSOWI

któ r ego wzrokiem jest serce

OD AUTORA

Czasami, tuż przed świtem, nie śpię i nasłuchuję. Szumiących na wietrze gałęzi topoli.

Cichego pohukiwania wielkiego puchacza. I, z rzadka, szepczącego do mnie głosu Merlina.

Zanim w ogóle udało mi się go dosłyszeć - a co dopiero na tyle wyraźnie, żeby zrozumieć opowieść o jego nieznannej młodości - musiałem się nieco poduczyć. I wielu rzeczy oduczyć.

Przede wszystkim musiałem się nauczyć słuchać z uwagą, nie tylko wykorzystując zmysł słuchu. Czarodziej ten umie bowiem zaskakiwać.

Merlin. Nieznane lata, pierwszy tom cyklu, ujawniał niesamowite wydarzenia, które wpłynęły na

jego życie. Dlaczego o tych latach nie wspomina kanon opowieści o Merlinie i dlaczego wychodzą one na światło dzienne dopiero teraz, wiele wieków później? Odpowiedź

może mieć związek z wielkimi zmianami - którym towarzyszył ogromny ból - jakich doświadczył wówczas Merlin. Jednak lata te okazały się wyjątkowo ważne dla kogoś, kto pewnego dnia został mentorem króla Artura.

Historia nieznanego lat Merlina zaczyna się, kiedy jako chłopiec trafia on półżywy na urwiste wybrzeże Walii. Morze zabrało mu wszystko, co miał. Nie mając pojęcia, że pewnego dnia zostanie najpotężniejszym czarodziejem wszech czasów, leżał dręczony przez cienie przeszłości, której nie potrafił sobie przypomnieć.

Stracił bowiem pamięć. Dom. I imię.

Aby poczuć koszmar, a zarazem nadzieję, które przyniósł ze sobą tamten dzień, posłuchajmy, jak ujął to wtedy sam Merlin:

Kiedy zamykam oczy i oddycham w rytm wzburzonego morza, nadal pamiętam ten odległy dzień. Surowy, zimny i bez życia. Było w nim tak mało nadziei jak powietrza w moich płucach.

Od tamtego dnia widziałem wiele innych, więcej, niż mam siłę zliczyć. Jednak tamten dzień lśni tak jaskrawo jak sam Galator, tak jaskrawo jak dzień, w którym odnalazłem swoje imię, albo dzień, kiedy pierwszy raz kołysałem dziecię o imieniu Artur. Być może pamiętam ten dzień tak dobrze, gdyż ból, niby blizna na mojej duszy, nie chce zniknąć. A może dlatego, że wyznaczył on zarówno początek, jak i koniec: początek moich nieznanego lat.

Teraz czas na dalszy ciąg historii młodego Merlina. Choć zgłębił tajemnicę Tańca Olbrzymów, czeka go jeszcze mroczna seria zagadek. Nie wiadomo, czy uda mu się rozwikłać je na czas. Wyzwanie jest wielkie. Choć Merlin odnalazł w sobie ukryte moce, daleko mu do panowania nad nimi. Choć zapoznał się z mądrością druidów, Greków i Celtów, dopiero zaczyna ją rozumieć. I choć odkrył swoje imię i zapowiedź swojego przeznaczenia, nie odgadł wszystkich sekretów swojej osobowości.

Krótko mówiąc, nie rozumie jeszcze, co to znaczy być czarodziejem.

Jeżeli młody Merlin chce odnaleźć w sobie czarodzieja, to, mimo iż stracił już dużo, musi stracić coś jeszcze. Jednak po drodze być może coś w zamian zyska. Być może w końcu pozna prawdę o swojej przyjaciółce Rhii. Może uchwyci różnicę między wzrokiem a wglądem. Być może nawet, ku swojemu rozczarowaniu, dowie się, iż ma zarówno jasną, jak i mroczną stronę, oraz przekona się, tym razem z radością, że posiada rzekomo wykluczające się nawzajem cechy: młodość i dojrzałość, męskość i kobiecość, śmiertelność i wieczność.

Legendarni bohaterowie niekiedy pokonują trzy poziomy: osobowości, świata i Zaświata. Najpierw muszą odkryć ścieżki swojej duszy. Następnie muszą zatriumfować nad wrogami istot ziemskich. I na koniec muszą stawić czoło niebezpieczeństwom i różnorodności świata duchów. W pewnym sensie Merlin narusza ten klasyczny układ, gdyż usiłuje wybrać się do Zaświata już w tej książce, czyli w zaledwie drugim tomie cyklu. Ale Merlin, jak widzieliśmy, nie zawsze radzi sobie z przestrzeganiem

zasad. Tak naprawdę w tej książce, podobnie jak w pozostałych, Merlin będzie zgłębiał wszystkie trzy poziomy naraz.

Jednak to Zaświat, domena duchów, będzie kluczowy dla jego zadania. Tajemnicze miejsce, gdzie nieczęsto goszczą śmiertelnicy, pełne niebezpieczeństw, choć zarazem inspirujące. Jeżeli Merlinowi uda się opanować Siedem Pieśni Magii, pokonać te same siły, które zgubiły jego dziadka, i odkryć tajemnicę Studni do Zaświata, być może dotrze do krainy duchów. I wtedy będzie go czekało spotkanie z enigmatycznym Dagdą i zdradzieckim Rhitą Gawrem... jak również tym, w co przemienił się jego wierny przyjaciel Kłopot.

A w trakcie wyprawy może dowie się czegoś więcej. Jak napisał kiedyś W. B. Yeats, ludzkość od zawsze szuka wspólnej płaszczyzny z porządkiem kosmosu, by „scalić postrzeganie ducha, boga i piękna natury”. Dlatego młody Merlin, który pierwszy raz doświadczył ożywczej mocy na gałęziach miotanego burzą drzewa, będzie poszukiwał

takiego właśnie zjednoczenia na swojej krętej ścieżce ku magii.

Ta część podróży Merlina zaczyna się w miejscu, gdzie poprzednia się skończyła, na legendarnej wyspie Fincayrze. Celtowie wierzyli, że to podmorska wyspa, przystanek między światem ludzi a Zaświatem. Grecy nazywali ją *omphalós*. Ale najlepiej opisała Fincayrę matka Merlina, która nazwała ją po prostu pograniczem - czymś pomiędzy. Na podobieństwo mgły, która nie jest ani wodą, ani powietrzem, Fincayry nie da się nazwać ani krainą śmiertelników, ani istot wiecznych. To coś z pogranicza.

Merlin jest również kimś z pogranicza. Nie jest w pełni człowiekiem, ale nie jest również bogiem. Nie jest stary, ale nie jest naprawdę młody. Carl Jung uznałby go za intrygującą postać, gdyż mityczne moce Merlina mają swoje źródło zarówno w warstwie świadomej, jak i w podświadomości, podobnie jego mądrość wypływa tak z natury, jak i kultury.

To nie przypadek, że większość dawnych opowieści o Merlinie przypisuje mu świętą matkę i demonicznego ojca, będących metaforami jasnej i mrocznej strony każdego z nas. A największa mądrość Merlina nie wypływa z faktu eliminacji bądź wyzbycia się ciemnej strony, lecz jej wchłonięcia, pogodzenia się z jej istnieniem. W ostatecznym rozrachunku to właśnie świadomość słabości człowieka, jak również jego potencjału czyni z Merlina mentora godnego króla Artura.

Podtrzymuję wdzięczność wobec osób, które wymieniłem w przedmowie do pierwszego tomu, zwłaszcza mojej żony i najlepszej przyjaciółki Currie, jak i mojej redaktor o bezgranicznej mądrości, Patricii Lee Gauch. Ponadto chciałbym podziękować Lloydowi Alexandrowi, którego dzieła nadal nas inspirują; Susan Cullinan, która rozumie mądrość humoru; i Sashy, naszemu łagodnemu labradorowi, który często grzeje mi stopy, kiedy piszę.

Merlin znów szepcze. Wsłuchajmy się z rozwagą. Gdyż czarodziej ten, jak wiadomo, ma w zanadrzu niejedną niespodziankę.

T. A. B.

Wyrwano mnie z ciała.

Stałem się duchem i poznałem...

tajemnice przyrody,

ptasiego lotu,

gwiazdnych wędrówek

i rybich skoków.

Merlin,

cytowany w XII-wiecznym dziele

Vita Merlini Geoffreya z Monmouth

PROLOG

Jak szybko upłynęły wieki... Dużo szybciej, niż fruwał dzielny sokół, który niósł mnie kiedyś na swoim grzbiecie. Znacznie szybciej, niż leciała strzała bólu, która utkwiała mi w sercu w dniu, kiedy straciłem matkę.

Ciągle mam przed oczami Wielką Radę Fincayry zbierającą się w kręgu stojących kamieni, jedynej pozostałości po zniszczonym przez Taniec Olbrzymów potężnym zamku.

Wielka Rada nie zbierała się tu już od wielu wieków; i wiele wieków minie, zanim zbierze się ponownie. Delegaci mieli do rozwiązania kilka trudnych kwestii, w tym jak ukarać obalonego monarchę i czy wybrać jego następcę. Ale najważniejsza kwestia dotyczyła tego, co zrobić z magicznymi Skarbami Fincayry, zwłaszcza z Harfą Kwitnienia.

Nigdy nie zapomnę, jak rozpoczęło się to spotkanie. Ani też, choćbym bardzo chciał, nigdy nie zapomnę, jak się skończyło.

Kamienny krąg stał dumnie na szczycie niczym zgromadzenie cieni mroczniejszych od samej nocy.

Nocnej ciszy nie zakłócał żaden odgłos. Nietoperz poszybował ku ruinom, potem skręcił i odleciał, jakby się przestraszył, że Spowity Zamek wzniesie się ponownie. Jednak po jego wieżach i murach został tylko krąg kamieni cichych jak nieodwiedzane groby.

Powoli zaczęło nad nimi migotać dziwne światło. Nie był to blask słońca, któremu do wzejścia brakowało jeszcze kilku godzin, lecz gwiazd. Stopniowo stawały się one coraz jaskrawsze. Wydawało się, że się zbliżały, napierały na krąg, przyglądały mu się tysiącami tysięcy rozpalonych oczu.

Żółta jak masło ćma o szerokich skrzydłach wylądowała na jednym z głazów.

Dołączył do niej bladoniebieski ptak, a potem stary puchacz z brakami w upierzeniu. Para faunów o nogach i kopytach kozłów i twarzach chłopców wbiegła rozbrykana na polanę wewnątrz kręgu. Za nimi przybyły chodzące drzewa, jesiony, dęby, głogi i sosny, zalewając szczyt wzgórza niczym ciemnozielona fala.

Do kręgu wkroczyło siedmioro zdumionych mężczyzn i kobiet z Fincayry w towarzystwie grupy krasnoludów o rudych brodach, czarnego wierzchowca, kilku kruków, pary nimf wodnych ochlapujących się hałaśliwie w zbiorniku pod jednym z głazów, cętkowanej jaszczurki, papug, pawi, jednorożca, którego sierść lśniła tak samo jak jego róg, rodziny zielonych żuków, która przyniosła ze sobą liść do siedzenia, łani z jelonkiem, wielkiego ślimaka i feniksa, który przypatrywał się zgromadzeniu bez choćby jednego mrugnięcia.

Kiedy przybywali kolejni delegaci, jeden z Fincayran, kudłaty poeta o wysokim czole i ciemnych, uważnych oczach, stał i obserwował rozwój sytuacji. W pewnej chwili podszedł

do przewróconej kolumny i usiadł obok rumianej dziewczynki w ubraniu ze splecionych pnączy. Po jej drugiej stronie siedział chłopiec z krzywą laską, który wyglądał na więcej niż swoje trzynaście lat. Jego oczy, czarniejsze niż węgiel, wydawały się dziwnie odległe.

Niedawno przyjął imię Merlin.

W powietrzu słyhać było skrzek i trzepot, szum i warczenie, syk i porykiwania. W

miarę jak słońce wznosiło się na niebie, przyozdabiając kamienny krąg odcieniami złota, gwar przybierał na sile. Kakofonia przycichła tylko raz, kiedy do kręgu wkroczyła olbrzymia biała pajęczycza, prawie dwa razy większa od wierzchowca. Stworzenia zamilkły i szybko rozeszły na boki, bo choć obecność Wielkiej Eluzy była dla nich zaszczytem, podejrzewały, że mogła zgłodnieć podczas podróży z kryształowej jaskini na Mglistych Wzgórzach. Bez problemu więc znalazła wolne miejsce.

Kiedy Wielka Eluza usadowiła się na stercie zmiądzonych skał, podrapała się po grzbiecie jednym z ośmiu odnóży. Innym odnóżem zdjęła z siebie duży brązowy worek i położyła go obok. Potem rozejrzała się po kręgu, zatrzymując na chwilę wzrok na Merlinie.

Przybywali kolejni. Centaur z brodą długą prawie do kopyt wkroczył zdecydowanie i z poważną miną do środka kręgu. Za nim przydreptała para lisów z wysoko uniesionymi ogonami, a potem młoda leśna elfka o rękach i nogach prawie tak cienkich jak jej kasztanowe włosy. Na środek wtoczył się żywy głaz, nieco omszały, prawie miażdżąc ospałego jeża. Rój energicznych pszczoł unosił się tuż nad ziemią. Na skraju rodzina ogrów zaciekle się gryzła i drapała dla zabicia czasu.

Ciągle przybywali kolejni i Merlin wielu z nich nie rozpoznawał. Niektóre stworzenia przypominały kolczaste krzewy z ognistymi oczami, inne wyglądały jak powyginane kijki albo grudki błota bądź też byłyby niewidzialne, gdyby nie poświata padająca z nich na głazy.

Merlin widział stwory o twarzach dziwacznych, groźnych i ciekawych albo i bez twarzy. Nie minęła godzina, kiedy cichy krąg kamieni przeistoczył się w istny karnawał.

Poeta Cairpré odpowiadał najlepiej, jak potrafił, na pytania Merlina o te dziwne i niesamowite stworzenia, które ich otaczały. To, wyjaśniał, jest śnieżna kura, nieuchwytna jak promień księżycowego blasku. A to rzadkojad, który żywi się raz na sześćset lat - i nawet wtedy wyłącznie liśćmi kwiatu tendradil. Część z nieznanym mu stworzeń rozpoznała dziewczynka w przyozdobionym liśćmi stroju, która zetknęła się z nimi, kiedy mieszkała w Lesie Druma. Jednak niektórych nie potrafiło nazwać żadne z nich.

Nie było w tym nic dziwnego. Żadna żywa istota, może z wyjątkiem Wielkiej Eluzy, nie widziała nigdy wszystkich gatunków stworzeń zamieszkujących Fincayrę. Niedługo po Tańcu Olbrzymów, obaleniu niegodziwego króla Stangmara i zniszczeniu Spowitego Zamku w wielu stronach krainy podniosły się głosy, żeby zwołać Wielką Radę. Pierwszy raz w historii wszystkie zamieszkujące Fincayrę śmiertelne stworzenia, ptaki, zwierzęta, owady i inne poproszono o przysłanie na zgromadzenie swoich przedstawicieli.

Prawie wszystkie rasy odpowiedziały. Brakowało goblinów wojowników i zjaw mimicznych, zepchniętych po klęsce Stangmara do jaskiń na Mrocznych Wzgórzach, drzewołaków, które wymarły dawno temu, i ludu mer, który zamieszkiwał wody wokół

Fincayry, ale nie udało się nawiązać z nim kontaktu.

Cairpré popatrzył na zgromadzenie i skonstatował ze smutkiem, że nie pojawił się również żaden wielki orzeł z kanionu, która to rasa należała do najstarszych na Fincayrze. W

zamierzchłych czasach porywający krzyk orła z kanionu zawsze rozpoczynał Wielką Radę.

Jednak nie tym razem, gdyż siły Stangmara wybiły wszystkie okazy tych dumnych ptaków.

Echo ich krzyku, uznał Cairpré, już nigdy nie rozejdzie się po wzgórzach tej krainy.

Merlin dostrzegł bladą, krągłą wiedźmę bez jednego włosa na głowie i grama litości w oczach. Zadrżał, kiedy ją rozpoznał. Choć przez wieki nosiła wiele przydomków, najczęściej nazywano ją Domnu, czyli Mrocznym Losem. Zaraz po tym, jak ją zauważył, zniknęła w tłumie. Wiedział, że ona go unika. Wiedział również dlaczego.

Nagle szczytem wstrząsnął potężny huk, głośniejszy od hałasu zgromadzenia. Jeden ze stojących kamieni zachwiał się. Wstrząsy przybrały na sile i kamień się przewrócił, prawie przygniatając łąnię z jelonkiem. Merlin i Rhia spojrzeli na siebie - bez lęku, porozumiewawczo. Słyszeli już wcześniej kroki olbrzymów.

Dwie gigantyczne postacie, każda wysoka jak zamek, który niegdyś stał w tym miejscu, weszły do kręgu. Przybyły z dalekich gór, przerywając odbudowę rodzinnego miasta Varigal, żeby wziąć udział w Wielkiej Radzie. Merlin odwrócił się, spodziewając się zobaczyć swojego przyjaciela Shima. Ale nie było go wśród olbrzymów. Chłopiec westchnął

i pomyślał, że Shim pewnie i tak by przespał naradę.

Pierwsza olbrzymka o rozczochranych włosach, jaskrawozielonych oczach i wykrzywionych ustach

stęknęła i pochyliła się, żeby podnieść przewrócony głaz. Choć dwadzieścia koni by go nie podźwignęło, ona postawiła głaz bez większego wysiłku.

Tymczasem jej kompan, rumiany, z rękami jak pnie dębu, położył sobie dłonie na biodrach i rozejrzał się. Po dłuższej chwili skinął do swojej towarzyszki.

Ona również odpowiedziała skinieniem. Potem stęknęła i uniosła obie ręce, jakby chciała uchwycić kłębiące się chmury. Na ten widok Cairpré ze zdziwienia wygiął brwi w łuk.

Wysoko na niebie pojawił się czarny punkcik. Zaczął opadać z chmur po spirali, jakby schwytyany w niewidzialnym wirze. Zlatywał coraz niżej, aż wszystkie stworzenia utkwily w nim wzrok. Po zgromadzeniu rozeszła się fala szeptów. Ucichły nawet niesforne nimfy wodne.

W miarę opadania punkcik robił się coraz większy. Niedługo widać było wielkie skrzydła, następnie szeroki ogon, a potem błysk słońca na zakrzywionym dziobie. Powietrze przeszył gwałtowny krzyk rozchodzący się echem od jednej grani do kolejnej, jakby sama kraina odpowiedziała na zew. Zew orła z kanionu.

Potężne skrzydła rozpostarły się szeroko niczym żagiel, wygięły się do tyłu, a olbrzymie szpony wysunęły się ku ziemi. Króliki i lisy zakwiliły na ten widok i wiele innych zwierząt zadrżało. Z majestatycznym łopotem orzeł z kanionu wylądował na ramieniu olbrzymki o potarganych włosach.

Rozpoczęła się Wielka Rada Fincayry.

Najpierw postanowiono, że nikt nie może opuścić zgromadzenia, dopóki nie zostaną rozstrzygnięte wszystkie kwestie. Oprócz tego na prośbę myszy każdy z delegatów obiecał, że w trakcie obrad nikt nikogo nie zje. Tylko lisy zgłosiły sprzeciw, argumentując, że znalezienie odpowiedzi na pytanie, co zrobić z Harfą Kwitnienia, może zająć wiele dni. Mimo to wniosek przyjęto. Wielka Eluza zaproponowała, że będzie czuwać nad przestrzeganiem tego zobowiązania. Choć nie sprecyzowała, jak ma zamiar tego dopilnować, nikt się nie dopytywał.

Następnym punktem zebrania było ogłoszenie kamiennego kręgu świętym miejscem.

Odchrząkując z subtelnością lawiny, rozczochrana olbrzymka zaproponowała, żeby ruiny Spowitego Zamku otrzymały nowe miano: Taniec Olbrzymów albo Estonahenj - w pradawnym języku tych wielkich stworzeń. Zebrani delegaci jednogłośnie zaakceptowali nową nazwę, lecz w kręgu zapadła martwa cisza. Co prawda Taniec Olbrzymów oznaczał

nadzieję Fincayry na lepszą przyszłość, ale była ona podszyta najgłębszym smutkiem.

Z czasem dyskusja zeszła na temat losu Stangmara. Mimo że podlego króla obalono, życie uratował mu nie kto inny, jak jego syn, Merlin. Choć sam Merlin, będąc tylko po części fincayrańskiej krwi, nie miał prawa głosu na zgromadzeniu, poeta Cairpré zaproponował, że przemówi w jego imieniu. Wielka Rada wysłuchiwała prośby chłopca o wybaczenie ojcu podłości i darowanie mu życia, po czym wiele godzin omawiała tę kwestię. W końcu pomimo zdecydowanych sprzeciwów olbrzymów i orła z kanionu zgromadzenie postanowiło, że Stangmara należy uwięzić na resztę życia na północy od

Mrocznych Wzgórz, w jednej z jaskiń, z których nie da się uciec.

Następnie próbowano ustalić, komu powierzyć rządy nad Fincayrą. Pszczoły zaproponowały, że to ich królowa powinna zapanować nad wszystkimi, ale wniosek ten nie spotkał się z poparciem. Koszmar rządów Stangmara był tak świeży w pamięci zebranych, że wielu delegatów zdecydowanie opowiadało się za tym, by w ogóle nie wybierać przywódcy.

Argumentowano, że nawet zgromadzenie obywateli mogło z czasem zdemoralizować się w wyniku sprawowanej władzy. Cairpré odrzucił ten tok myślenia jako paranoiczny. Podał

przykłady anarchii, która sprowadziła zagładę na narody, i ostrzegł, że bez przywódcy Fincayra będzie wystawiona na łaskę nikczemnego władcy Zaświata, Rhity Gawra. Jednak delegaci zignorowali jego obawy. Wielka Rada przytłaczającą większością przegłosowała, że kraina nie będzie miała przywódcy.

Potem pojawiło się najważniejsze pytanie. Co zrobić ze Skarbami Fincayry?

Wszyscy przyglądali się oniemiałi, kiedy Wielka Eluza otworzyła worek i wyciągnęła z niego Harfę Kwitnienia. Wyłożone jesionem i pokryte rzeźbionymi wzorami kwiatowymi dębowe pudło rezonansowe połyskiwało niepokojąco. Podleciał zielony motyl i usiadł na najcieńszej strunie. Wielka Eluza przegoniła go machnięciem wielkiego odnóża, trącąc strunę, która zabrzmiała delikatnie. Pajęczycza wsłuchiwała się przez chwilę, po czym wyjęła resztę Skarbów: miecz Głębotnij, Zaklinacz Marzeń, Kulę Ognia i sześć z Siedmiu Mądrych Narzędzi (siódme, niestety, zaginęło w ruinach zamku).

Wszystkie oczy zaczęły chłonać widok Skarbów. Przez dłuższą chwilę nikt nie drgnął.

Nawet głązy jakby nachylały się, żeby się lepiej przyjrzeć. Delegaci wiedzieli, że na długo przed dojściem do władzy Stangmara legendarne Skarby należały do wszystkich Fincayran i dzielono się nimi w całej krainie bez ograniczeń. Jednak z tego powodu Skarby łatwiej było ukraść, czego dowiódł Stangmar. Dropiaty zając zaproponował, żeby każdy Skarb miał

przydzielonego strażnika, który będzie go pilnował i dbał o to, by używano go z rozwagą.

Tym sposobem Skarbami będzie można się dzielić, a zarazem znajdą się pod ochroną.

Większość zgromadzonych na to przystała. Poprosili Wielką Eluzę, żeby wybrała strażników.

Jednak olbrzymia pajęczycza odmówiła. Oświadczyła, że tak odpowiedzialną decyzję może podjąć tylko ktoś bardzo mądry. Prawdziwy czarodziej - ktoś pokroju Tuathy, którego wiedza, jak głosiła wieść, była tak wielka, że udało mu się nawet znaleźć tajne przejście do Zaświata, dokąd udał się po poradę Dagdy, największego spośród wszystkich duchów. Ale Tuatha umarł dawno temu. W końcu po namowach Wielka Eluza zgodziła się przypilnować Skarbów w swojej kryształowej jaskini, ale tylko do czasu, kiedy znajdą się odpowiedni strażnicy.

Choć w ten sposób problem Skarbów tymczasowo się rozwiązał, nadal nie podjęto decyzji w sprawie Harfy Kwitnienia. W zgnębionej Plagą Rhity Gawra okolicy nie było śladów życia, nawet

jednego źdźbła zielonej trawy. W szczególności Mroczne Wzgórza potrzebowały pomocy, gdyż tam straty były największe. Tylko magia Harfy mogła wskrzesić ziemię.

Kto jednak miałby ją zanieść? Na Harfie nie grano od wielu lat, od kiedy sam Tuatha użył jej, żeby uratować las zniszczony przez smoki z Zaginionych Ziem. Las udało się ożywić, lecz Tuatha przyznał wtedy, że gra na Harfie wymagała od niego więcej wprawy niż uspianie czarem rozwścieczonego smoka. Ostrzegł też, że Harfa będzie posłuszna tylko komuś o sercu czarodzieja.

Pierwszy spróbował najstarszy paw. Rozłożył ogon najszerzej, jak mógł, podszedł

dumny do Harfy i spuścił głowę. Płynnym ruchem dzioba szarpnął strunę. Z instrumentu popłynął i wybrzmiał czysty, dźwięczny ton. Nie stało się jednak nic więcej. Magia Harfy pozostała uspiona. Paw spróbował raz jeszcze i znów udało mu się tylko wydobyć dźwięk.

Jeden za drugim podchodzili kolejni delegaci. Jednorożec o lśniącej białej sierści musnął struny rogiem. Wybrzmiał poruszający akord, ale na tym się skończyło. Potem podszedł olbrzymi niedźwiedź brunatny, krasnolud, któremu broda sięgała do kolan, krępa kobieta i jedna z nimf wodnych. Nikomu się nie udało.

W końcu z cienia przy stopach Merlina wyskoczyła jasnobraza ropucha i podpełzła do Wielkiej Eluzy. Ropucha zatrzymała się tuż poza zasięgiem wielkiej pajęczycy, po czym zapytała:

- Nie jesteś może czarrrrodziejką, ale naprrrrrawdę myślę, że masz serrrrce czarrrrodziejki. Czy wzięłabyś Harrrrfę?

Wielka Eluza pokręciła tylko głową. Podniosła trzy odnóża i skierowała je w stronę Cairprégo.

- Ja? - wymamrotał poeta. - Chyba nie mówisz poważnie! Takie mam serce czarodzieja jak głowę prosiaka. *Wiedzy mam za mato, mądrości mi się nie ostało.* Nie umiałbym użyć Harfy. - Gładząc się po brodzie, odwrócił się do stojącego obok chłopca. -

Ale chyba znam kogoś, kto by umiał.

- Ten chłopiec? - warknął sceptycznie niedźwiedź brunatny, a chłopiec zaczął się wiercić nerwowo.

- Nie wiem, czy ma on serce czarodzieja - przyznał Cairpré, spoglądając z ukosa na Merlina. - Wątpię, czy nawet on to wie.

Niedźwiedź pacnął łapą o ziemię.

- To dlaczego proponujesz jego kandydaturę?

Poeta uśmiechnął się lekko.

- Bo wydaje mi się, że w jego wypadku pozory mylą. W końcu udało mu się zniszczyć Spowity Zamek. Dajmy mu szansę z Harfą.

- Zgadzam się - oznajmiła kłapnięciem dzioba wąż sowa. - To wnuk Tuathy.

- I syn Stangmara - zaryczał niedźwiedź. - Nawet jeżeli umie obudzić magię Harfy, nie można mu ufać.

Na środek kręgu wkroczyła leśna elfka, a jej kasztanowe włosy falowały jak strumień.

Dygnęła do Rhii, która odwzajemniła gest. Potem melodyjnym głosem zwróciła się do grupy:

- Nie było mi dane poznać ojca chłopca, choć wiem, że on w młodości często bawił

się w Lesie Druma. I tak jak powyginane drzewo, które mogło wyrosnąć proste i strzeliste, nie umiem stwierdzić, czy wina leży po jego stronie, czy po stronie rodziców, których wsparcia mu zabrakło. Jednak znałam matkę chłopca. Zwaliśmy ją Elen o Szafirowym Spojrzeniu. Pewnego razu wyleczyła mnie, kiedy trawiła mnie gorączka. Jej dotyk był

magiczny, nawet ona sama nie zdawała sobie sprawy, ile było w nim magii. Być może jej syn też posiada ten dar. Moim zdaniem powinniśmy pozwolić mu podjąć próbę z Harfą.

Po zgromadzeniu rozeszła się fala aprobaty. Niedźwiedź przechadzał się nerwowo, mamrocząc coś do siebie, ale koniec końców nie sprzeciwił się.

Kiedy Merlin wstał z kolumny, udrapowana liśćmi Rhia wzięła go pod ramię.

Chłopiec zerknął na nią z wdzięcznością, po czym podszedł powoli do Harfy. Sięgnął

ostrożnie po pudło, a zebrani znów ucichli. Chłopiec wziął głęboki oddech, podniósł dłoń i szarpnął za strunę. W powietrzu długo wybrzmiewał głęboki ton.

Wyczuwając, że nie stało się nic istotnego, Merlin spojrzał rozczerowany na Rhię i Cairprégo. Niedźwiedź wydał zadowolony pomruk. Naraz orzeł z kanionu, który siedział

ciągle na ramieniu olbrzyma, krzyknął. Inne stworzenia poszły w jego ślady, wyjąc, rycząc i tupiąc z radości. U stóp Merlina, obok jego trzewika, wyrosło bowiem źdźbło trawy, zielone jak obmyte deszczem młode drzewko. Chłopiec uśmiechnął się i jeszcze raz zagrał na strunie, sprawiając, że z ziemi wyszły kolejne pędy traw.

Kiedy w końcu zamieszanie przycichło, Cairpré podszedł do Merlina i wziął go za rękę.

- Dobra robota, mój chłopcze, dobra robota. - Na chwilę zamilkł. - Wiesz, że uzdrawianie krainy to wielka odpowiedzialność.

Merlin przełknął ślinę.

- Wiem.

- Kiedy podejmiesz się tego zadania, nie wolno ci go porzucić, dopóki nie zostanie zakończone. Siły

Rhity Gawra szykują się do kolejnego natarcia. Możesz być co do tego pewien! Mroczne Wzgórza, gdzie wielu jego popleczników czeka ukrytych w jaskiniach i szczelinach, to tereny najbardziej wyniszczone przez Plagę i najbardziej podatne na atak.

Naszą najlepszą obroną będzie jak najszybsze uzdrowienie wzgórz, żeby ponownie zamieszkały tam przyjaźnie nastawione stworzenia. To zniechęci napastników, jak również sprawi, że reszta Fincayry będzie mogła liczyć na ostrzeżenie przed atakiem.

Poeta delikatnie popukał w instrument.

- Musisz więc zacząć od Mrocznych Wzgórz i pozostać tam aż do ukończenia swojej pracy. Rdzawe Pola i resztę ziem czekających na wskreszenie zostaw na potem. Mroczne Wzgórza trzeba odratować przed powrotem Rhity Gawra, inaczej stracimy naszą jedyną szansę.

Cairpré w zamyśleniu zagryzł wargę.

- I jeszcze jedno, mój chłopcze. Rhita Gawr, kiedy już powróci, będzie cię szukał. Aby odplacić ci za wszystkie kłopoty, jakie mu sprawiłeś. Wystrzegaj się zatem jakichkolwiek działań, które mogłyby zwrócić jego uwagę. Rób swoje, zajmij się uzdrawianiem Mrocznych Wzgórz.

- A jeżeli, kiedy już tam będę, nie uda mi się zagrać na Harfie?

- Jeżeli Harfa nie będzie reagować na twoją grę, zrozumiemy to. Lecz pamiętaj: jeżeli Harfa będzie ci uległa, a ty będziesz się uchylał od swojej misji, nigdy nie zostanie ci to wybaczone.

Merlin przytaknął powoli. Delegaci przyglądali mu się, kiedy zaczął przekładać skórzany pasek Harfy przez ramię.

- Poczekaj!

To był głos wiedźmy Domnu. Podeszła do chłopca, a kiedy otworzyła szeroko oczy, po jej łysej czaszce rozeszły się fale zmarszczek. Potem uniosła rękę i guzowatym palcem wskazała na Merlina.

- Ten chłopiec, w którego żyłach płynie też ludzka krew, nie może wziąć Harfy. Musi opuścić wyspę! Bo jeżeli zostanie, Fincayrę czeka zguba.

Prawie wszyscy wzdrygnęli się na te słowa, a Merlina dotknęły one najbardziej. Gdyż była w nich dziwna moc, która cięła boleśniej niż jakikolwiek miecz.

Domnu potrząsnęła palcem.

- Jeżeli nie odejdzie, i to szybko, wszyscy zginiemy. - Po kręgu rozszedł się chłodny powiew, od którego nawet olbrzymi zadrżeli. - Czyżbyście wszyscy zapomnieli o zakazie ogłoszonym przez samego Dagę, który zabrania pobytu na wyspie potomkom człowieka?

Czyżbyście puścili w niepamięć, iż chłopiec ten się tu urodził pomimo jeszcze starszego zakazu? Jeżeli pozwolicie mu wziąć Harfę, z całą pewnością uzna Fincayrę za swój prawowity dom. On

pewnie nie ma zamiaru wracać do świata po drugiej stronie mgły.

Zważcie na moje ostrzeżenie. Ten chłopiec może naruszyć równowagę między światami!

Może sprowadzić na nas gniew samego Dagdy. Co gorsza - dodała, łypiąc okiem - może być wysłannikiem samego Rhity Gawra, tak jak był nim jego ojciec.

- Nie jestem! - zaproponował Merlin. - Chcesz, by mnie wygnano, żebyś nie musiała oddawać mi Galatora.

Oczy Domnu zapłonęły.

- Widzicie? Przemawia do Wielkiej Rady, choć nie jest jednym z nas. Nie ma szacunku dla praw Fincayry, tak jak nie ma szacunku dla prawdy. Im szybciej się go wygna, tym lepiej.

Pokiwało wiele głów z porwanego urokiem jej mowy tłumy. Merlin chciał coś powiedzieć, ale ktoś go uprzedził.

To była Rhia. Z błyskiem w szaroniebieskich oczach spojrzała na bezwłosą wiedźmę.

- Nie wierzę ci. Po prostu ci nie wierzę. - Wzięła głęboki oddech i dodała: - To raczej ty o czymś zapomniałaś. O przepowiedni, prastarej przepowiedni, że tylko dziecko zrodzone z człowieka może pokonać Rhitę Gawra i jego sługusów! A jeżeli mowa w niej o Merlinie?

Nadal chciałybyś, żebyśmy go wygnali?

Domnu otworzyła usta, odsłaniając szerniałe zęby, po czym je zamknęła.

- Dzieeeewczynka móóóówi praaaawdę - zagrzmiął basowy głos Wielkiej Eluzy.

Podniosła ona wielkie cielsko na ośmiu odnóżach i spojrzała prosto na Domnu. - Chłooooopiec powiiiiinien zoooostać.

Jakby prysł urok, delegaci wszystkich maści zatupali, zaryczeli albo zatrzepotali z aprobatą. Na ten widok Domnu się skrzywiła.

- Ostrzegałam was - wymamrotała wiedźma. - Ten chłopiec będzie naszą zgubą.

Cairpré pokręcił głową.

- Czas pokaże.

Domnu spiorunowała go wzrokiem. Potem odwróciła się i zniknęła w tłumie, przedtem mierząc jeszcze Merlina spojrzeniem, od którego poczuł ucisk w żołądku.

Rhia odwróciła się do Cairprégo.

- Czy pomożesz mi ją założyć?

Poeta zaśmiał się i potrząsnął kudłatą czupryną.

- Oczywiście. - Uniósł skórzany pasek Harfy, przełożył go nad głowę Merlina i umieścił na ramieniu.
- Mój chłopcze, wiesz, jaka to odpowiedzialność. Los nas wszystkich spoczywa w twoich rękach. Jednak spróbuj odnaleźć drzemiącą w tym zadaniu przyjemność.

Z każdym zagranym akordem sprawisz, że zakwitną kolejne pola.

Urwał i spojrzał na Merlina zamyślony. Zniżył głos i dodał:

- A kiedy będziesz ratował krainę, być może przy okazji uratujesz też siebie.

Wokół świętego kręgu rozszedł się echem ryk aprobaty. I tak zakończyła się Wielka Rada Fincayry.

CZEŚĆ PIERWSZA

I

RATOWNIK

Kiedy doszedłem na szczyt wzniesienia, podciągnąłem Harfę Kwitnienia nieco wyżej na ramieniu. Pierwsze promienie świtu rozlały się smugami po niebie, malując chmury szkarłatem i purpurą. Rubinowe światło muskało najdalsze wzgórze, opromieniając kilka patykowatych drzew, które sterczały na horyzoncie jak zapomniane włosy. Jednak pomimo płomiennego odcienia drzew same wzgórze były pograżone w mroku, miały taki sam kolor jak łamliwe źdźbła trawy pod moimi skórzanymi butami - zaschniętej krwi.

Mimo to, kiedy moje stopy chrzęściły na spękany zboczu, zacząłem się uśmiechać.

Nie przejmowałem się chłodnym wiatrem, który przenikał moją brązową tunikę i szczypał

mnie w policzki, gdyż moje zadanie rozgrzewało mnie od środka. Zadanie, które wypełniałem od ponad trzech tygodni. Zadanie wskrzeszenia ziemi.

Tak jak wiele lat temu wielki czarodziej Tuatha, ojciec mojego ojca, niosłem Harfę po resztkach pól i lasów. I tak jak Tuatha przywracałem tym ziemiom życie - muszę przyznać, że z zaskakującą łatwością. Z każdym mijającym dniem coraz lepiej radziłem sobie z Harfą.

Jakby była wręcz chętna, by spełniać moje życzenia. Jakby od czasów Tuathy właśnie na mnie czekała.

Oczywiście pomimo tych sukcesów zdawałem sobie sprawę, że żaden ze mnie czarodziej. Opanowałem tylko podstawy magii. Nie wytrzymałbym nawet jednego dnia jako uczeń kogoś takiego jak Tuatha. A mimo to... coś osiągnąłem. Ocaliłem swoją przyjaciółkę Rhię od pewnej śmierci z rąk Stangmara. Sprawilem, że jego zamek legł w gruzach.

Pokrzyżowałem szyki jego panu, Rhicie Gawrowi. Nie było nic dziwnego w tym, że Wielka Rada powierzyła Harfę mnie. I że Harfa okazała się mi posłuszna.

Zbliżając się do zacienionego występu skalnego, dostrzegłem pod nim suchą rynnę.

Najwyraźniej od lat nie zagościła w niej kropla wody. Gleba, której nie wywiały wiatr, była tak popękana i uschnięta jak wyprażone słońcem truchło. Poza jednym wystrzępionym drzewem o pniu pokrytym cienką warstwą kory i bez śladu listka nic tu nie żyło. Nie było roślin. Nie było owadów. Nie było żadnych zwierząt.

Pewny siebie i z uśmiechem na twarzy potarłem sękaty koniec swojej laski, wyczuwając głębokie wyłobienia w drewnie i wciągając nosem drażniącą woń cykuty.

Położyłem kij na ziemi. Potem zdjąłem z ramienia skórzany pasek Harfy, ostrożnie, żeby nie poplątał się z paskiem torby z ziołami, którą dostałem od matki tuż przed rozstaniem.

Trzymając Harfę w lewej ręce, przyglądałem się kunsztownie rzeźbionym kwiatowym wzorom, intarsjom wykonanym witkami jesionu, starannie rozmieszczonym otworom rezonansowym. Struny z koźlich jelit połyskiwały ponuro w blasku wczesnego poranka. A szyjka łącząca pudło rezonansowe z kolumną była zakrzywiona jak skrzydło łabędzia.

Obiecałem sobie, że pewnego dnia nauczę się, jak konstruować taki instrument.

Kiedy poczułem kolejny podmuch wiatru, przeciągnąłem palcami po strunach.

Rozeszła się fala muzyki, zawodzącej i magicznej, i uradowała ona moje serce prawie jak śpiew matki, który słyszałem tak dawno temu. Choć przemierzyłem z Harfą wiele wzgórz, ani trochę nie nużyła mnie jej dźwięczna pieśń. Wiedziałem, że nigdy tak się nie stanie.

Z ziemi podniosła się mała gałązka paproci i zaczęła się rozwijać. Ponownie szarpnąłem struny.

Naraz całe wzgórze ożyło. Łamliwe łodygi zamieniły się w sprężyste zielone źdźbła trawy. Po rynnie spłynął strumyk wody, nasączając spragnioną glebę. Wzdłuż brzegów pojawiły się małe niebieskie kwiaty spryskane kroplami rosy. Powietrze wypełnił nowy zapach, mieszanka lawendy, tymianku i cedru.

Chłonałem tę melodię woni wsłuchany w rozbrzmiewającą ciągle w powietrzu pieśń Harfy. Wtedy mój uśmiech zamarł, gdyż przypomniałem sobie zapachy zielnika mojej matki.

Ile czasu minęło, od kiedy wachałem te zioła po raz ostatni! Jeszcze przed moimi narodzinami Elen o Szafirowym Spojrzeniu otaczała się zasuszonymi płatkami, nasionami, liśćmi, korzeniami, strużynami kory i wszystkim innym, co miało właściwości lecznicze. Niekiedy podejrzewałem, że wypełniła swoje życie takimi rzeczami, bo lubiła delektować się woniami.

Ja również to lubiłem - z wyjątkiem kopru, od którego zawsze kręciło mnie w nosie.

Jednak bardziej niż zapachy, które hołubiła moja matka, cieszyło mnie jej towarzystwo. Zawsze

dbała, żeby było mi ciepło i bezpiecznie. Nawet kiedy świat krzyżował

jej szyki, co zdarzało się nadzwyczaj często. Opiekowała się mną podczas ciężkich lat w Gwynedd, przez niektórych zwanym Walią, i nigdy nie oczekiwała wdzięczności. Nawet kiedy była dla mnie oschła i chłodna, żeby ochronić mnie przed przeszłością; nawet kiedy wściekałem się, bo nie odpowiadała na moje pytania o ojca; nawet kiedy zagubiony i wiedziony strachem, odmawiałem jej tego jedyne słowa, które najbardziej pragnęła usłyszeć - nawet wtedy ją kochałem.

A teraz, kiedy w końcu zrozumiałem, ile dla mnie zrobiła, nie mogłem jej podziękować. Była bardzo daleko, za mgłą, za oceanem, za surowym wybrzeżem Gwynedd.

Nie mogłem jej dotknąć. Nie mogłem zwrócić się do niej „matko”.

Na gałęzi zaćwierkał kulik, sprowadzając moje myśli do teraźniejszości. Jakże miła dla ucha śpiewana na całe gardło melodia! Ponownie szarpnąłem struny harfy.

Na moich oczach gwałtownie ożyło drzewo. Tworzyły się pąki, wyrastały liście, motyle o jaskrawych skrzydłach siadały na gałęziach. Pień i konary w całości pokryła gładka szara kora. Korzenie nabrzmiwały, wczepiały się w brzeg strumyka, który teraz wartko płynął po zboczu.

Buk. Uśmiechnąłem się do sięgających ku niebu potężnych gałęzi. Lekki wiatr poruszył srebrzystymi liśćmi. Widok buka zawsze mnie uspokajał, dodawał mi wewnętrznej siły. A ja go uratowałem. Przywróciłem mu życie. Tak jak ożywiłem to wzgórze i wiele innych. Poczulem dreszcz potęgi. Wielka Rada wybrała właściwie. Być może rzeczywiście mam serce czarodzieja.

Wtedy zauważyłem swoje odbicie w kałuży, która utworzyła się między korzeniami drzewa nieopodal brzegu rzeki. Na widok blizn na policzkach i czarnych niewidzących oczu przestałem się uśmiechać. Jak Rhia opisała moje oczy pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy? Dwie gwiazdy ukryte za chmurami. Chciałem móc znów widzieć na własne oczy.

Oczywiście magiczny wzrok był lepszy niż ślepotą. Nigdy nie zapomnę tej cudownej chwili, kiedy odkryłem, że mogę widzieć bez pomocy oczu. Jednak magiczny wzrok nie mógł

zastąpić prawdziwego. Barwy były przytłumione, szczegóły się rozmywały, zewsząd napierał

mrok. Ile bym dał, żeby wyleczyć oczy! Choć były poparzone i bezużyteczne, zawsze czułem, że są. Bez przerwy przypominały mi wszystko, co straciłem.

A straciłem tak wiele! Miałem dopiero trzynaście lat i straciłem już matkę, ojca i wszystkie miejsca, które były mi domem, jak również oczy. Wyobrażałem sobie, jak matka pyta zachęcającym tonem, że może też coś zyskałem. Ale co? Może odwagę, żeby żyć samemu. I umiejętność ratowania nękanym Plagą ziem Fincayry.

Odwróciłem się ponownie do buka. Odratowałem już sporą część Mrocznych Wzgórz rozciągającą się od ruin Spowitego Zamku, teraz świętego kamiennego kręgu, do północnych nizin Nawiedzonego Bagna. Przez następnych kilka tygodni natchnę życiem resztę. Potem zrobię to samo na Rdzawych Polach. Choć Fincayrze nie brakowało tajemnic, kraina nie zaliczała się do szczególnie rozległych.

Odłożyłem Harfę i podszedłem do buka. Przytuliłem dłonie do gładkiej, srebrnej kory, rozłożyłem szeroko palce i wyczułem pod potężnym pniem strumień życia. Potem wydałem wargi i wydałem niski, szeleszczący odgłos. Drzewo zadrżało, jakby uwalniało się z niewidzialnych kajdan. Jego gałęzie zadrżały i zaszumiały, odpowiadając dźwiękiem podobnym do mojego.

Pokiwałem głową, zadowolony ze swoich umiejętności. Znow zaświstałem. Drzewo ponownie zareagowało. Jednak tym razem to nie było tylko drzenie, gdyż wydałem mu rozkaz.

Pochyl się. Pochyl się ku ziemi. Chciałem usadowić się na jego najwyższych konarach.

Potem rozkażę mu, żeby się ponownie wyprostowało i uniosło mnie ku niebu. Od kiedy sięgałem pamięcią, uwielbiałem przesiadywać na wierzchołkach drzew. Niezależnie od pogody. Zawsze jednak musiałem się wspinać - aż do dzisiaj.

Niepewnie, skrzypiąc i trzeszcząc, wielki buk zaczął się pochylać. Kawałek kory odczepił się od pnia. Wyciągnąłem szyję, patrząc na zginające się najwyższe gałęzie. Kiedy drzewo pochyliło się przede mną, wybrałem miejsce do siedzenia w szczelinie między gałęzią a pniem.

Nagle usłyszałem kolejny szelest. Drzewo przestało się pochylać. Zaczęło się powoli prostować. Powtórzyłem ze złością polecenie. Drzewo zamarło, po czym znow zaczęło się do mnie schylać.

Ponownie rozległ się szelest. Drzewo przestało się zginać i zaczęło prostować.

Policzki mi zapłonęły. Jak to możliwe? Wbiłem palce w pień gotów do podjęcia kolejnej próby, kiedy moich uszu doszedł przenikliwy śmiech podobny do odgłosu dzwoneczków. Odwróciłem się i ujrzałem udrapowaną liśćmi dziewczynkę o szaroniebieskich oczach i z gąszczem kręconych brązowych włosów. Połyskujące pnącza oplatały całe jej ciało, jakby sama była drzewem. Przyglądała mi się, nadal się śmiejąc, z dłońmi na uplecionym z trawy pasku.

- Rhia! Powinienem był się domyślić.

Przechyliła głowę na bok.

- Tak szybko znużyła cię rozmowa z bukiem? Znowu brzmisz jak Celt.

- Dalej bym rozmawiał, gdybyś nam nie przerwała.

Rhia potrząsnęła brązowymi lokami, w które były wplątane liście.

- Nie rozmawiałeś, tylko rozkazywałeś.

Zirytowany spojrzałem na drzewo, które teraz znow stało wyprostowane, a jego srebrzyste liście powiewały na wietrze.

- Możesz mnie zostawić samego?

Loki znów się zatrząsły.

- Potrzebujesz przewodnika. Inaczej mógłbyś się zgubić. - Spojrzała z troską na buk. -

Albo zrobić jakieś głupstwo.

Skrzywiłem się.

- Nie jesteś moim przewodnikiem! Zaprosiłem cię, żebyś mi towarzyszyła, pamiętasz?

Ale nie myślałem, że będziesz się wtrącać.

- Za to kiedy ja uczyłam cię języka drzew, nie myślałam, że będziesz go używał, by je skrzywdzić.

- Skrzywdzić? Nie widzisz, co robię?

- Owszem. I to mi się nie podoba. - Rhia tupnęła o ziemię, zgniatając trawę. - To niebezpieczne - i dowodzi braku szacunku - zmuszać drzewo, żeby się tak pochylało. Może zrobić sobie krzywdę. Albo nawet umrzeć. Jeżeli chcesz usiąść na drzewie, to musisz się sam na nie wspiąć.

- Wiem, co robię.

- W takim razie przez ostatnie trzy tygodnie niczego się nie nauczyłeś! Nie pamiętasz pierwszej zasady mowy drzew? Najpierw słuchaj, potem mów.

- To patrz. Pokażę ci, ile się nauczyłem.

Rhia podeszła do mnie szybko i ścisnęła mnie za łokieć silną dłonią.

- Czasami przypominasz mi małego chłopca. Jesteś taki zadufany w sobie, taki nierozważny.

- Idź sobie - warknąłem. - To ja uratowałem to drzewo! Wskrzesiłem je! Wolno mi kazać mu się schylać, kiedy mam taką zachciankę.

Rhia zmarszczyła brwi.

- Nie, Merlinie. To nie ty wskrzesiłeś drzewo. - Puściła mnie i wskazała leżący na trawie instrument. - To Harfa Kwitnienia wskrzesiła drzewo. Ty tylko na niej grasz.

II

GODNE POWITANIE

- Gdzie się podziała cała słodycz?

Odchyliłem się na miękkiej wonnej trawie łagodnego stoku łąki, uważając, żeby nie uderzyć głową o Harfę. Mimo niewidzących oczu mój magiczny wzrok bez trudu dostrzegł

nabrzmiały różowe jagody w dłoni Rhii. Wiedziałem, że jej pytanie dotyczyło tego, że dla niej są za mało słodkie. Jednak przez ostatnie dni, jakie minęły od naszej scysji przy buku, sam zadawałem sobie to samo pytanie - lecz o naszą przyjaźń.

Choć Rhia pojawiała się i znikwała o nieprzewidywalnych porach, nigdy nie zostawiała mnie na długo. Towarzyszyła mi na łańcuchach górskich i w dolinach, niekiedy w milczeniu, niekiedy z pieśnią na ustach. Rozbijała obóz nieopodal i jadła ze mną większość posiłków.

Nadal nazywała się moim przewodnikiem, choć było oczywiste, że nikogo takiego nie potrzebowałem.

Jednak pomimo jej obecności dzieliła nas teraz niewidzialna ściana. W pewnym sensie podróżowaliśmy razem, lecz tak naprawdę wędrowaliśmy oddzielnie. Ona po prostu nie rozumiała. I to mnie bolało. Nie umiałem jej opisać dreszczu, który towarzyszył wskrzeszaniu ziemi, wypełnianiu jej zielenią pąków i nadziei. Zawsze kiedy próbowałem to zrobić, dawała mi wykład o Harfie Kwitnienia. Albo co gorsza posyłała mi spojrzenie, które przeszywało mnie na wskroś. Jakby bez potrzeby pytania wiedziała, co myślę i czuję. Po tym, co dla niej zrobiłem! Czy wszystkie dziewczynki były tak nieznośne jak ona?

Machnąłem w stronę krzewu, którego splątane gałęzie uginały się od różowych jagód.

- Jeżeli ci nie smakują, to dlaczego ciągle je jesz?

Nadal zrywając jagody z gałęzi, odparła:

- Gdzieś muszą być słodsze. Wiem to.

- Skąd?

Wzruszyła ramionami i włożyła garść jagód do ust.

- Mmmff. Po prostu wiem.

- Ktoś ci to powiedział?

- Powiedział mi to wewnętrzny głos. Głos, który rozumie jagody.

- Rhio, bądź rozsądna! Ten krzak nie jest jeszcze dojrzały. Powinnaś poszukać innego.

Zignorowała mnie i żuła dalej.

Wyrwałem kępkę trawy i rzuciłem ją w dół stoku.

- A jeżeli zjesz tyle kwaśnych jagód, że nie będziesz miała miejsca na słodkie?

Odwróciła się do mnie, a jej policzki były tak wypchane jagodami jak policzki wiewiórki żołądkami.

- Mmmff - powiedziała, przełykając. - Wtedy to będzie dzień kwaśnych jagód, a nie słodkich. Ale mój głos mi podpowiada, że są tu też słodkie. To tylko kwestia zaufania jagodom.

- Zaufania jagodom! Co ty mówisz?

- Właśnie to, co mówię. Czasami lepiej traktować życie, jakby niosła cię wielka rzeka.

Słuchać wody i dać się jej poprowadzić, nie starając się zmienić biegu rzeki.

- Co mają wspólnego jagody z rzekami?

Brązowe loki Rhi opadły, kiedy pokręciła głową.

- Tak się zastanawiam... czy wszyscy chłopcy są tacy nieznośni jak ty?

- Dość tego!

Stałem na nogi i przewiesiłem Harfę Kwitnienia przez ramię, krzywiąc się od dręczącego mnie od dawna bólu między łopatkami. Ruszyłem po łące, a koniec mojej laski zostawiał na trawie serię punkcików. Zauważyłem po lewej stronie ożywiony, choć ciągle obwisły głóg, sięgnąłem przez ramię i szarpnąłem strunę. Głóg natychmiast się wyprostował i obrósł różowymi i białymi pąkami.

Zerknąłem na Rhię, spodziewając się pochwały, choćby mało entuzjastycznej. Ale ona wydawała się całkowicie pochłonięta przeglądaniem gałęzi krzewu jagód. Odwróciłem się do wzgórza koloru rdzy, które wznosiło się ze skraju łąki, i ruszyłem żwawo w jego stronę.

Ocienione występy skalne na jego szczycie mogły skrywać jaskinie goblinów. Mimo że podczas swoich podróży po Mrocznych Wzgórzach widziałem wiele takich miejsc, nie natknąłem się jeszcze na ślady tych stworzeń. Być może obawy Cairprégo były nieuzasadnione.

Nagle się zatrzymałem. Dostrzegłem na szczycie wzgórza podwójne wybrzuszenie i zacząłem się bawić laską, obracając ją w dłoni, rozważając zarazem pewien pomysł.

Skręciłem na zachód, w dół stoku.

Rhia zawołała do mnie.

Postawiłem laskę i spojrzałem w jej stronę.

- Tak?

Pomachała w stronę wzgórza poplamioną jagodami dłonią.

- Nie idziesz w złą stronę?

- Nie. Muszę odwiedzić przyjaciół.

Zmarszczyła czoło.

- A co z twoim zadaniem? Miałeś nie odpoczywać, dopóki nie skończysz z Mrocznymi Wzgórzami.

- Nie będę odpoczywać! - Kopnąłem gęstą trawę pod butami. - Ale nikt nie mówił, że mam po drodze unikać przyjaciół. Zwłaszcza przyjaciół, którzy potrafią docenić to, co robię.

Pomimo problemów ze wzrokiem bez trudu dostrzegłem jej czerwieniejące policzki.

- Moi przyjaciele mają ogród. Zadbam o to, żeby był tak bujny jak kiedyś.

Oczy Rhii zwęziły się.

- Jeżeli to prawdziwi przyjaciele, to będą z tobą szczerzy. Powiedzą ci, żebyś wracał do swojego zajęcia.

Odszedłem. Wiatr smagał mnie po twarzy i moje niewidzące oczy zaszyły łzami. Ale ja schodziłem dalej po stoku, a tunika trzepotała mi o nogi. *Jeżeli to prawdziwi przyjaciele, to będą z tobą szczerzy.* Słowa Rhii rozbrzmiewały mi w głowie. Kim był tak naprawdę przyjaciel? Jeszcze niedawno uważałem Rhię za swoją przyjaciółkę. A teraz tylko zrzędziła mi nad uchem. Dać sobie spokój z przyjaźnią?! Może to było rozwiązanie. Na przyjaciółach nie można polegać i są zbyt wymagający.

Zagryzłem wargę. Prawdziwy przyjaciel byłby oczywiście inny. To ktoś taki jak moja matka - całkowicie lojalna, zawsze oddana. Ale ona była wyjątkowa. Na Fincayrze nie znajdę nikogo takiego jak ona. A jednak... być może z czasem zacznę czuć to samo do innych ludzi.

Na przykład do pary, którą miałem odwiedzić, T'eileana i Garlathy. Jedno muśnięcie strun Harfy wystarczy, żeby wzbogacić tak ich ogród, jak naszą przyjaźń.

Wiatr na chwilę zelżał. Kiedy ocierałem oczy rękawem, usłyszałem za sobą na trawie miękkie kroki Rhii. Choć mnie zirytowała, poczułem ulgę. Oczywiście nie dlatego, że potrzebowałem jej towarzystwa. Chciałem po prostu, żeby była świadkiem wdzięczności i podziwu, których miałem za chwilę zaznać od prawdziwych przyjaciół.

Odwróciłem się do niej.

- Czyli jednak wybierasz się ze mną.

Pokręciła ponuro głową.

- Potrzebujesz przewodnika.

- Nie zgubię się, jeżeli to masz na myśli.

Zmarszczyła brwi.

Bez słowa ruszyłem w dół stoku, wbijając się piętami w glebę. Rhia trzymała się blisko, bezgłośnie jak cień. Kiedy dotarliśmy do równin, wiatr zupełnie ustał. W parnym powietrzu unosiła się mgła, prażyło słońce. Wycierałem pot, który szczypał mnie w oczy.

Przez długie popołudnie szliśmy w milczeniu. Co jakiś czas, kiedy roślinność na polach robiła się sucha i łamliwa, delikatnie trącałem struny Harfy, zostawiając za nami pasmo zielonych traw, pluskających strumieni i przywróconych do życia najróżniejszych istot. Jednak choć słońce nadal grzało nam plecy, nie było w stanie poprawić nam nastroju.

W końcu dojrzałem znajomy stok przedzielony głęboką wyrwą. W niej, jakby wyrastając ze skał i gleby samego wzgórza, stała szara kamienna chatka. Otaczał ją rozsypujący się mur oraz kilka płożących się winorośli i cienkich drzew owocowych. Mizerny był to ogród. Jednak w czasach przed upadkiem Spowitego Zamku stanowił prawdziwą oazę na środku Rdzawych Pól.

Jak zaskoczeni będą moi starzy przyjaciele T'eilean i Garlatha, kiedy wniosę do ich mizernego ogródka bezkresny dar! Z wdzięczności odejmie im mowę. Może nawet Rhia będzie w końcu pod wrażeniem. Po drugiej stronie muru w cieniu bujnie porośniętych liśćmi gałęzi dostrzegłem dwie siwe głowy. T'eilean i Garlatha. Stali jedno obok drugiego nad grządką jaskrawożółtych kwiatów, a ich głowy potakiwały powoli w rytm muzyki, którą słyszeli tylko oni.

Uśmiechnąłem się na myśl o cudownym darze, który im niosłem. Kiedy widziałem ich ostatni raz w drodze do Spowitego Zamku, byłem tylko chłopcem w łachmanach, który miał

nikłe szanse, żeby dożyć kolejnego dnia. Nie spodziewali się, że mnie kiedyś jeszcze zobaczą.

A ja nie spodziewałem się, że tu wrócę. Przyspieszyłem kroku, a Rhia zrobiła to samo.

Zanim znaleźliśmy się dwadzieścia kroków od rozsypującego się murku, obie głowy podniosły się zgodnie niczym zające na łące rankiem. T'eilean pierwszy stanął na nogi. Podał

Garlacie dużą pomarszczoną dłoń, ale ta zbyła ją machnięciem i wstała bez pomocy. Patrzyli, jak się zbliżamy, T'eilean gładząc swoje niesforne wąsy, Garlatha osłaniając oczy.

Przeszedłem przez murek, a Rhia za mną. Pomimo ciężaru Harfy na ramieniu stałem tak wyprężony, jak się dało.

Zmarszczki na twarzy Garlathy ułożyły się w łagodny uśmiech.

- Wróciłeś.

- Owszem - odparłem, odwracając się, żeby zobaczyli Harfę. - I coś wam przyniosłem.

T'eilean zmarszczył brwi.

- Chcesz powiedzieć, że kogoś nam przyprowadziłeś.

Rhia zrobiła krok naprzód. Jej szaroniebieskie oczy zaświeciły się na widok dwójki starszusków

stojących w ogrodzie obok swojej prostej chatki. Nie czekając, aż ją przedstawię, skinęła na powitanie.

- Nazywam się Rhia.

- Ja jestem T'eilean. A to moja żona, z którą spędziłem sześćdziesiąt siedem lat, Garlatha.

Siwa kobieta zmarszczyła brwi i kopnęła go w goleń, nieznacznie chybiając celu.

- Sześćdziesiąt osiem, ty stary głupcze.

- Przepraszam, moja kaczucho. Sześćdziesiąt osiem. - Zrobił krok w tył, po czym dodał: - Widzicie, ona ma zawsze rację.

- Twoje szczęście, że mamy gości, bo pogoniłabym cię rydłem - prychnęła Garlatha.

Jej mąż zerknął na zakopany do połowy w grządce rydel, machając ręką zartobliwie niczym niedźwiadek.

- I znów ma rację. Gdyby nie wizyty gości, którzy mnie chronią, pewnie bym nie dożył tego wieku.

Rhia stłumiła śmiech.

Twarz Garlathy złagodniała i staruszka sięgnęła po dłoń T'eileana. Stali razem przez chwilę szarży jak kamienie chatki. Liście drżały łagodnie dokoła, jakby w hołdzie dla oddanych dłoni, które troszczyły się o ogród tyle lat.

- Przypominacie mi dwa drzewa - zauważyła Rhia. - Drzewa, które stały na tej samej glebie tak długo, że w końcu się ze sobą zrosły. Korzeniami i w ogóle.

Garlatha spojrzała z błyskiem w oku na swojego towarzysza.

Postanowiłem zacząć jeszcze raz.

- A jeśli chodzi o to, co rośnie, mam ze sobą...

- Tak! - wykrzyknął staruszek, przerywając mi. - Przyprowadziłeś swoją przyjaciółkę Rhię. - Odwrócił się do niej. - Witamy cię nie mniej serdecznie niż blask słońca.

Garlatha pociągnęła mnie za rękaw tuniki.

- A co z twoim przyjacielem, który przyszedł z tobą poprzednio, tym z kartoflanym nochalem?

- U Shima wszystko w porządku - odparłem szorstko. - A teraz...

- Choć nos - przerwała mi Rhia - jeszcze mu się powiększył.

Garlatha uniosła brew.

- On wyglądał na takiego, który potrafi zaskoczyć.

Odchrząknąłem i zacząłem mówić podniosłym tonem:

- A teraz mam dla państwa wspaniałą niespodziankę.

Jednak zanim dokończyłem zdanie, staruszka znów zwróciła się do Rhii:

- Jesteś z Lasu Druma? Krój twojego odzienia kojarzy mi się z leśnymi elfami.

- Druma to mój dom, od kiedy pamiętam.

Garlatha nachyliła się bliżej.

- Czy prawdą jest to, co słyszałam? Że można tam znaleźć najrzadsze ze wszystkich drzew, którego każda gałąź wydaje inne owoce?

Rhia się rozpromieniła.

- To prawda. Rzeczywiście rośnie tam drzewo shomorra. Można nawet powiedzieć, że to mój ogród.

- W takim razie twój ogród jest niezwykle, moje dziecko. Twój ogród jest niezwykle!

Coraz bardziej sfrustrowany stuknąłem laską o ziemię.

- Niosę prezent, którym zamierzam obdarzyć ten właśnie ogród.

Żadne ze staruszków mnie nie słyszało, oboje byli zajęci zadawaniem Rhii pytań o Las Druma. Wydawali się bardziej zainteresowani nią niż mną. A przecież miałem dla nich coś cennego!

W końcu muskularna ręka T'eileana sięgnęła po owoc w kształcie spirali, który wisiał

na gałęzi nad jego głową. Zerwał go zgrabnym gestem. Bładopurpurowy owoc lśnił mu w dłoni.

- To larkon - oznajmił śpiewnym tonem. - Najwspanialszy dar tej krainy dla naszego skromnego domostwa. - Przyglądał mi się bez słowa. - Pamiętam, że ci smakował.

Nareszcie, pomyślałem. Jednak kiedy wyciągałem dłoń po owoc, T'eilean odwrócił

się i podał go Rhii.

- Jestem więc pewien, że tak samo przypadnie do gustu twojej przyjaciółce.

Policzki piekły mnie ze wstydu, kiedy patrzyłem, jak Rhia bierze larkona. Zanim zdążyłem coś powiedzieć, T'eilean zerwał kolejny spiralny owoc i podał go mnie.

- Jesteśmy zaszczyceni twoim powrotem.

- Zaszczyceni? - zapytałem z niedowierzaniem w głosie. Korciło mnie, żeby powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymałem.

T'eilean i Garlatha wymienili spojrzenia, po czym znów popatrzyli na mnie.

- Mój chłopcze, powitać cię jako gościa w naszym domu to największy zaszczyt, jaki możemy ci zaoferować. Zrobiliśmy to poprzednio i robimy to teraz.

- Ale teraz, T'eileanie, mam ze sobą Harfę Kwitnienia.

- Owszem, owszem, zauważyłem. - Kąciki jego ust opadły i pierwszy raz widać było po nim piętno wieku. - Drogi chłopcze, Harfa Kwitnienia to najwspanialszy ze wszystkich Skarbów, obdarzony magią siewu. Jednak w naszym domu nie witamy gości w zależności od tego, z czym przychodzą. Witamy ich, patrząc, z czym wychodzą do innych.

Zagadki! I mówi je ktoś, kogo miałem za przyjaciela. Skrzywiłem się i odgarnąłem niesforne włosy z twarzy.

T'eilean wziął długi oddech, po czym mówił dalej:

- Jako twoi gospodarze jesteśmy ci winni gościnność. Jak również szczerą. Jeżeli już niesiesz brzemień Harfy, to tym bardziej powinna ci ciążyć odpowiedzialność za uzdrowienie naszej krainy, zanim będzie za późno. Wiele od ciebie zależy, mój chłopcze. Z

pewnością nie masz czasu na odwiedzanie prostych ludzi naszego pokroju.

Zacisnąłem szczękę.

- Wybacz mi, ale staram się być szczerą.

- Merlinie, zaczekaj - zawołała Rhia.

Nie usłyszałem reszty jej słów, gdyż przeszedłem już nad kamiennym murkiem.

Ruszyłem sam przez równinę, a struny Harfy pobrzękiwały mi na plecach.

III

CIEPŁY WIATR

Mając tylko gwiazdy za przykrycie, spędziłem tę noc zwinięty w kłębek we wgłębieniu na brzegu strumienia. Pod głową miałem wilgotne od rosy sitowie. Jedną ręką mogłem sięgnąć pluskającej wody, która spadała po kamiennych stopniach wyściełanych zielonym mchem. Drugą dotykałem spoczywającej między trzciniami Harfy Kwitnienia i mojej laski.

Powinienem cieszyć się z samotności. Z tego, że udało mi się uwolnić od ludzi, których świat zwał przyjaciółmi. Jednak szarpanie w tym miejscu magicznych strun, ożywienie tego strumienia nie

sprawiło mi radości. Nie cieszyło mnie również obserwowanie sitowia i mchów, które wyrastały z suchej gleby. Ani nawet to, że o północy dojrzałem na niebie Pegaza, moją ulubioną konstelację, odkąd po raz pierwszy pokazała mi ją matka.

Tej nocy spałem niespokojnie i nie jechałem na uskrzydłonym grzbiecie Pegaza tak jak tyle razy wcześniej w snach. Przyśniło mi się coś innego.

W moim śnie siedziałem na szkarłatnym kamieniu i patrzyłem na zbliżającą się do mnie matkę. W jakiś sposób ozdrowiały mi oczy. Znow widziałem. Widziałem naprawdę!

Promienie słońca połyskiwały na jej złotych włosach, a inne światło migotało w jej jaskrawych niebieskich oczach. Widziałem nawet małą gałązkę cykuty, którą trzymała w dłoni.

Potem, ku mojemu zaskoczeniu, poczułem, jak rosną mi przednie zęby. I robią się coraz dłuższe. Stawały się coraz większe i zawijały się jak kły dzika. Ich ostre jak sztylety końce celowały prosto w moje oczy! Kiedy zęby mi się wydłużały, wpadłem w panikę.

Wrzasnąłem. Moja matka przybiegła, ale było za późno, żeby mi pomóc. Chwyciłem za kły, usiłując wyrwać je gołymi rękami. Nie umiałem ich wyrwać. Nie umiałem ich powstrzymać.

Powoli, nieubłaganie kły wyginały się, aż końcówki sięgnęły moich oczu. Za kilka sekund je przekłują! Wrzasnąłem z bólu, kiedy poczułem, jak pękają. Byłem znow ślepy, zupełnie ślepy.

Obudziłem się.

Obok mnie pluskał strumień. Nade mną unosił się Pegaz. Podniosłem głowę z sitowia.

To był tylko sen. Dlaczego w takim razie nadal tłukło mi serce? Ostrożnie dotknąłem policzków oszpeconych poparzeniami, od których straciłem wzrok. Bolały mnie okrutnie po tym, jak przed chwilą je podrapałem.

Jednak serce bolało mnie jeszcze bardziej. To wszystko sprawka ognia, który sam wznieciłem! Już utrata wzroku była wystarczająco okropna. Ale to, że sam wyrządziłem sobie tę krzywdę, wydawało się jeszcze gorsze. Pierwszy raz od miesiąca zastanowiłem się, czy Dinatius, chłopiec, którego sięgnęły wzniecone przeze mnie płomienie, przeżył. Nadal słyszałem jego wrzaski bólu, jęki strachu.

Położyłem twarz na sitowiu i zapłakałem. Strumień płynął, a wraz z nim moje łzy. Z

czasem mój szloch ustał. Jednak miałem wrażenie, że odgłos rozlega się nadal, gdzieś obok plusku strumienia. Uniosłem głowę i nasłuchiwałem uważnie.

Szlochanie trwało przerywane długimi, przeciągłymi jękami. Osuszyłem mokre i obolałe policzki rękawem tuniki i podpełzłem na skraj rzeki. Pomimo ciemności sięgałem magicznym wzrokiem na sporą odległość wzdłuż strumienia. Jednak nie mogłem znaleźć źródła posępnego odgłosu. Może był on zaledwie echem moich wspomnień.

Nachyliłem się nad płynącą wodą i poszperałem dłońmi wśród sitowia. Kolano zsuwało mi się ze

skraju błotnistego brzegu, aż prawie wpadłem do wody. Nadal szukałem, choć nic nie znalazłem. Nic a nic. Jednak źródło szlochu i jęków musiało być nieopodal, prawie jakby odgłosy dobiegały z samego strumienia.

Z samego strumienia. Właśnie! Ale jak to możliwe?

Chciałem włożyć do wody lewą dłoń, ale powstrzymałem się. Dobrze znany ból pulsował między moimi łopatkami. Czy to mogła być jakaś sztuczka? Jedno z czyhających na Fincayrze niebezpieczeństw, jak zjawy mimiczne, które przybierały przyjazną postać, żeby zwabić ofiarę i ją zabić? Rhia by wiedziała. Ale Rhii, jak sobie przypominałem ponuro, nie było ze mną.

Jęki znów się wzmogły. Światło gwiazd połyskiwało na ciemnej powierzchni strumienia, który wyglądał jak rzeka kryształów. Zagryzłem wargę i włożyłem dłoń.

Lodowata fala obmyła mi nadgarstek i przedramię. Woda zmroziła mi skórę. Wtedy moje palce coś chwyciły. Coś gładkiego. Okrągłego. Miększego od kamienia. Postarałem się dobrze uchwycić śliski przedmiot i wyciągnąłem go z wody. To był bukłak, nie większy od mojej pięści, z grubego pęcherza, ze skórzaną zatyczką uszczelnioną grubą warstwą wosku.

Napompowany powietrzem, ociekał wodą, połyskując ponuro.

Ścisnąłem go. Usłyszałem głośny jęk, a potem szloch, z którego przebijała rozpacz.

Końcem drewnianej laski odciąłem pierścień wosku. Schodził stopniowo, jakby nie chciał puścić. W końcu odpadł. Zerwałem zatyczkę. Poczułem na policzkach podmuch powietrza.

Było ciepłe, łagodne i lekko pachniało cynamonem. Kiedy bukłak się zapadł, podmuch powietrza owiał mi twarz i włosy jak żywy oddech.

- Dzięki ci, osobo, dzięki ci - zza głowy dobiegł mnie cienki głos.

Upuściłem bukłak i odwróciłem się gwałtownie. Jednak między mną a odległymi gwiazdami nic nie zobaczyłem.

- A może powinnam powiedzieć - wyszeptał ponownie głos - dzięki ci, Emrysie Merlinie?

Wstrzymałem oddech.

- Skąd znasz moje imiona?

- O tak - mówił pogodnie głos - Merlin podoba mi się znacznie bardziej niż stary, sfatygowany Emrys.

Sięgnąłem do góry i zamachnąłem się na nocne powietrze.

- Skąd tyle wiesz? Kim jesteś? I gdzie jesteś?

Cichy, lekko chropawy śmiech rozszedł się w powietrzu przede mną.

- Jestem Aylah, wishlahaylagon. - Znów rozległ się śmiech. - Ale większość ludzi nazywa mnie po prostu wietrzną siostrą.

- Aylah - powtórzyłem. - Wietrzna siostra. - Znów sięgnąłem ku niebu i tym razem moje palce musnęły ciepły prąd powietrza. - A teraz powiedz mi, skąd tyle wiesz.

Woń cynamonu wzmogła się. Ciepłe powietrze owiewało mnie powoli, trzepocząc moją tuniką. Poczulem, jakby otulił mnie wirujący krąg wiatru.

- Wiem tyle, ile wie powietrze, Emrysie Merlinie. Gdyż podróżuję szybko i daleko, nigdy nie śpię, nigdy się nie zatrzymuję.

Niewidzialny płaszcz Ayli nadal powoli wirował wokół mnie.

- Właśnie tym się zajmuje wietrzna siostra, Emrysie Merlinie. - Zaszlochała cicho i na chwilę ucichła. - Chyba że zostanie schwytana, tak jak ja.

- Kto mógłby coś takiego zrobić?

- Ktoś zły, Emrysie Merlinie.

Ciepłe powietrze odleciało, a mnie przeszedł nagle dreszcz chłodu.

- Powiedz mi.

- Ktoś zły, o tak - wyszeptała Aylah z okolicy, gdzie spałem. - Ma wiele imion, ale większość nazywa ją Domnu.

Zadrzałem, choć nie od nocnego powietrza.

- Znam Domnu. Znam jej zdradzieckie sztuczki. Jednak nie nazwałbym jej złą.

- Z całą pewnością nie jest dobra, Emrysie Merlinie.

- Nie jest ani dobra, ani zła. Po prostu jest. Trochę jak los.

- Chcesz powiedzieć, Mroczny Los. - Powiew Ayli musnął struny Harfy, które zabrzęczały delikatnie. - Należy do nielicznego grona tych wiekowych i potężnych istot, które potrafią schwytać wiatr. Nie wiem dlaczego, Emrysie Merlinie, wiem tylko, że uwięziła mnie w tym bukłaku i pozbyła się.

- Współczuję ci.

Ciepły powiew powietrza popieścił mi policzek.

- Gdybyś mi tej nocy nie pomógł, Emrysie Merlinie, myślę, że bym zginęła.

Sciszyłem głos do szeptu i zapytałem:

- Czy wiatr może naprawdę zginąć?

- O tak, Emrysie Merlinie, może. - Powiew kolejny raz musnął mi policzek. - Wiatr, tak jak osoba, może umrzeć z samotności.

- Nie jesteś już sama.

- Ty też nie, Emrysie Merlinie. Ty też nie.

IV

SKARBY

Znów poczułem dreszcz towarzyszący grze na Harfie, którego nie doświadczyłem od opuszczenia Mrocznych Wzgórz. Kiedy szedłem po pofałdowanych płaskowyżach Rdzawych Pól, ziemia wręcz buchała nowym życiem, jeszcze zanim zatrzymałem się, żeby szarpnąć struny dębowego instrumentu. Najsuchsze trawy chyliły się przede mną, a wyzute z życia liście podnosiły się z ziemi, wirowały i tańczyły spiralnie u moich stóp, gdyż Aylah leciała obok mnie. Jej łagodny wiatr często muskał moje ręce, a piskliwy śmiech rozlegał się, kiedy tylko zagrałem na magicznych strunach.

Mimo to czasami robiło mi się ciężko na duszy. Za każdym razem, kiedy mijałem kamienną chatkę albo zagajnik drzew owocowych, opierałem się o laskę i marszczyłem brwi, wspominając spotkanie z T'eileanem i Garlathą. Żałowałem, że postanowiłem odwiedzić tych dwoje i ich ogródek. Dodatkowo, kiedy zerkałem na ocienione szczyty na wschodzie, nękało mnie poczucie, że popełniam błąd, nie wracając na wzgórze, by dokończyć tam moje zadanie.

A jednak... po prostu nie czułem się gotów, żeby wrócić. Jeszcze nie teraz. Niech Rhia i reszta jeszcze trochę się pomartwią.

Poczerwieniały ze złości zagrałem na Harfie. Ku mojemu zdziwieniu tym razem łamliwa trawa pod moimi butami nie przeobraziła się w bujne zielone źdźbła. Zamiast tego cała łąka zaczęła się pogrążyć w mroku, jakby słońce schowało się za chmurę. Zaintrygowany spojrzałem na niebo. Ale nie było na nim żadnych chmur.

Zniecierpliwiony zagrałem raz jeszcze. Trawa tylko zeszywniała i pociemniała.

Popatrzyłem zafrapowany na instrument. Co się z nim stało?

Ciepły wiatr wydał mi tunikę.

- Zezłościłeś się, Emrysie Merlinie.

Zeszywniałem.

- Skąd to wiesz?

- Nie wiem - wyszeptała Aylah. - Ja tylko czuję. I w tej chwili wyczuwam twój gniew.

Przyspieszyłem kroku, chcąc zostawić łąkę w tyle. Szerniałe źdźbła trawy dźgały mnie w buty niczym tysiacy cierni.

- Dlaczego tak się zezłościłeś, Emrysie Merlinie?

Wyszedłem poza poczerniałą połąc trawy i zatrzymałem się. Wziąłem głęboki oddech i wypuściłem powoli powietrze.

- Właściwie to nie wiem.

Eteryzna forma Ayli otoczyła mnie, wypełniając moje nozdrza wonią cynamonu.

- A może za kimś tęsknisz?

Ścisnąłem trzon łaski.

- Za nikim nie tęsknię.

- Nawet za matką?

Ugięły się pode mną kolana, ale nic nie powiedziałem.

Wietrzna siostra zawirowała wokół mnie.

- Nigdy nie miałam z nią do czynienia, Emrysie Merlinie, choć znam wiele osób, które ją spotkały. Musiała być dobrą przyjaciółką.

Zamrugąłem, żeby pozbyć się rosy z niewidzących oczu.

- Tak. Była moją dobrą przyjaciółką. Być może jedyną przyjaciółką.

Poczułem na policzku ciepły oddech Ayli.

- Czy mógłbyś mi o niej opowiedzieć?

Obracając w dłoni łaskę, ponownie ruszyłem przez suchą trawę o barwie rdzy.

- Uwielbiała nocne niebo, gwiazdy, marzenia i tajemnice. Uwielbiała historie o starożytnych miejscach, takich jak Olimp i wyspa Apolla Delos. Uwielbiała zieleń i rośliny, i wszystkie stworzenia, które szybują, drepczą albo pływają. I kochała mnie.

Choć jej wirowanie zwolniło, Aylah była teraz bliżej mnie niż kiedykolwiek. Jej podmuch mnie otulił.

- Masz rację - przyznałem. - Tęsknię za nią. Aż trudno mi uwierzyć jak bardzo. -

Wzięłem urywany oddech. - Gdybym tylko mógł znów z nią być, Aylo! Choćby przez godzinę.

- Rozumiem. O tak, rozumiem.

Przyszło mi do głowy, że Aylę, pomimo jej eterycznej postaci, łączą z moją matką pewne cechy. Była serdeczna i troskliwa. I nie próbowała dawać mi rad.

Wtedy zauważyłem niedaleko przed nami kępę niskich krzaków z niebieskawą korą i szerokimi liśćmi. Przypomniałem sobie, że kiedy Rhia jadła ich owoce, to smakowały jej.

Odłożyłem Harfę Kwitnienia i laskę, podszedłem do krzaków i wyciągnąłem jeden z nich z korzeniami, odsłaniając grubą niebieską bulwę. Wytarłem jej skórę tuniką i wgrzyłem się w cierpki miąższ.

- Mogę się jakoś z tobą podzielić? Nie wiem, czym się żywisz, ale mógłbym czegoś dla ciebie poszukać.

Szerokie liście krzewu zatrzepotały, kiedy Aylah przeleciała nad nimi.

- Żywię się tylko odległymi woniami niezbadanych jeszcze krain. Moim przeznaczeniem jest błąkanie się. - Delikatnie zmierzwiła mi włosy. - A teraz, obawiam się, że nadszedł czas naszego rozstania.

Przestałem przeżuwać.

- Rozstania? Dlaczego?

Eteryczny głos odezwał mi się wprost do ucha:

- Bo ja jestem wiatrem, Emrysie Merlinie, i muszę latać. Zawsze się unoszę, zawsze krążę, taka moja natura. Jest wiele miejsc, które muszę zobaczyć, w Fincayrze i w innych światach. - Przez chwilę unosiła się przy Harfie. - Ty również musisz odlecieć, gdyż czeka na ciebie misja na Mrocznych Wzgórzach.

Zmarszczyłem brwi.

- Ty też, Aylo? Myślałem, że przynajmniej ty nie będziesz usiłowała mówić mi, co mam robić.

- Nie mówię ci, co masz robić, Emrysie Merlinie. Mówię ci tylko, że wiatry przynoszą wieści o niepokojących rzeczach, złych rzeczach na Mrocznych Wzgórzach. Sprzymierzeńcy Rhity Gawra znów dają o sobie znać. Z dnia na dzień nabierają śmiałości. Niedługo gobliny wychyną ze swoich jaskiń, a z nimi zjawy mimiczne. Wtedy będzie za późno, żebyś mógł

uzdrowić krainę.

Po tych słowach poczułem ucisk w żołądku. Przypomniałem sobie ostrzeżenie Cairprégo, kiedy wręczał mi Harfę. *Mroczne Wzgórzka trzeba odratować przed powrotem Rhity Gawra, inaczej stracimy naszą jedyną szansę. Pamiętaj: jeżeli Harfa będzie ci uległa, a ty będziesz się uchylał od*

swojej misji, nigdy nie zostanie ci to wybaczone.

Rozejrzałem się po szczytach wzgórz na horyzoncie. Strzegły ich cienie chmur.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, muszę wracać. Nie poszłabyś ze mną? Nie moglibyśmy podróżować jeszcze chwilę razem?

- Zostałam z tobą, Emrysie Merlinie, dłużej, niż kiedykolwiek byłam z osobą pozbawioną własnych skrzydeł. - Poczułem jej oddech na karku. - A teraz muszę odlecieć.

Odrzuciłem bulwę z ponurą miną.

- Słyszałem, że kiedyś Fincayranie mieli skrzydła. Może to tylko stara baśń, ale chciałbym, żeby była prawdziwa. Żałuję, że je stracili. Gdyby nie to, miałbym może swoją parę i mógłbym polecieć z tobą.

Poczułem na ramionach wirujący podmuch.

- Ach, Emrysie Merlinie, czyli znasz tę historię? Mieć skrzydła i je stracić. Taka tragedia! Nawet jeśli wielu Fincayran zapomniało, jak to się stało, nie mogą się pozbyć gnębiącego ich bólu między łopatkami.

Rozpostarłem sztywnym ruchem rękę, czując stary ból.

- Aylo, czy ty wiesz, jak do tego doszło? Nawet Cairpré, który słyszał tak wiele historii, nie wie, jak Fincayranie stracili skrzydła. Powiedział mi kiedyś, że oddałby połowę swojej biblioteki, żeby się dowiedzieć.

Ciepły wiatr okrążył mnie, wirując powoli.

- Znam tę historię, Emrysie Merlinie. Być może pewnego dnia ci ją opowiem. Ale nie teraz.

- Naprawdę już odlatujesz? Zawsze mi się to przytrafia. Cokolwiek znajdę, zaraz to tracę.

- Mam nadzieję, że jeszcze mnie kiedyś znajdziesz, Emrysie Merlinie.

Nagły powiew wiatru zatrzepotał rękawami mojej brązowej tuniki. Potem równie szybko wiatr zniknął.

Przez dłuższą chwilę stałem w bezruchu. W końcu poczułem burczenie w żołądku.

Nie zwróciłem na nie uwagi. Kiedy usłyszałem je ponownie, pochyliłem się, żeby podnieść wyrzuconą bulwę. Ugryzłem kolejny kęs, myśląc o Ayli, wietrznej siostrze. Potem, kiedy skończyłem, ruszyłem na wschód, w stronę Mrocznych Wzgórz.

Dokoła mnie Rdzawe Pola unosiły się i opadały jak wielkie fale. Dreptałem naprzód, a suche trawy trzaskały mi pod stopami. Delikatny wiatr dmuchał mi w plecy, chłodząc ciepło słońca, ale to nie wiatru mi było trzeba. Jeszcze bardziej niż za towarzystwem Ayli tęskniłem bowiem za uczuciem

satysfakcji z wykonywanej pracy, które tak niedawno odzyskałem - po czym znowu straciłem. Harfa ciążyła mi na ramieniu.

Co jakiś czas dotykałem torby z ziołami leczniczymi, którą matka dała mi tuż przed naszym pożegnaniem w wilgotnej kamiennej komnacie w Caer Myrddin. Nigdy wcześniej tak bardzo za nią nie tęskniłem. I wiedziałem, że ona tęskni za mną. Gdyby była tutaj, nie zostawiłaby mnie tak jak inni. Znajdowała się jednak tak daleko jak najodleglejszy wiatr.

Kiedy złociste słońce zniżało się na niebie, zbliżyłem się do nieregularnej grupy zasadzonych w sześciu bądź siedmiu rzędach drzew. Choć na gałęziach zagajnika nie widziałem owoców, połyskiwało tam kilka białych kwiatów, których znajomy zapach dochodził w moją stronę. Kwiaty jabłoni. Wziąłem głęboki oddech, sycąc się aromatem.

Jednak nie podniosło mnie to na duchu. Być może pomogłaby mi gra na Harfie, poczucie radości z przywracania krainy do życia.

Wziąłem instrument do rąk. Zawahałem się, przypominając sobie dziwne uczucie na mrocznej łące. Uznałem, że to musiał być przypadek. Powoli przesunąłem palce po strunach.

Naraz lśniący pędzel omiółł drzewa i otaczające je pola traw. Na gałęziach pojawiły się jabłka, które nabrzmiały do sporych rozmiarów. Pnie pogrubiły się, korzenie rozmnożyły.

Drzewa wystrzeliły do góry, dumnie machając gałęziami pełnymi owoców. Wyprężyłem pierś. Cokolwiek się stało na mrocznej łące, nie stanowiło teraz problemu.

Nagle usłyszałem krzyk. Z jednego z drzew spadł chłopiec z nagim torsem, mniej więcej w moim wieku. Wylądował w rowie nawadniającym, który biegł pod gałęziami.

Rozległ się inny okrzyk. Podbiegłem do tego miejsca.

Z rowu wygramolił się chłopiec o włosach i skórze tak brązowych jak ziemia. Potem, ku mojemu zaskoczeniu, wyłoniła się druga postać, która wyglądała jak starsza i bardziej krępa wersja chłopca. Rozpoznałem w nim człowieka pracującego na roli.

Ani on, ani chłopiec nie zauważyli mnie, gdyż stałem w cieniu jabłoni. Mężczyzna bez koszuli wyprostował potężny grzbiet, po czym chwycił chłopca za ramiona.

- Nic ci się nie stało, synu?

Chłopiec rozmasował sobie poobijane zebra.

- Nie - uśmiechnął się nieśmiało. - Dobra z ciebie poduszka.

Mężczyzna przyjrzał mu się z rozbawieniem.

- Nieczęsto zdarza ci się spaść z gałęzi.

- Bo gałęzie nieczęsto się unoszą, żeby mnie strącić! I zobacz, tato! Są obwieszane jabłkami.

Mężczyzna wciągnął powietrze. Tak jak chłopiec wpatrywał się z otwartymi z wrażenia ustami w drzewa po przemianie. Ja również zacząłem się uśmiechać. Właśnie takie wrażenie chciałem zrobić na Rhi i reszcie - moja matka z pewnością zareagowałaby tak samo. Zawsze delektowała się urodą i smakiem świeżych jabłek.

- Synu, to przecież cud. To dar od samego wielkiego boga Dagdy.

Wyszedłem z cienia.

- Nie, Honnie. To dar ode mnie.

Mężczyzna przestraszył się. Spojrzał na mnie, potem na rozłożyste drzewo, a potem znów na mnie. W końcu zwrócił się do syna:

- To on! Ten chłopiec, o którym ci opowiadałem.

Syn Honna zrobił wielkie oczy.

- Ten, który pokonał złego króla? Który nazwał się tak samo jak sokół?

- Mam na imię Merlin - oznajmiłem i klepnąłem chłopca w ramię. - Twój ojciec pomógł mi, kiedy byłem w potrzebie.

Honn przesunął dłonią po brudnych włosach.

- Boże jedyny, chłopaku. Zanim doszły mnie wieści o twoim sukcesie, byłem pewien, żeś już dawno martwy.

Oparłem się o powyginaną laskę i wyszczerzyłem zęby.

- Nie dziwię się. Gdyby nie ten poręczny sztylet, który dałeś mi wtedy, pewnie byłbym już dawno martwy.

Rozcierając potężną szczękę, Honn przyglądał mi się przez chwilę. Poniżej nagiego torsu miał tylko luźne brązowe spodnie. Jego dłonie, choć o popękanej skórze i pełne odcisków, były potężne jak korzenie drzewa.

- Cieszę się, że stary dobry sztylet do czegoś się przydał, mój chłopcze. A gdzie teraz jest?

- Gdzieś w ruinach Spowitego Zamku. Nie udało mi się nim zabić upiornika, jednego z nieśmiertelnych żołnierzy Stangmara. Ale zyskałem dzięki niemu kilka cennych sekund.

- Ciesz się to. - Honn przeniósł wzrok na magiczny instrument. - Widzę, że znalazłeś Harfę Kwitnienia. - Tracił chłopca. - Widzisz, synu, to był naprawdę cud! Żadnemu zwykłemu śmiertelnikowi, nawet tak utalentowanemu jak ten tu nasz młody sokół, nie udałooby się czegoś takiego

dokonać. Wskreszenie naszego sadu to sprawka Harfy, nie młodzika.

Skrzywiłem się, szykując się do odpowiedzi. Jednak zanim zdążyłem coś powiedzieć, Honn ciągnął:

- Moim zdaniem, synu, wszystkie Skarby Fincayry to cuda nad cudami stworzone przez samego Dagdę. - Cichym, wręcz nabożnym głosem dodał: - Istnieje nawet pług, jedno z Siedmiu Mądrych Narzędzi, który umie uprawiać ziemię. Naprawdę! Chodzą słuchy, że każde pole, którego tknie, wyda idealne plony, nie za duże i nie za małe.

Chłopiec pokręcił głową zadziwiony. Machnął w stronę rozsypującego się pługa, który leżał przy rowie, i zaśmiał się.

- Z tym byśmy go raczej nie pomylili, tato! Plecy mnie bolą od samego patrzenia, jak go ciągniesz.

Honn rozpromienił się.

- Bardziej bolą mnie, jak skaczesz na mnie z drzewa.

Obaj się zaśmiali. Honn objął syna krzepkim ramieniem i odwrócił się do mnie z dumą na twarzy.

- Tak naprawdę to ja też mam własny skarb. Tego tu młodzika. Jest dla mnie cenniejszy niż cały ocean skarbów.

Przełknąłem ślinę i przebiegłem palcami po skórzanej torbie mojej matki. Zapach słodkich ziół przebijał się przez woń dojrzałych jabłek.

- I co byś zrobił, Honnie, gdybyś kiedyś stracił ten skarb? Tego młodzika?

Jego twarz zastygła, jakby była z kamienia.

- Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby go odzyskać.

- Nawet jeżeli to by znaczyło, że musisz zostawić swoją pracę niedokończoną?

- Żadna praca nie jest od tego ważniejsza.

Przytaknąłem ponuro. *Żadna praca nie jest od tego ważniejsza.*

Przekroczyłem rów i ruszyłem naprzód. Kiedy dotarłem na skraj sadu, zatrzymałem się i spojrzałem na Mroczne Wzgórza mieniające się jak węgle w blasku zachodzącego słońca.

Długi cienki cień mojej laski wskazywał prosto na wzgórze z przesmykiem, gdzie przerwałem swoją misję.

Powoli odwróciłem się na północ. Wrócę na te wzgórza i do mojego zadania już niedługo. I wtedy ożywią wszystkie źdźbła traw co do jednego. Jednak najpierw miałem zrobić coś innego. Musiałem odnaleźć swoją matkę. I tak jak zadeklarował Honn, zamierzałem uczynić wszystko, co w mojej

mocy, żeby tego dokonać.

V

BŁAZEN

Późno następnego dnia, kiedy pasma złocistego blasku tkwały świetliste wzory na trawach Rdzawych Pól, stanąłem na skraju wzniesienia. Poda mną znajdowało się skupisko ustawionych w nierównym kręgu domów z cegły błotnej. Strzechy lśniły tak jaskrawo jak równiny wokół. Między ścianami domów rozciągały się długie drewniane deski łączące domy jak ramiona stojących w kręgu dzieci. Od woni pieczonego na ognisku ziarna drapało mnie w nosie.

Czułem rosnącą ekscytację - i wzmagający się niepokój, gdyż było to Caer Neithan, Miasteczko Bardów. Wiedziałem, że poeta Cairpré obiecał przyjść tu po zakończeniu Wielkiej Rady, żeby pomóc w naprawie wyrządzonych przez Stangmara zniszczeń.

Wiedziałem też, że jeżeli w całej Fincayrze jest ktoś, kto może mi pomóc znaleźć matkę, to osobą tą jest właśnie Cairpré.

Nie będzie zadowolony, widząc mnie, ponieważ nie wykonałem jeszcze swojego zadania. Ale przecież poznał Elen o Szafirowym Spojrzeniu, kiedy ją uczył, i wydawało mi się, że on też pragnął jej powrotu. Czy kiedyś nie powiedział mi, że więcej nauczył się od niej o sztuce uzdrawiania, niż ona dowiedziała się od niego? Kto wie, może będzie wiedział, jak sprowadzić ją przez otaczającą wyspę zasłoną mgłą. Wtedy, z matką u boku, będę mógł z radością w sercu dokończyć pracę na Mrocznych Wzgórzach.

Zszedłem po stoku, a moja laska uderzała o spękaną glebę w rytm objadającej mi się o plecy Harfy. Wsłuchując się w coraz wyraźniejsze odgłosy wioski, nie mogłem zapomnieć niepokojącej ciszy, jaka tu panowała podczas mojej poprzedniej wizyty. Ciszy, która na swój sposób była głośniejsza od burzy z piorunami.

Niegdyś w Miasteczku Bardów rzadko gościła cisza. Żadna inna osada w Fincayrze nie miała bogatszej tradycji opowieści i muzyki. Przez wieki była ona domem dla najlepszych bardów tej krainy i świadkiem debiutu niejednego z nich. Nawet sam Cairpré, o którego sławie poety dowiedziałem się z drugiej ręki, urodził się w jednym z domków z cegły błotnej.

Kiedy zbliżyłem się do lśniących złotym światłem bram wioski, w drzwiach domostw zaczęło się pojawiać więcej ludzi. Ubrani w długie tuniki z białego materiału, wyróżniali się na tle zaschniętego, zaskorupiałego błota domów, desek z ciemnego drewna łączących budynki i pustych donic przyczepionych do większości parapetów. Sięgnąłem po Harfę skuszony wizją wypełnienia donic, które zionęły skrytą w cieniu pustką. Postanowiłem jednak poczekać przed oznajmieniem swojego przybycia.

Pojawiało się coraz więcej ludzi. Co ciekawe bardzo się od siebie różnili kolorem skóry, wiekiem, włosami, budową ciała i rozmiarami. Jednak oprócz białych tunik łączyło ich coś jeszcze. Wszyscy się wahali, jakby byli czegoś niepewni. Zamiast zebrać się na okrągłym placu między domami,

trzymali się skrajy osady. Kilkoro zostało w drzewach, gdzie wierzeli się nerwowo, ale większość usiadła na drewnianych deskach otaczających otwartą przestrzeń. Wyglądało, jakby gromadzili się w jakimś celu, ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ich zachowanie jest podszyte niechęcią.

Wtedy na środek kręgu wystąpił wysoki wychudły osobnik w szarym płaszczu na tunice. W dziwnym trójgraniastym kapeluszu, tak przechylnym na bok, że groził

spadnięciem, mężczyzna wyglądał jak ktoś, kto przesadził z winem. Z krawędzi kapelusza zwisały połyskujące metalowe kulki. Mężczyzna zaczął wymachiwać długimi pałkowatymi rękami, trzepocząc luźnymi rękawami, i jednocześnie wykrzykiwał słowa, których nie rozumiałem.

Od razu pojąłem sens ustawienia domów wokół okrągłego placu. Miasteczko było amfiteatrem! A ja przybyłem akurat na spektakl.

Kiedy zbliżyłem się do bram, przystanąłem. W odróżnieniu od mojej poprzedniej wizyty tym razem na spotkanie nie wyszedł strażnik z wymierzoną w moją pierś dzidą.

Powitała mnie przyczepiona do słupa tabliczka ze świeżo wrytym napisem. Połyskując w świetle późnego popołudnia, głosiła: „Caer Neithan, Miasteczko Bardów, wita wszystkich, którzy przychodzą w pokoju”. Pod tymi słowami rozpoznałem jeden z dwuwierszy Cairprégo: *Tu pieśń rozbrzmiewa już z oddali, opowieść krąży po schodach spirali.*

Kiedy tylko przeszedłem przez bramę, zeskoczył z deski i podszedł do mnie szybkim krokiem szczupły kudłaty mężczyzna. Nad ciemnymi oczami wisały mu splątane brwi, niesforne niczym krzaki. Poczekaliśmy na niego oparty o laskę.

- Witaj, Cairpré.

- Merlinie - wyszeptał, rozkładając ręce, jakby chciał zaklaskać z radości. Potem zerknął przez ramię na wychudłego osobnika, który coś recytował, i rozmyślił się. - Dobrze cię widzieć, mój chłopcze.

Przytaknąłem, gdyż uświadomiłem sobie, że musiał uznać moją misję na Mrocznych Wzgórzach za zakończoną. Nie będzie łatwo powiedzieć mu prawdę.

Raz jeszcze zerknął na przemawiającego mężczyznę i na ponure, niemalże zapłakane twarze widzów.

- Żałuję tylko, że nie trafiłeś na bardziej udane przedstawienie.

- Nic się nie stało - wyszeptałem. - Z posępnych twarzy wnioskuję, że ten człowiek ma talent do zasmucania widzów. Co on recytuje? Jakiś tragiczny wiersz?

Brwi Cairprégo uniosły się wysoko na jego czole.

- Niestety nie. - Potrząsnął kudłatą czupryną. - Nie uwierzysz, ale biedaczysko próbuje być zabawny.

- Zabawny?

- Tak.

W tej chwili moich uszu doszło głośnie stukanie i pobrząkiwanie. Kiedy się odwróciłem do wykonawcy, ujrzałem, jak potrząsa gwałtownie głową, machając spiczastym kapeluszem na boki. Odgłos wydawały metalowe kulki. To były dzwoneczki! Oczywiście, pomyślałem, w sam raz, aby rozśmieszyć publiczność. Szkoda tylko, że wydawany przez nie odgłos był tak irytujący, gdyż bardziej niż dzwoneczki przypominał brzęczące miecze.

Przez chwilę przyglądałem się temu osobnikowi. Dłonie mu opadły, ramiona zwiotczały, grzbiet się zgarbił. Ponadto cała jego twarz - w tym brwi, oczy i usta - była jakby zmarszczona. Efekt ten zwiłokrotniała, pomimo jego wątej postury, obwisła szyja z kilkoma warstwami podbródków. Kiedy więc usta wyginały mu się w podkówkę, ta mina powtarzała się pięć bądź sześć razy.

Nagle otulił się ciężkim płaszczem, jakby szykował się do przemówienia. Potem, smutno i powoli, zaczął śpiewać - albo, gwoli ścisłości, zawodzić. Miał płaczący głos, a jego oddechy przypominały szlochanie. Skrzywiłem się tak jak Cairpré i większość mieszkańców.

Mężczyzna być może usiłował być śmieszny, ale w jego śpiewie było tyle radości co w pieśni żałobnej.

Gdy dzwoneczki dźwiękiem zabłyszczą,

Wasze wszystkie łęki wnet pryszczą.

Smutek, który was gnębił,

W radość się rychło zmieni.

Cieszyć się i radować będziecie do woli:

Błazen nadciąga, a z nim moc swawoli!

Figłów, podskoków chmara,

Śmiechu jest co niemiara!

Dzwoneczków słodkie brzęczenie

Cudowne robi wrażenie.

Cieszyć się i radować będziecie do woli:

Błazen nadciąga, a z nim moc swawoli!

Zawodzenie nie miało końca, a ja zwróciłem się do Cairprégo:

- Czy on nie wie, jak to brzmi? To najmniej zabawna osoba, jaką w życiu spotkałem.

Poeta westchnął ciężko.

- Chyba wie. Ale i tak się stara. Zwie się Bambulo. Kiedy jako dziecko pierwszy raz wystraszył swoim śpiewem ptaki, zamarzyło mu się, żeby zostać błaznem. Nie byle figlarzem, ale prawdziwym błaznem, przedstawicielem szlachetnej sztuki ubierania mądrości w szaty humoru. Bambulo Radosny, tak się nazywa.

- Bardziej by pasowało Bambulo Żałosny.

- Wiem, wiem. Jak już wcześniej mówiłem: *Bochen chleba chce być duży, lecz przesada mu nie służy.*

Tymczasem mieszkańcy wyglądali żałośnie jak sam Bambulo. Wielu trzymało się za głowę, a wszyscy się krzywili. Jedna dziewczynka odtrąciła matkę i uciekła do pobliskiego domu, a czarne włosy falowały za nią. Choć kobieta została na swoim miejscu, wydawało się, że zazdrości córce.

Odwróciłem się do Cairprégo, też się krzywiąc.

- Po co ci ludzie go słuchają?

- Jeden z jego... hm... „zabawnych recitali”, jak ma zwyczaj je nazywać, może zepsuć ci trzy kolejne posiłki. Ale jak każdy mieszkaniec Caer Neithan występuje w miasteczku co roku na swoje urodziny. - Cairpré pokręcił głową. - A reszta musi słuchać. Nawet ci, którzy tak jak ja nie mieszkają tu, ale mają pecha, że znaleźli się w niewłaściwy dzień.

Cairpré pomachał w stronę okrągłego placu i zawołał, tym razem już głośno:

- I pomyśleć tylko, że odbywały się tu wspaniałe występy. *Młot nocy. Okręt złudzeń.*

Przysięga Gerainta.

Odwrócił się i wskazał na jeden z mniejszych, starszych domów.

- Pwyll, której podszyty rozpaczą uśmiech stał się kanwą wielu tomów poezji, napisała tu swój pierwszy wiersz. - Wskazał na niski dom z drewnianym gankiem. - Tam się urodził Chromy Laon. I nie zapominajmy o Banji. Jussivie Juźci-Radosnej. Ziffianie.

Wszyscy wywodzą się właśnie stąd. Tak jak inni słynni bajarze.

Raz jeszcze popatrzyłem na Bambula, który wymachiwał długimi rękami, nie przerywając zawodzenia.

- Tylko w snach może zostać błaznem.

Cairpré przytaknął ponuro.

- Wszyscy mamy marzenia. Ale niewielu z nas trzyma się marzeń nieprzystających do naszych

realnych możliwości! Dawno temu Bambula mógł uratować jeden ze Skarbów Fincayry, magiczny róg znany jako Zaklinacz Marzeń. Pomyśl o tym, Merlinie. Kiedy w Zaklinacz zadmucha ktoś niezwykle mądry, to ziści się jego najbardziej upragnione marzenie.

Nawet tak nierealne jak marzenie Bambula. Dlatego w opowieściach i pieśniach często nazywa się ten Skarb Rogiem Dobrych Wieści.

Na czole Cairprého wystąpiły linie głębsze od blizn na mojej twarzy. Wiedziałem, że wspomina, jak Rhita Gawr wykorzystał moc Zaklinacza Marzeń, by rozgłosić same złe wieści. Na tę wioskę sprowadził najstraszliwszy koszmar każdego poety, barda czy muzyka: całkowicie uciszył głosy wszystkich mieszkańców, unicestwiając tym samym instrumenty ich dusz. Dlatego Miasteczko Bardów było ciche jak cmentarz, kiedy zawitałem tu poprzednim razem. Z udręczonej miny Cairprého wywnioskowałem, że choć klątwa zniknęła po zburzeniu Spowitego Zamku, jej wspomnienie pozostawało żywe.

Dzwoneczki na kapeluszu Bambula zaczęły znów pobrzękiwać, tym razem głośniej.

Gdybym nie trzymał laski, zasłoniłbym sobie uszy. Trąciłem Cairprého i zapytałem:

- Dlaczego sam nie wypróbujesz na nim Zaklinacza Marzeń?

- Nie mógłbym.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim, mój chłopcze, nie zamierzam brać niczego - a z całą pewnością żadnego ze Skarbów - z jaskini Wielkiej Eluzy, gdzie się teraz znajdują. Zostawię to komuś dużo odważniejszemu. Albo głupszemu. Ale to nie jest główny powód. W istocie nie jestem dość mądry, żeby używać Zaklinacza.

Zamrugalem zaskoczony.

- Nie dość mądry? Przecież poeta Cairpré słynie w całej krainie z...

- Kiepskich rymów, cytatów, idealizmu i głupoty - dokończył. - *Po co się oszukiwać, mętlik w głowie ukrywać.* Ale starcza mi mądrości, żeby wiedzieć, jak niewiele naprawdę wiem.

- To bzdura. Widziałem twoją bibliotekę. Tyle w niej książek! Nie możesz mi powiedzieć, że nic nie wiesz.

- Nie powiedziałem, że nic nie wiem, mój chłopcze. Powiedziałem, że wiem za mało.

To co innego. Nie mógłbym władać legendarnym Zaklinaczem Marzeń, bo to byłby akt strasznej pychy.

- Pychy?

- Grecy nazywali ją *hybris*, co znaczyło arogancję. Nadmierną dumę z samego siebie.

To przywara, która zgubiła niejednego wielkiego człowieka. - Cairpré znów ściszył głos do szeptu. - W tym, o ile mi wiadomo, twojego dziadka.

Zesztywniałem.

- Masz na myśli... Tuathę?

- Tak. Tuathę. Najpotężniejszego czarodzieja, jakiego znała Fincayra. Jedyne go śmiertelnika, któremu udało się złożyć wizytę w Zaświecie, żeby poradzić się Dagdy, i powrócić żywy. Nawet on dał się ponieść pysze. I ona go zabiła.

Harfa Kwitnienia nagle zaczęła mi ciążyć, ramię wpijał mi się w ramię.

- Jak zginął?

Cairpré nachylił się ku mnie.

- Nie znam szczegółów. Nikt ich nie zna. Wiem tylko, że przecenił swoją potęgę i zlekceważył najbardziej nieustraszonego sługę Rhity Gawra, jednookiego ogra o imieniu Balor.

Cairpré się otrząsnął.

- Porozmawiajmy jednak o przyjemniejszych sprawach! Mój chłopcze, opowiedz mi o Harfie. Szybko uporałeś się ze swoim zadaniem na Mrocznych Wzgórzach, skoro jesteś z powrotem na równinach.

Przestąpiłem nerwowo z nogi na nogę, pocierając dłonią sękaty koniec laski. Kiedy wyczułem palcami głębokie wcięcia, w powietrzu rozeszła się woń cykuty, przypominając mi o kobiecie, której aromaty towarzyszyły mi w dzieciństwie. Nadszedł czas, żebym powiedział

Cairprému o swoich zamiarach.

Wzięłem głęboki oddech i oznajmiłem:

- Jeszcze nie skończyłem pracy na Wzgórzach.

Wziął głęboki wdech.

- Nie skończyłeś? Miałeś jakieś kłopoty? Natknąłeś się na gobliny?

Pokręciłem głową.

- To ja byłem źródłem kłopotów.

Cairpré zmierzył mnie spojrzeniem bezdennych studni swoich oczu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że odkryłem coś ważniejszego od swojej misji. - Spojrzałem poecie w twarz. - Chcę odnaleźć matkę. Sprowadzić ją do Fincayry.

Na jego twarzy błysnął gniew.

- I z tego powodu chcesz nas wszystkich narazić?

Poczułem ściskanie w gardle.

- Cairpré, proszę. Dokończę swoją misję. Obiecuję! Ale muszę znów zobaczyć matkę.

I to jak najszybciej. Czy to naprawdę tak wiele?

- Tak! Narażasz w ten sposób wszystkie stworzenia tej krainy.

Spróbowałem przełknąć ślinę.

- Cairpré, Elen oddała dla mnie wszystko! Uwielbiała życie tutaj. Kochała je z całego serca. I wszystko to zostawiła, żeby mnie chronić. Podczas naszego pobytu w Gwynedd byłem, no cóż, byłem jej jedynym towarzyszem. Jej jedynym przyjacielem. Choć nigdy na to nie zasługiwałem.

Urwałem, przywołując w myślach smutne pieśni matki, jej uzdrawiające dłonie, cudownie błękitne oczy.

- Między nami nie zawsze się układało. Ale byliśmy sobie znacznie bliżsi, niż myśleliśmy. Pewnego dnia zostawiłem ją tam zupełnie samą. Po prostu. Musi się czuć okropnie w tej zimnej kamiennej komnacie. Może jest chora, może ma problemy. Nie chcę jej tu sprowadzić tylko dla siebie, lecz dla jej dobra.

Mina Cairprégo nieco złagodniała. Położył mi dłoń na ramieniu.

- Merlinie, posłuchaj. Rozumiem cię. Ileż to razy sam pragnąłem znów ujrzeć Elen!

Ale nawet jeżeli odłożymy na potem przywracanie życia na Mrocznych Wzgórzach, żeby zająć się sprowadzeniem tu kogoś ze świata zza mgły - cóż, może się to okazać niezwykle niebezpieczne.

- Jesteś pewien? Morze już dwa razy mnie oszczędziło.

- Nie chodzi o morze, mój chłopcze, choć sama podróż roi się od niebezpieczeństw.

Fincayra ma swój charakter, podąża własnym rytmem, którego śmiertelnicy mogą się tylko domyślać. Chodzą słuchy, że nawet sam Dagda nie śmiał snuć przypuszczeń co do tego, komu będzie dane przedostać się przez zasłone mgły.

- Nie wierzę.

Wzrok poety spochmurniał.

- Każda osoba sprowadzona tu spoza Fincayry musi się liczyć z niebezpieczeństwem, tak samo jak reszta mieszkańców krainy. - Zamknął oczy zamyślony. - Być może nie rozumiesz, że każdy, kto tu przybywa, nawet najmniejszy motyl, może zmienić równowagę życia na Fincayrze i spowodować niewypowiedziane zniszczenia.

- Mówisz jak Domnu - prychnąłem - kiedy przekonywała, że sprowadzę zagładę na całą Fincayrę.

Cairpré odwrócił głowę do bram miasteczka, które nie lśniły już złocistym światłem.

Za nimi Mroczne Wzgórza wiły się jak fale wzburzonego morza.

- Być może tak się stanie. Zwłaszcza jeżeli nie dokończysz tego, co zacząłeś.

- Nie pomożesz mi?

- Nie pomógłbym ci, nawet gdybym potrafił. Jesteś tylko chłopcem. I to głupszym, niż myślałem.

Stuknąłem laską o ziemię.

- Posiadam moc posługiwania się Harfą, nieprawdaż? Sam powiedziałeś Wielkiej Radzie, że mam serce czarodzieja. Być może sprowadzenie mojej matki również leży w mojej mocy.

Cairpré ścisnął moje ramię tak mocno, że jęknąłem.

- Nie mów takich rzeczy, nawet żartem. Aby być prawdziwym czarodziejem, nie wystarczy samo serce. Trzeba ducha, intuicji, doświadczenia i wiedzy - olbrzymiej wiedzy o naturze kosmosu i wszystkich sztuk magicznych. Co więcej, potrzeba mądrości, która podpowie ci, kiedy sięgnąć po te zdolności, a kiedy się powściągnąć. Prawdziwy czarodziej korzysta bowiem ze swojej mocy z rozważą, tak jak fachowy łucznik ze strzał.

- Nie mówię o strzałach. Mówię o swojej matce, Elen. - Wyprostowałem się. - Jeżeli mi nie pomożesz, to znajdę inny sposób.

Cairpré znów zmarszczył czoło.

- Prawdziwemu czarodziejowi potrzeba czegoś jeszcze.

- Czego? - zapytałem zniecierpliwiony.

- Pokory. Posłuchaj mnie uważnie, chłopcze! Zapomnij o tym szalonym pomysle.

Weź Harfę i wracaj do swojego zadania na wzgórzach. Nie masz pojęcia o ryzyku, jakie ci grozi.

- Gotów byłbym stawić czoło jeszcze większemu, żeby sprowadzić moją matkę.

Poeta spojrział w niebo.

- O, Dagdo, pomóż mi!

Przeniósł wzrok z powrotem na mnie i zapytał:

- Jak mam sprawić, żebyś zrozumiał? Jest powiedzenie, stare jak sama wyspa, które mówi, że tylko najmądrzejsza muszla z Wybrzeża Mówiących Muszli może poprowadzić kogoś przez mgły. To wydaje się proste. A jednak żaden czarodziej w historii, nawet Tuatha, nie odważył się spróbować. Czy teraz uświadamiasz sobie skalę zagrożenia?

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Nie. Ale to dobry pomysł.

- Merlinie, nie! Nie wolno ci tego zrobić. Oprócz wszystkich tych niebezpieczeństw grozi ci coś jeszcze. Tym razem konkretnie tobie. Decydując się na taki akt wielkiego czarnoksięstwa, ujawnisz Rhicie Gawrowi, gdzie się znajdujesz, i obawiam się, że nie tylko to. Kiedy wróci, żeby kontynuować swój plan zniszczenia tego i innych światów, będzie cię ścigał. Wspomnisz moje słowa.

Pociągnąłem za pasek Harfy.

- Nie boję się go.

Krzaczaste brwi Cairprégo uniosły się.

- W takim razie zacznij się bać, gdyż przy twojej pysze będzie on mógł zaznać najśłodszej zemsty. Podporządkuje cię sobie, tak jak zrobił to z twoim ojcem.

Poczułem ucisk w żołądku, jakby ktoś mnie uderzył.

- Chcesz powiedzieć, że nie jestem lepszy od Stangmara?

- Chcę powiedzieć, że jesteś równie podatny. Jeżeli Rhita Gawr nie zabije cię od razu, będzie usiłował cię zniewolić.

W tej chwili padł na nas cień człowieka. Odwróciłem się i zobaczyłem Bambula.

Najwyraźniej skończył swój recital i podszedł do nas, a my byliśmy zbyt pogrążeni w rozmowie, by zauważyć, że nas słucha. Kiedy nachylał się niezdarnie, kapelusz spadł mu na ziemię, brzęcząc głośno. Podniósł go. Potem spojrział zgarbiony na Cairprégo.

- Poszło mi fatalnie, prawda?

Poeta, który nadal piorunował mnie wzrokiem, zbył go machnięciem dłoni.

- Innym razem. W tej chwili rozmawiam z chłopcem.

Bambulo odwrócił do mnie swoje pofałdowane podbródki i poprosił ponuro:

- W takim razie ty mi powiedz. Poszło mi fatalnie czy nie?

Pomyślałem, że jeżeli odpowiem, to da mi spokój, więc odwzajemniłem ponure spojrzenie.

- Tak, tak. Poszło ci fatalnie.

Ale on nie odszedł. Pokiwał tylko głową posepnie, pobrzękując dzwoneczkami.

- Spapałem recytację. Prawda jak sto pięćdziesiąt.

- Merlinie - jęknął Cairpré. - Posłuchaj moich ostrzeżeń! Chcę ci tylko pomóc.

Zarumieniłem się.

- Pomóc mi? Czy to dlatego poprzednim razem próbowałeś mnie namówić, żebym nie szedł do Spowitego Zamku? Czy dlatego nie powiedziałaś mi, że Stangmar jest moim ojcem?

Poeta skrzywił się.

- Nie powiedziałem ci o twoim ojcu, bo bałem się, że tak straszna prawda może cię mocno zranić. Że zwątpisz w siebie, może nawet znienawidzisz sam siebie. Być może się pomyliłem, tak jak myliłem się, myśląc, że nie uda ci się zniszczyć zamku. Ale teraz się nie mylę! Wracaj na Mroczne Wzgórza.

Zerknąłem na bramy miasteczka. Spowite cieniem, stały ciemne jak grobowce.

- Najpierw wybieram się na Wybrzeże Mówiących Muszli.

Zanim Cairpré zdążył odpowiedzieć, Bambulo odchrząknął, a jego liczne podbródki zatrzęśły się. Potem zarzucił na siebie płaszcz dramatycznym gestem.

- Idę z tobą.

- Co? - krzyknąłem. - Nie chcę, żebyś ze mną szedł.

- Prawda jak sto pięćdziesiąt. Ale i tak pójdę.

W ciemnych oczach Cairprégo pojawił się błysk.

- Pożałujesz swojej decyzji prędzej, niż ci się zdaje.

VI

PRZEZ MGŁY

Jak gorzki smak, który pozostaje w ustach długo po ugryzieniu kawałka zgniłego owocu, tak Bambulo ze swoimi brzęczącymi dzwoneczkami dotrzymywał mi towarzystwa.

Tylko że po zgniłym owocu można przepłukać usta i smak zniknie. Bambula nie byłem w stanie się pozbyć, cokolwiek bym zrobił czy powiedział. Choć szedłem najszybciej, jak potrafiłem, nie przystając nawet, żeby pobrzdakać na Harfie, nie umiałem się od niego uwolnić.

Kiedy wychodził za mną przez bramę Caer Neithan, Cairpré stał i przyglądał się bez słowa. Błazen podążał za mną po wzgórzach i zapadlinach równin, wędrując jeszcze długo po zmroku, nocował ze mną pod starą wierzbą, po czym podejmował marsz następnego dnia w duchocie i upale. Towarzyszył mi aż do wielkiej dudniącej Nieustającej Rzeki.

Przez cały czas mamrotał coś o upale, kamykach w butach i trudach życia błazna.

Kiedy zbliżyliśmy się do rzeki, zapytał mnie kilka razy, czy chciałbym usłyszeć jego sławną zagadkę o dzwoneczkach, obiecując przy tym, że podniesie mnie ona na duchu. Za każdym razem, kiedy mówiłem mu, że nie mam ochoty słuchać jego zagadki - ani jego dzwoneczków

- przez chwilę się dąsał, a potem znowu zadawał to samo pytanie.

- Ale to jest zagadka fikuśna, zmyślna i niesamowita - upierał się. - Zagadkowa zagadka szmatka. Nie, na odwrót. Niech to licho, znów sknołem. To zagadkowa zagadka, a nie gadka szmatka. O, właśnie tak. Jest śmieszna. I mądra. - Urwał z jeszcze posepniejszą miną niż zazwyczaj. - To jedyna zagadka, jaką znam.

Pokręciłem głową, zmierzając szybkim krokiem w stronę Nieustającej Rzeki. Kiedy zbliżyliśmy się do jej stromych kamiennych brzegów, w dole kłębił się rwący nurt. Mgiełka kropel unosiła się wysoko w powietrzu, malując tęczone mosty, które mieniły się w blasku słońca. Plusk i ryk wody były tak głośne, że pierwszy raz od opuszczenia Miasteczka Bardów nie słyszałem dzwoneczków Bambula. Ani jego próśb, żebym wysłuchał zagadki.

Odwróciłem się do niego. Spróbowałem przekrzyczeć ryk rzeki:

- Przede mną daleka droga, aż na południowy brzeg. Przeprawa przez rzekę będzie niebezpieczna. Powinieneś teraz zawrócić.

W odpowiedzi Bambulo zawołał do mnie ponuro:

- Czyli nie chcesz mnie?

- Nie!

Zmarszczył się po sześciokroć.

- Oczywiście, że mnie nie chcesz. Nikt mnie nie chce. - Patrzył na mnie przez chwilę.

- Ale ja chcę ciebie, szczęściarzu.

Wlepiłem w niego wzrok.

- Szczęściarzu? Tego na pewno nie da się o mnie powiedzieć! Moje życie to jedno pasmo rozczarowań, bez przerwy kogoś tracę.

- To widać - oznajmił Bambulo. - Dlatego trzeba ci błazna. - Zmarszczył ponuro brwi i dodał: - Żeby cię rozśmieszał. - Odchrząknął. - Tak przy okazji, opowiadałem ci już zagadkę o dzwoneczkach?

Prychnąłem i wziąłem laską zamach na jego głowę. Uchylił się, garbiąc się bardziej niż zwykle. Laska musnęła tył jego płaszcza.

- Żaden z ciebie błazen! - krzyknąłem. - Jesteś kłątwą! Żalosią kłątwą.

- Prawda jak sto pięćdziesiąt. - Westchnął ciężko. - Jestem zerem, a nie błaznem.

Kompletnym zerem. Błazen musi spełnić tylko dwa warunki: musi być mądry i zabawny. A ja nie jestem ani mądry, ani zabawny. - Po policzku spłynęła mu łza podszyta łękiem. - Czy umiesz sobie wyobrazić, jakie to uczucie? Jak mnie to boli od kciuków po palce u stóp?

Przeznaczony jest mi los błazna, który wszystkich tylko zasmuca. I zasmuca też samego siebie.

- Dlaczego wybrałeś mnie? - zaprotestowałem. - Nie mogłeś przyczepić się do kogoś innego?

- Oczywiście, że mogłem - zawołał, przekrzykując ryk wody. - Ale ty się wydajesz taki... nieszczęśliwy. Najbardziej nieszczęśliwy ze wszystkich ludzi, których spotkałem w życiu. Będiesz prawdziwym wyzwaniem dla błazna! Jeżeli uda mi się ciebie rozśmieszyć, to uda mi się rozśmieszyć każdego.

Jęknąłem.

- Nigdy nikogo nie rozśmieszysz. To akurat jest pewne.

Wysunął w moją stronę swoje podbródki i chciał zawirować teatralnie płaszczem.

Jednak potknął się o kamień i zarzuciło nim w bok tak, że mało brakowało, a zgubiłby nakrycie głowy i zsunął się po brzegu. Złapał kapelusz i wcisnął go sobie na czoło - na odwrót. Prychnął i poprawił go, ale wtedy znów się potknął i upadł siedzeniem na zabłoconą ziemię. Mamrocząc coś pod nosem, stanął z powrotem na nogi, usiłując wytrzeć błoto ze spodni.

- No cóż - oznajmił, pobrzękując dzwoneczkami. - Przynajmniej mogę ci zaoferować przyjemność, jaką daje moje towarzystwo.

Przewróciłem oczami, potem zerknąłem przez ramię na Nieustającą Rzekę. Być może gdybym wskoczył do rwącego nurtu, mógłby mnie on zanieść daleko w dół rzeki. Z dala od tej wyjątkowo dokuczliwej ludzkiej postaci. Jednak choć mnie korciło, udało mi się opanować. Rzeka na tym odcinku płynęła zbyt szybko, a poszarpane skały sterczały jak sztylety. Żle by się to skończyło dla Harfy i zapewne też dla mnie. Gdzie była Rhia, kiedy jej potrzebowałem? Ona wiedziałaby, jak

porozmawiać z duchem rzeki i uspokoić fale.

Wzdrygnąłem się na wspomnienie naszego rozstania. Lecz to Rhia ponosiła winę, nie ja. Była taka pewna siebie. Chyba cieszyła się z mojego upokorzenia.

Podciągnąłem Harfę wyżej na ramieniu. Kiedy przekroczę rzekę, przynajmniej nie będą mnie otaczać te splekane pola ciągnące się bez końca jak popielate niebo, które bez przerwy przypominały mi o niedokończonym zadaniu. Pamiętałem, że na południe stąd koryto rzeki znacznie się rozszerza. Tam mógłbym przejść na drugi brzeg. Potem będę kontynuował wędrówkę na Wybrzeże Mówiących Muszli. Z Bambulem albo bez niego.

Ku mojemu przerażeniu okazało się, że jednak z nim. Ponury błazen z trzepoczącymi rękawami i pobrzękującymi dzwoneczkami towarzyszył mi niczym cień, kiedy mijałem ciąg ryczących wodospadów, pokonywałem grząskie bagna i przechodziłem ponad połaciami gładkich kamieni na brzegach rzeki. W końcu, kiedy doszliśmy do płycizny pod skupiskiem olbrzymich jajowatych głazów, przeprawiliśmy się na drugą stronę Nieustającej Rzeki.

Lodowata woda uderzała o golenie, a miękka gleba przy każdym kroku wsysała buty.

Wydawało mi się, że rzeka starała się mnie zatrzymać.

Po wyjściu z wody kontynuowaliśmy wędrówkę wzdłuż zachodniego brzegu. Przez kilka godzin człapaliśmy alejkami wśród trzciny o postrzępionych źdźbłach. Po prawej stronie wyciągały się ku niebu strzeliste wierzchołki drzew Lasu Druma, zakrywając ziemię połacią zieleni aż po odległe Mgliste Wzgórza. Ptaki o jaskrawych skrzydłach śmigały między gałęziami - ptaki, które Rhia na pewno umiałaby rozpoznać. Przez cały czas robiłem, co mogłem, żeby zignorować podążającą za mną zgarbioną postać z pobrzękującymi dzwoneczkami.

W końcu dostrzegłem rząd pofałdowanych wydmy, za którymi wiła się zasłona mgły.

Serce mocniej zabiło mi w piersi. Pomimo ograniczeń magicznego wzroku poczułem uderzenie fali intensywnych barw. Żółte piaski. Zielone liściaste pnącza. Różowe i purpurowe muszle. Żółte kwiaty.

Buty zapadały mi się w miękkim piasku, kiedy wdrapywałem się na pierwszą wydmy.

Kiedy dotarłem do szczytu, zobaczyłem wybrzeże obmywane falami. Zaczął się odpływ. Pod grubą warstwą mgły piasek pokrywały małże. Słyszałem ich strzykanie i chlupot, na które nakładało się ćwierkanie i plusk ptaków wodnych o długich łyżkowatych dziobach. Do bardziej kamienistych połaci Ignęły tysiące małych małży. Wszędzie leżały olbrzymie czerwone rozgwiazdy, trąbiki o szerokich pyszczkach i połyskujące meduzy. Między nogami ptaków przemykały kraby.

Nabrałem do płuc morskiego powietrza i znów poczułem zapach wodorostów. I soli. I tajemnicy.

Schyliłem się, by wziąć garść piasku. Ciepłe i drobne ziarenka przesypywały się między moimi palcami. Tak jak poprzednim razem - pierwszego dnia, kiedy woda wyrzuciła mnie właśnie w tym miejscu. Fincayra wtedy przyjęła mnie, dała mi schronienie przed burzami - tymi, z którymi

zmagalem się na morzu, jak również tymi, które szalały w mojej głowie.

Patrzyłem, jak ziarenka piasku ześlizgują się po krzywiznie mojego palca na wewnętrzną stronę dłoni. Turlając się, połyskiwały jaskrawo, jakby były żywe. Tak samo jak moja skóra. Jak sama Fincayra. Uświadomiłem sobie, że zaczynam się przywiązywać do tej wyspy. Choć wiele razy czułem się tu nieszczęśliwy, byłem zaskoczony, jak ciągnie mnie do jej niezwykłych krajobrazów, poruszających historii i - pomimo tego, jak mnie tu traktowano

- różnorodności mieszkańców. I do czegoś jeszcze, czego nie umiałem sprecyzować.

Ta wyspa była, jak mawiała moja matka, pograniczem, miejscem, gdzie nieśmiertelne istoty żyły obok śmiertelników. Oczywiście nie zawsze w harmonii. Ale z bogactwem, potęgą i tajemnicą obu światów naraz. Po części Niebo, po części Ziemia. Po części ten świat, a częściowo Zaświat.

Stałem i chłonałem dźwięki i zapachy wybrzeża Fincayry. Być może pewnego dnia będę się tu czuł naprawdę jak u siebie. W pewnym sensie już się tak czułem, przynajmniej bardziej niż kiedykolwiek wcześniej w żalosnej wiosce w Gwynedd. Gdyby jeszcze tylko była tu jedna konkretna osoba, Fincayra mogłaby się stać moim domem. Jednak osoba ta przebywała bardzo daleko. Za mgłą, za czarnymi skałami wybrzeża Gwynedd.

Zdjąłem Harfę i położyłem ją przed sobą. Od kiedy minąłem jałowe pola, nie muskałem jej strun. Zastanowiło mnie, co by się stało, gdybym zagrał na niej w miejscu tak tętniącym życiem jak to.

Szarpnąłem jedną strunę, najwyższą. Zadzźwięczała jak roztrzaskujący się soplel. Kiedy nuta wybrzmiała w powietrzu, na zwróconej do morza stronie wydmy pojawił się czerwony kwiat o kształcie wielkiego dzwonu. Kiedy patrzyłem, jak się kiwa na słonym wietrze, zapragnąłem go dotknąć, powąchać.

Ale nie było na to czasu. Nie teraz. Położyłem Harfę i moją laskę na piasku tak, żeby Bambulo nie miał okazji dobrać się do nich. Błazen zdążył tymczasem rozsiaść się na plaży i ze zmarszczonym czołem przyglądał się falom obmywającym jego spuchnięte stopy.

Trójgraniasty kapelus, którego dzwonki na razie ucichły, leżał obok niego. Choć Bambulo nie siedział daleko ode mnie, wydawał się czymś zajęty.

Rozejrzałem się w jedną i w drugą stronę wzdłuż wybrzeża. Z każdą napływającą i odpływającą falą po piasku toczyły się muszle najróżniejszych barw i rozmiarów. Byłem pod wielkim wrażeniem rozmiaru i piękna plaży, tak samo jak za pierwszym razem, kiedy tu trafiłem. Tamtego dnia muszla wyszeptała do mnie słowa, których nie zrozumiałem. Czy dziś również mnie to czekało? I czy tym razem zrozumieć wiadomość?

Gdzieś była ta właściwa muszla. Nie miałem jednak pojęcia, jak wygląda. Pamiętałem tylko słowa Cairprégo: *Jest powiedzenie, stare jak sama wyspa, które mówi, że tylko najmądrzejsza muszla z Wybrzeża Mówiących Muszli może poprowadzić kogoś przez mgły.*

Zaczynając od konchy w kropki nieopodal trzonu mojej laski, zacząłem oglądać muszle. Płaskie,

okrągłe, wygięte, spiralne, głębokie, wszystkie przewinęły się przez moje ręce. Jednak żadna nie była tą właściwą. Nie miałem nawet pewności, jak szukać.

Przypomniałem sobie poradę Rhii: *Zaufaj jagodom*. Oczywiście było to absurdalne, jednak czemuś musiałem zaufać. Chciałem tylko wiedzieć czemu.

Być może swojemu intelektowi. Tak. To było to. Jak mogła wyglądać najmądrzejsza muszla? Będzie się wyróżniać z pozostałych. Będzie robić wrażenie. Będzie cesarzową wybrzeża. Jej rozmiar będzie bez wątpienia dorównywał jej mądrości.

Bambulo krzyknął ochlapany przez dużą falę. Kiedy woda się cofnęła, sunąc po piasku, odsłoniła skraj spiralnej muszli, jaskraworóżowej, większej od pozostałych. Leżała za Bambulem, choć on jej nie zauważył. Czy to tej muszli szukałem? Kiedy zacząłem się zbliżać, błazen się otrząsnął, narzekając na zimną wodę, po czym się wycofał. Trafił łokciem na muszlę i usłyszałem głośne chrupnięcie. Bambulo zapiszczał i przeturlał się na bok, ściskając zraniony łokieć. Pokręciłem głową; to był dopiero początek moich poszukiwań.

Tylko najmądrzejsza muszla...

Ruszyłem po piaszczystym brzegu, rozglądając się za właściwą muszlą. Pomimo bogactwa kształtów, kolorów i faktur żadna nie wydała mi się wyjątkowa. Nieliczne przykładałem do ucha, ale nie usłyszałem nic oprócz nieustającego wzdychania morza.

Z czasem dotarłem do skalistego półwyspu, który wychodził w morze, gdzie znikał w kłębiącej się mgłę. Kiedy tam stałem, zastanawiając się, czy rozpocząć poszukiwania wśród mokrych skał, po czubku mojego buta przebiegł pomarańczowy krab. Zatrzymał się i podniósł swoje oczka, jakby mi się przyglądał. Potem pomknął na półwysep i zniknął.

Z jakiegoś względu poczułem więź z tym stworzeniem, które jak ja wędrowało samotnie po wybrzeżu. Wiedziony impulsem, poszedłem za nim na półwysep. Spowiła mnie mgła. Poruszałem się ostrożnie po skałach, uważając, żeby się nie poślizgnąć. Choć krab zniknął, niedługo potem zauważyłem kolejną spiralną muszlę. Leżała na płaskim kamieniu pokrytym zielonymi glonami. Była jeszcze większa od tej, którą zmiażdżył Bambulo, prawie tak duża jak moja głowa. Połyskiwała ciemnoniebiesko, mimo że jej powierzchnię zakrywał

nienaturalny drżący cień. Przekonany, że cień to sprawka kłębiącej się mgły, zbliżyłem się.

Z każdym krokiem muszla wydawała się coraz piękniejsza. Kontury eleganckich krzywizn połyskiwały bielą. Czuję, jakby mnie w dziwny sposób przyciągała, byłem urzeczony paletą olśniewających odcieni.

Tylko najmądrzejsza muszla...

Wtedy z mgły wyłoniła się potężna fala, która roztrzaskała się o półwysep. Zmoczony bryzą, poczułem na pokancerowanych policzkach szczypanie soli. Fala się cofnęła, zabierając ze skały spiralną muszlę. Zanim zdołałem ją złapać, wpadła z pluskiem do wody i zniknęła w kłębach mgły.

Zakląłem i spojrziałem z powrotem na płaski kamień. Choć muszla zniknęła, dziwny cień nadal mienił się na glonach. Chciałem się nachylić i przyjrzeć mu z bliska, ale się rozmyśliłem. Nie wiedziałem dlaczego. Wtedy zza pobliskiej skały wyłonił się pomarańczowy krab. Pomknął bokiem po półwyspie, przeszedł pod krawędzią skały i pojawił

się z drugiej strony. Wyminął brzeg basenu pływowego i wskoczył między unoszące się na powierzchni kawałki drewna.

Przestałem się zajmować krabem i odwróciłem się. Moje spojrzenie padło na inny basen pływowy, przejrzysty i nieruchomy. Na dnice między liśćmi krasnorostów coś połyskiwało. Kiedy się schyliłem, zobaczyłem dość zwyczajną muszlę, brązową z dużą niebieską plamą, która leżała między fioletowymi jeżami morskimi. Mimo to zaciekała mnie. Uważając na ostre igły jeżowców, sięgnąłem do zimnej wody i wyciągnąłem muszlę.

Choć wyglądała zwyczajnie, idealnie pasowała do mojej dłoni. Zupełnie jakby tam było jej miejsce.

Była znacznie cięższa, niż można by sądzić po jej rozmiarze.

Przyłożyłem ją do ucha. Nic. Jednak w muszli było coś szczególnego. Zapytałem niepewnie:

- Czy jesteś najmądrzejszą muszlą?

Ku mojemu zaskoczeniu ofuknął mnie chrapliwy głos:

- Jesteś idiotą, chłopcze.

- Co? - Potrząsnąłem głową. - Nazwałaś mnie idiotą?

- Głupim idiotą - warknęła muszla.

Zarumieniłem się, ale opanowałem nerwy.

- A kim jesteś ty?

- Z całą pewnością nie jestem najmądrzejszą muszlą. - Muszla jakby cmoknęła. - Ale nie jestem głupia.

Miałem ochotę cisnąć ją w fale. Jednak moja determinacja, żeby sprowadzić matkę, przeważała nad gniewem.

- W takim razie powiedz mi, gdzie można znaleźć najmądrzejszą muszlę.

Brązowa muszla zaśmiała się, a do ucha nalała mi się woda.

- Poszukaj tam, gdzie stykają się drewno i woda, głupi chłopcze.

Zaintrygowany obróciłem muszlę w dłoni.

- Najbliższe drzewa są po drugiej stronie wydm. Nad morzem nie ma żadnego drewna.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście.

- Powiedział idiota.

Niechętnie rozejrzałem się po półwyspie. W oddali zobaczyłem kawałki drewna, w których zniknął krab. Gnijące wodorosty trzymały się ich jak poszarpane szmaty. Pokiwałem głową z niedowierzaniem.

- Nie masz chyba na myśli tej żalostnej sterty.

- Powiedział idiota - powtórzyła muszla.

Bez przekonania, że to właściwy krok, upuściłem brązową muszlę do basenu i podszedłem do kawałków drewna. Odsunąłem wodorosty i zacząłem się rozglądać za muszlą.

Bez skutku.

Miałem dać sobie spokój, kiedy w szparze w kawałku drewna zobaczyłem maleńki kształt. To była muszla w kolorze piasku, o kształcie małego stożka. Zmieściłaby się na moim paznokciu. Kiedy podniosłem ją, czarny robak przecisnął się z otworu u podstawy, po czym szybko schował się do środka. Nie miałem ochoty przykładać sobie czegoś takiego do ucha, więc trzymałem muszlę z dala. Choć brakowało mi pewności, wydawało mi się, że słyszę cichy szept podobny do szumu morza.

Ostrożnie przysunąłem muszlę do ucha. Chlupoczący głos znów się odezwał, jakby we wnętrzu roztrzaskała się fala.

- Dobrze wybrałeś - plusk - Merlinie.

Wstrzymałem oddech.

- Czy wypowiedziałaś moje imię?

- To właśnie uczyniłam - plusk - choć ty nie znasz mojego. Zwę się Washambala -

plusk - i jestem najmądrzejszą muszlą.

- Washambala - powtórzyłem, trzymając wilgotny mały stożek przy uchu. W głosie było coś, co dodało mi otuchy. - Czy wiesz też, po co przyszedłem?

- Owszem, wiem - plusk.

Serce zabiło mi mocniej.

- Czy... czy w takim razie pomożesz mi? Czy sprowadzisz ją z powrotem do Fincayry?

Muszla przez chwilę nic nie mówiła. W końcu cichy chlupoczący głos znów przemówił:

- Nie powinnam ci pomagać, Merlinie. Ryzyko - plusk - jest za duże, większe, niż ci się wydaje.

- Ale...

- Nie powinnam - ciągnęła muszla. - Jednak wyczuwam w tobie coś... Coś, czemu nie umiem się oprzeć - plusk. - Choć jeszcze wiele musisz się nauczyć, to może być część twojej edukacji.

Kiedy Washambala zamilkła, wsłuchałem się w jej wodnisty oddech. Nie śmiałem się odezwać.

- Może nam się udać, możemy się też przeliczyć - plusk. - Nie wiem tego, gdyż nawet sukces może być w rzeczywistości porażką. Czy nadal chcesz podjąć próbę?

- Tak - oznajmiłem.

- W takim razie przytrzymaj mnie przy samym swoim sercu - plusk - i skoncentruj się na osobie, za którą tęsknisz.

Schwyciłem muszlę w obie dłonie i przycisnąłem do piersi. Pomyślałem o matce. O

jej stole z ziołami o intensywnym, drażniącym zapachu. O jej niebieskich oczach, tak pełnych uczuć. O jej dobroci i opanowaniu. O jej opowieściach o Apollu, Atenie i miejscu zwanym Olimpem. O jej wierze - w jej Boga i we mnie. O jej miłości, cichej i silnej.

Wokół mnie zakłębiła się mgła. Fale obmyły mi buty. Jednak nic więcej się nie stało.

- Postaraj się bardziej. Musisz postarać się bardziej - plusk.

Poczułem smutek Elen. Smutek, że nie mogła nigdy powrócić na Fincayrę. Że nie mogła zobaczyć, jak jej syn dorasta - i że on, podczas spędzonych w Gwynedd lat, nie chciał

nazywać jej matką. To takie proste słowo, a tworzy tak silną więź. Skrzywiłem się na wspomnienie bólu, którego przeze mnie doznała.

Powoli jej obecność stawała się coraz wyraźniejsza. Czułem, jak mnie obejmuje, przypominałem sobie, jak bezpiecznie czułem się kiedyś w jej ramionach. Jak, przynajmniej przez chwilę, mogłem zapomnieć o nadciągającej burzy. Poczulem zapach kawałków kory cedru przy jej poduszce. Usłyszałem jej głos wołający mnie zza oceanów pełnych wody i tęsknoty.

Potem zerwał się wiatr. Silny zawodzący podmuch popchnął mnie na skały i zmoczył

mgiełką kropelek wody. Przez kilka minut szalał, tarmosząc mnie bez przerwy. Nagle usłyszałem głośny trzask, jakby za mgłą coś pękło. Kłębiące się chmury przede mną zaczęły się przesuwają, układając się w dziwne kształty. Najpierw zobaczyłem węża, który się zwijał, szykując się do ataku.

Jednak zanim zdolał zaatakować, jego ciało rozplynęło się i przybrało zamgloną postać kwiatu. Kwiat powoli rósł, aż się zmienił w wielkie nieruchome oko.

Potem w środku oka pojawił się ciemny kształt. Na początku to był tylko cień, jednak jego konsystencja szybko gęstniała. Za chwilę wyglądał jak błędząca po omacku we mgle postać. Postać, która zmierzała do brzegu.

To była moja matka.

VII

BEZ OPAMIĘTANIA I RADOŚNIE

Osunęła się na ciemne mokre skały. Miała zamknięte oczy, a jej kremowa cera była blada i pozbawiona życia. Bezladne strąki długich niezaplecionych włosów, złotych jak księżyc w lecie, lepiły się do jej ciemnoniebieskiej szaty. Ale oddychała. Żyła.

Ścisnąłem muszelkę w podzięcie i odłożyłem ją między unoszące się na wodzie kawałki drewna. Potem podbiegłem do matki. Wyciągnąłem do niej niepewnie dłoń. Kiedy mój palec dotknął jej wysokich wyrazistych policzków, otworzyła oczy. Przez kilka sekund przyglądała mi się zdezorientowana. Potem Elen o Szafirowym Spojrzeniu zamrugła, uniosła się na łokciu i przemówiła głosem, który swego czasu uznałem za stracony.

- Emrysie! To ty.

Wydusiłem z siebie zdławionym z wdzięczności głosem:

- To ja... matko.

Kiedy usłyszała z moich ust to słowo, na jej policzkach pojawił się odcień różu.

Powoli wyciągnęła dłoń. Choć jej skóra zdawała się tak mokra i zmarznięta jak moja, poczułem, jak od zapachu Elen rozchodzą się po mnie fale gorąca. Usiadła i objęliśmy się.

Po chwili odsunęła się. Przebiegła palcami delikatnie po moich poparzonych policzkach i oczach, jakby szukała czegoś pod moją skórą, przeszukiwała moją duszę.

Zrozumiałem, że chce poczuć wszystko, co ja czułem podczas miesięcy, które minęły od naszego rozstania.

Nagle, kiedy dotknęła mojej szyi, wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Galator! Och, Emrysie. Zniknął!

Spuściłem niewidzące oczy.

- Straciłem go.

Jak mogłem jej wytłumaczyć, że straciłem go podczas poszukiwań ojca? I że kiedy go w końcu odnalazłem, straciłem jeszcze więcej?

Uniosłem głowę.

- Ale znowu mam ciebie. Jesteśmy razem tu, na Fincayrze.

Przytaknęła, a w jej oczach wezbrały łzy.

- Mam również nowe imię.

- Nowe imię?

- Merlin.

- Merlin* - powtórzyła. - Jak sokół, który szybuje wysoko.

Poczułem ukłucie żalu na wspomnienie mojego przyjaciela Kłopoty, małego sokoła, który oddał za mnie życie. Miałem nadzieję, że nadal latał wysoko gdzieś w Zaświecie.

Nawet teraz tęskniłem za jego wierceniem się na moim ramieniu.

Tak naprawdę tęskniłem też za resztą przyjaciół. Przyjaciół, którzy towarzyszyli mi przez jakiś czas, a których potem straciłem. Brakowało mi Cairprégo. Honna. T'eileana i Garlathy. Ayli, wietrznej siostry. Nawet Shima, który poczłapał wiele tygodni temu w góry. I oczywiście Rhii.

Ścisnąłem dłoń matki.

- Już nigdy cię nie stracę.

Wysłuchiwała mojej obietnicy ze smutkiem i miłością na twarzy.

- Ja ciebie też nie.

Odwróciłem się do wydm. Bambulo siedział przy samym morzu i polerował

dzwoneczki rękawem. Nie zwracał uwagi na szarpiące jego zabłocony płaszcz mewy. Harfa Kwitnienia i moja laska leżały tam, gdzie zostawiłem je na piasku. Nieopodal w morskiej bryzie chybotął wspaniały czerwony kwiat.

- Chodź. - Pomogłem matce wstać. - Chcę ci coś pokazać.

Przemierzyliśmy skalisty półwysep i dotarliśmy do plaży z drobnym piaskiem.

Szliśmy objęci w talii, a ja delectowałem się jej bliskością. Tym, że znowu jest przy mnie. A kiedy przyszło mi do głowy, żeby pokazać jej Harfę i to, jak nią władałem, serce zabiło mi mocniej.

Przepelniało mnie poczucie potęgi, tak jak moja matka przepowiedziała dawno temu.

Opowiadała mi, że Tuatha odkrył swoją moc, kiedy był nastolatkiem. Było więc zrozumiałe, że ze mną mogło być podobnie. Czy nie podjąłem się czegoś, na co przy całej swojej potędze Tuatha nigdy się nie odważył? Uśmiechnąłem się pod nosem. Nawet otaczające wyspy kłęby mgły nie umiały mi się oprzeć.

Kiedy zbliżyliśmy się do Harfy Kwitnienia, Elen wciągnęła powietrze z zachwytem.

Biorąc pod uwagę jej miłość do wszystkiego, co żywe i co rośnie, nie zdziwiło mnie, że to nie Harfa wpadła jej w oko. Zachwycił ją czerwony kwiat, który wyrósł na wydmy. A wydawał

* (ang.) sokół drzemlik - przyp. tłum.

się teraz jeszcze piękniejszy, niż kiedy się pojawił. Głęboki kielich płatków w kształcie dzwonek prezentował się z gracją na wygiętej łodydze. Jaskrawozielone liście, idealnie okrągłe, otaczały ją niczym klejnoty. Na skraju każdego płatka połyskiwały krople rosy.

- Muszę powąchać ten kwiat - oznajmiła.

- Oczywiście. - Uśmiechnąłem się szeroko. - Bądź co bądź to ja go stworzyłem.

Elen zamarła i odwróciła się do mnie.

- Ty? naprawdę?

- Skinieniem palca - powiedziałem z dumą. - Chodź. Przyjrzyjmy się z bliska.

Kiedy zbliżaliśmy się do kwiatu, sam nabierałem coraz większej ochoty, żeby go powąchać. Nie tylko chciałem zakosztować jego aromatu, lecz wcisnąć twarz między jego płatki. Spić jego cudny nektar. Zanurzyć się w nim bez opamiętania i radośnie. Nie zwróciłem uwagi na dziwny rozedrgany cień, który przemykał po płatkach. To złudzenie optyczne, sprawka mgły, tak jak poprzednio. Żaden cień, choćby najmroczniejszy, nie mógł przysłonić piękna promieniującego z kwiatu.

Dłoń matki zsunęła się z mojej talii, a moja z jej. Nadal szliśmy do kwiatu, bez słowa, jak zahipnotyzowani. Nasze stopy plaskały o mokry piasek, zostawiając za nami ciemne ślady. Myślałem tylko i wyłącznie o wspaniałej woni kwiatu. Kiedy byliśmy tuż przy nim, nasze twarze owiał słony powiew. Nie zwracając uwagi na wiatr, oboje nachyliliśmy się nad nęcącym nas kielichem.

Zawahałem się przez chwilę, rozważając, czy pozwolić najpierw mojej matce zakosztować zapachu. Na pewno jej się spodoba. Wtedy cień znów zadrżał, a moja chęć powąchania kwiatu wzmogła się, była tak silna, że zapomniałem o całym świecie. Pochyliłem twarz. Bliżej. Bliżej.

Nagle nad wierzchołkiem wydmy pojawiła się jakaś postać cała w zieleni. Wpadła na mnie i przewróciła mnie do tyłu. Przeturlałem się po piasku, a następnie odwróciłem gwałtownie, żeby stawić czoło napastnikowi.

- Rhia! - Rozwścieczony wyplułem piasek z ust. - Chcesz mnie zabić?

Zupełnie mnie ignorując, dziewczynka skoczyła na nogi i odwróciła się do mojej matki.

- Stój! - krzyknęła co sił w płucach. - Nie rób tego!

Ale Elen nie zwróciła na nią uwagi. Jedną ręką odsunęła włosy z twarzy i pochyliła się nad czerwonym kwiatem.

Widząc to, Rhia pobiegła w górę wydmy. Zamarła, kiedy usłyszała straszliwy krzyk, który zmroził mi krew w żyłach. Ze środka kwiatu wyskoczyła mroczna masa, prosto na twarz mojej matki. Ta zachwiała się do tyłu, chwytając się dłońmi za policzki.

- Nie! - krzyknąłem w niebo, w morze, w mgłę. - Nie!

Ale było za późno. Moja matka przewróciła się i stoczyła po wydmie. Kiedy się zatrzymała, zobaczyłem, że na jej twarzy wije się cień. Potem, ku mojemu przerażeniu, cień zsunął się do jej ust i zniknął w nich.

VIII

JĘZYK RANY

Podbiegłem do niej. Leżała skulona u podstawy wydmy. Na niebieskiej szacie i jednym policzku miała wilgotny piasek. Wiatr od morza się wzmógł, roznosząc po plaży kłęby mgły.

- Matko!

- To twoja matka? - zapytała Rhia, podchodząc. - Twoja prawdziwa matka?

- Owszem - odpowiedziała słabym głosem Elen, przewracając się na plecy. Jej niebieskie oczy szukały czegoś na mojej twarzy. - Jesteś bezpieczny, synu?

Starłem piasek z jej policzka.

- Bezpieczny? - zawołałem. - Bezpieczny? Już po mnie. Po mnie. Nie po to cię tu sprowadziłem, żebyś się zatrzymała!

Targnął nią kaszel, jakby chciała wykrztusić cień. Jednak jej twarz była jeszcze bardziej zboląta i przestraszona.

Odwrociłem się do Rhi.

- Powinnaś była uratować ją, nie mnie.

Dziewczynka pociągnęła jedno z pnączy na swojej szacie.

- Przepraszam, że nie zdążyłam przybyć wcześniej. Wszędzie cię szukałam. W końcu dotarłam do Caer Neithan kilka godzin po tym, jak z niego wyruszyłeś. Kiedy Cairpré opowiedział mi o twoich planach, jak najszybciej ruszyłam za tobą. - Spojrzała smutno na Elen. - To musi być straszne. To tak, jakby połknąć zły sen.

- Nic... nic mi nie jest - odparła matka, choć jej zboląta mina mówiła co innego.

Próbowała wstać, po czym upadła z powrotem na piasek.

Usłyszałem za sobą pobrzękiwanie dzwoneczków. Znajomy głos jęknął:

- Czuję śmierć w powietrzu.

Odwrociłem się.

- Mógłbyś sobie pójść? Jesteś tak okropny jak ten trujący kwiat!

Głowa błazna opadła jeszcze niżej niż zwykle.

- Rozumiem twój smutek. Naprawdę. Być może mógłbym cię pocieszyć jedną z wesołych piosenek Bambula Radosnego?

- Nie!

- Może w takim razie zagadką? Moją słynną zagadką o dzwoneczkach?

- Nie!

- W porządku - warknął. - W takim razie nie powiem ci, że to nie kwiat ją zatrul. -

Skrzywił się niemiłosiernie. - I z całą pewnością nie powiem ci, że to był Rhita Gawr.

Poczułem ucisk w żołądku, a moja matka wstrzymała oddech. Złapałem Bambula za szeroki rękaw i potrząsałem, aż zabrzęczały dzwoneczki.

- Co ty opowiadasz?

- Cień śmierci. Wiele razy słyszałem, jak go opisywano. Zbyt wiele razy, żeby nawet taki głupiec jak ja mógł zapomnieć. To jedna z ulubionych metod Rhity Gawra, żeby się zemścić.

Elen zadrżała i wydała zboląły jęk.

- On mówi prawdę, mój synu. Gdyby urok nie pozbawił mnie zmysłów, przypomniałabym sobie o tym. - Jej twarz wykrzywiła się, a wiatr się wzmógł, jakby sam ocean westchnął. - Ale dlaczego ja? Dlaczego ja?

Zrobiło mi się słabo, gdyż wiedziałem w głębi duszy, że cień śmierci nie był

przeznaczony dla mojej matki. To ja stanowiłem cel. Jednak przeze mnie - przez moją głupotę

- to ją dopadł. Powinienem być posłuchać Cairprégo! Nie powinienem jej tu sprowadzać.

- Rhita Gawr stosuje tę metodę, kiedy chce się delektować czyjąś śmiercią - wyjaśnił

Bambulo. - Bo śmierć jest powolna, koszmarnie powolna. I straszliwa, tak straszliwa, że nie da się tego opisać. Ofiara cierpi przez cały miesiąc - cztery fazy księżyca - po czym kona. Ale w tych ostatnich chwilach agonii z tego, co słyszałem, jest więcej cierpienia, więcej męczarni, więcej potwornego bólu niż przez cały miesiąc, który ją poprzedza.

Elen znów jęknęła i przyciągnęła kolana do piersi.

- Dość! - Zamachałem do ponurego błazna. - Przestań opowiadać takie rzeczy! Chcesz ją szybciej zabić? Lepiej już nic nie mów, chyba że wiesz, jak ją wyleczyć.

Bambulo się odwrócił i pokręcił głową.

- Nie ma lekarstwa.

Zacząłem otwierać torbę z ziołami.

- Może tu coś będzie...

- Nie ma lekarstwa - powtórzył ponuro.

- Musi być jakiś sposób - zaproponowała Rhia, klękając przy mojej matce i gładząc ją po czole. - Na każdą chorobę, nawet najstraszniejszą, jest jakieś lekarstwo. Trzeba tylko znać język rany.

Przez chwilę Elen rozpromieniła się.

- Ona ma rację. Może jest lekarstwo.

Przyglądała się przez dłuższą chwilę Rhii, po czym zapytała słabym głosem:

- Jak się nazywasz, dziewczynko? I skąd wiesz tyle o sztuce uzdrawiania?

Rhia poklepała swój strój ze splecionych pnączy.

- Drzewa Drumy mnie nauczyły. To moja rodzina.

- A jak się nazywasz?

- Większość ludzi zwie mnie Rhią. Oprócz leśnych elfów, które nadal używają mojego pełnego imienia, Rhiannon.

Twarz mojej matki wykrzywił ból, ale wydawało mi się, że tym razem to nie jej ciało cierpiało. To mógł być inny rodzaj bólu, który odczuwała gdzie indziej. Jednak nic nie powiedziała. Odwróciła się tylko w stronę kłębiącej się za plażą mgły.

Rhia przysunęła się do niej.

- Powiedz, proszę, jak ty masz na imię.

- Elen. - Zerknęła na mnie. - Choć zwań mnie także Matką.

Poczułem w sercu ukłucie bólu. Nadal nie miała pojęcia, że to wszystko moja wina.

Że sprowadziłem ją tu wbrew ostrzeżeniom Cairprégo. Że w swojej naiwności - nie, w swoim zadufaniu - próbowałem zachowywać się jak czarodziej.

Rhia nadal gładziła brew Elen.

- Masz gorączkę. Twój stan chyba się pogorszy.

- Na pewno się pogorszy - oznajmił Bambulo. - Wszystko się zawsze pogarsza.

Pogarsza się najgorzej, jak może.

Rhia posłała mi pilne spojrzenie.

- Musimy znaleźć lekarstwo, zanim będzie za późno.

Bambulo zaczął przechadzać się po piasku, trzepocząc rękawami.

- Już jest za późno. W tym wypadku nawet za wcześnie jest za późno.

- Może jest lekarstwo, którego nikt jeszcze nie odnalazł? - odparła Rhia. - Musimy spróbować.

- Próbujcie do woli. To na nic. Jest za późno. O wiele za późno.

Miałem mętlik w głowie, byłem rozdarty między pełnym nadziei i nagłym tonem Rhi i pesymizmem Bambula. Oboje nie mogli mieć racji. Jednak to, co mówili, brzmiało rozsądnie. Chciałem uwierzyć jednemu z nich, ale obawiałem się, że drugie ma rację.

Zaskrzeczała para mew, które przeleciały nade mną i wylądowały na usianej rozgwiazdami i muszlami ziemi. Zagryzłem wargę. Nawet jeżeli istniało lekarstwo, jak mogliśmy znaleźć je na czas? Tutaj, na tej odległej plaży, gdzie były same piaszczyste wydmy i rozkołysane fale, nie miałem do

kogo się zwrócić. Nikt nie mógł mi pomóc.

Wyprostowałem się gwałtownie. Był ktoś, kogo mogłem prosić o radę. Skoczyłem na nogi i popędziłem po plaży na spowity mgłą półwysep. Nie zwracałem uwagi na fale opływające śliskie skały i kilka razy się potknąłem. Co gorsza, w kłębiących się oparach nie widziałem unoszących się na wodzie kawałków drewna, między którymi zostawiłem starą mądrą muszlę. Czyżby zmyła ją potężna fala? Straciłem nadzieję. Być może już nigdy jej nie odnajdę!

Zacząłem pieczołowicie przeszukiwać na czworakach mokre skały, odwracałem śliskie meduzy i przyglądałem się basenom pływowym. W końcu, cały przemoczony, zauważyłem kawałek drewna. A w nim tkwiła mała muszelka. Czy to była ta sama co wtedy?

Szybko przyłożyłem stożek w kolorze piasku do ucha.

- Washambala, to ty?

Nie było odpowiedzi.

- Washambala - poprosiłem. - Odpowiedz mi, jeżeli to jesteś ty! Czy na cień śmierci jest jakieś lekarstwo? Jakiegokolwiek?

W końcu usłyszałem długie chlupoczące westchnienie, które brzmiało jak powoli rozbijająca się fala.

- Dostałeś - plusk - najstraszniejszą nauczkę.

- Tak, tak! Ale czy teraz możesz mi pomóc? Powiedz mi, czy jest jakieś lekarstwo.

Moja matka umiera.

- Czy nadal masz Galatora?

Skrzywiłem się.

- Nie. Oddałem go.

- Czy możesz go odzyskać, bardzo szybko?

- Nie. Ma go Domnu.

Usłyszałem rozpaczliwe westchnienie muszli.

- W takim razie - plusk - nie ma już żadnego ratunku. Jest pewne lekarstwo, ale żeby je odszukać - plusk - musiałbyś odbyć podróż do Zaświata.

- Do Zaświata? Krainy duchów? Ale żeby się tam znaleźć, trzeba umrzeć! -

Pokręciłem głową, otrząsając z czarnych włosów kropelki wody. - Gdybym mógł ją w ten sposób

uratować, zrobiłbym to. Ale nawet gdybym wyruszył w Długą Podróż, o której słyszałem, że prowadzi do Zaświata, nie udałoby mi się powrócić z lekarstwem.

- To prawda. Długa Podróż - plusk - prowadzi martwych do Zaświata, ale nie odsyła ich z powrotem do świata żywych.

Przyszedł mi do głowy nowy pomysł.

- Poczekaj! Tuatha, mój dziadek, znalazł sposób, żeby dostać się za życia do Zaświata.

O ile mi wiadomo, żeby poradzić się wielkiego Dagdy. Czy nie mógłbym pójść w jego ślady?

- To była droga, która skończyła się jego śmiercią. Nie zapominaj o tym. Zgładził go Balor, ogr, który słucha tylko Rhity Gawra. W tej chwili Balor strzeże tajnego przejścia, miejsca zwanego Studnią do Zaświata. I przysiągł - plusk - powstrzymać każdego sprzymierzeńca Dagdy, który będzie usiłował się nim przedostać.

- Studnia do Zaświata? Czy to są spiralne schody, które prowadzą do krainy duchów?

- Cokolwiek to jest - zachlupotał głos muszli - musisz to znaleźć, żeby mieć jakąkolwiek szansę. Gdyż lekarstwo, którego szukasz, to Elixir Dagdy i tylko sam Dagda może ci go wręczyć.

Zimna fala obmyła mi nogi. Sól szczypała moją poprzecieraną od upadków na skały skórę. Jednak nie zwracałem na to uwagi.

- Elixir Dagdy - powtórzyłem powoli. - No cóż, nawet jeżeli strzeże go ogr, będę musiał go zdobyć. Jak mam znaleźć schody do Zaświata?

Raz jeszcze muszla westchnęła zrozpaczona.

- Zaprowadzi cię do nich dziwna zaczarowana muzyka. Muzyka, Merlinie, pełna magii.

- Magii? - Prawie upuściłem stożek. - Nie mogę tego zrobić.

- W takim razie istotnie jest już po tobie. Gdyż żeby pójść w ślady Tuathy, będziesz musiał zgłębić Siedem Magicznych Pieśni.

- A cóż to takiego?

Wiatr napierał, rozwiewając mi tunikę, kiedy czekałem na odpowiedź muszli. W

końcu znów usłyszałem w uchu cichy głosik.

- Nawet ja, najmądrzejsza z muszli, nie wiem tego - plusk. - Mogę ci tylko powiedzieć, że Tuatha wyrzył Siedem Pieśni na wielkim drzewie w Lesie Druma.

- Na... Arbassie?

- Tak.

- Znam to drzewo! To dom Rhii. - Zmarszczyłem brwi na wspomnienie dziwnego pisma, które tam znalazłem. - Ale tego pisma nie da się odczytać! Nie rozumiałem z niego nawet jednego słowa.

- W takim razie musisz spróbować raz jeszcze, Merlinie. To twoja jedyna szansa -

plusk - żeby ocalić matkę. Choć rzeczywiście niewielka.

Pomyślałem o leżącej w cieniu wydmy nękanej cieniem śmierci matce, o jej słabnącym z każdą chwilą oddechu. To była moja wina. Teraz muszę coś na to poradzić, nie zważając na ryzyko. Mimo to zadrzałem na wspomnienie listy cech, którymi zdaniem Cairprégo powinien się szcycić prawdziwy czarodziej. Cech, których z całą pewnością nie posiadałem. Czymkolwiek było Siedem Pieśni, nie miałem szans, żeby nad nimi zapanować -

na pewno nie w tym krótkim okresie, kiedy cień śmierci miał dokonać swojego straszliwego dzieła.

- To dla mnie za dużo - powiedziałem przygnębiony. - Nie jestem czarodziejem!

Nawet gdyby jakimś cudem powiodło mi się z Siedmioma Pieśniami, jak mam znaleźć Studnię do Zaświata, nie dać się dopaść Balorowi i odszukać Dagdę w ciągu czterech faz księżyca?

- Nie powinnam była ci pomagać.

Pomyślałem o bladym księżycu w nowiu, który widziałem poprzedniej nocy.

Ujrzałem tylko kawałeczek i mój magiczny wzrok z ledwością go wychwytał. To znaczyło, że mam czas do końca tego cyklu księżyca i ani dnia więcej, żeby odnaleźć Elikvir Dagdy. W

dniu, kiedy księżyc zniknie, umrze moja matka.

Pełnia będzie znaczyła, że upłynęła połowa danego mi czasu. W miarę jak księżyc będzie się zmniejszał, czas będzie dobiegał końca. A kiedy wreszcie się wyczerpie, wraz z nim zniknie moja nadzieja.

- Życzę ci całego szczęścia Fincayry - powiedziała z chlupotem muszla. - Będzie ci potrzebne, choć nie wiadomo, czy wystarczy.

IX

ROZMARYN

Ponieważ moja matka była za słaba, żeby iść, przygotowałem z Rhią prowizoryczne nosze z pnączy z wydm zaplecionych między moją laską a gałęzią martwego głogu. Kiedy przywiązywaliśmy pnącza z obu stron, opowiedziałem Rhii, czego dowiedziałem się od muszli, i poprosiłem ją, żeby zaprowadziła mnie przez las do Arbassy. Jednak samo brzmienie imienia wielkiego drzewa wywołało u mnie silny niepokój na myśl o powrocie. Nie miałem pojęcia dlaczego.

Natomiast Rhia nie wydawała się zmartwiona ani zaskoczona tym, że na ścianach Arbassy są tajemnice, które będą musiał zgłębić, aby znaleźć Studnię do Zaświata. Być może dlatego, że widziała, jak Arbassa udzielała odpowiedzi na wiele pytań, Rhia po prostu przytaknęła, nie przerywając przywiązywania pnączy. W końcu nosze były gotowe i pomogliśmy mojej matce położyć się na nich. Kiedy dotknąłem jej czoła, poczułem, że gorączka się wzmogła. Jednak pomimo pogarszającego się stanu nie skarżyła się.

Tego nie dało się powiedzieć o Bambulu. Trzymał nosze z tyłu i niedługo po tym, jak wyruszyliśmy, zaczął przedrzeźniać mówiącą muszlę. Kiedy w końcu dotarło do niego, że nikogo to nie śmieszy, zajął się opisywaniem szczegółów swojego obładowanego dzwoneczkami kapelusza, jakby to była królewska korona. Kiedy to również zawiodło, zaczął

narzekać, że od dźwigania takiego ciężaru może sobie nadwreżyć grzbiet, co utrudni mu karierę błazna. Nie odpowiedziałem, choć korciło mnie, żeby uciszyć i jego, i pobrzękiwanie dzwoneczków, kneblując go tym jego kapeluszem.

Rhia prowadziła nas, mając przewieszoną przez pokryte pnączami ramię Harfę Kwitnienia. Ja trzymałem nosze z przodu, ale wina ciążyła mi bardziej niż niesiony ładunek.

Samo przejście po wydmie obok kwiatu w kształcie dzwonka było dla mnie jak męczący marsz.

Przed wejściem do Lasu Druma minęliśmy zieloną łąkę. Poprzecinane strumieniami trawy unosiły się niczym fale na powierzchni morza. Każdy strumyk pluskał i szemrał, obmywając rosnące wzdłuż brzegów rośliny skrzącymi się wstęgami wody. Pomyślałem, że w innych okolicznościach ten zakątek wydałby mi się piękny, zwłaszcza że jego urok nie był

sprawką magicznego instrumentu ani wielkiego czarodzieja. On po prostu był piękny.

W końcu przy akompaniamencie trzaskających pod stopami gałązek i igieł

wkroczyliśmy do pradawnego lasu. Jaskrawa łąka zniknęła i zrobiło się ciemno. W powietrzu unosiła się silna woń żywicy, niekiedy gryzącej, niekiedy słodkiej. Gałęzie szeptały i klekotały nad moją głową. Cienie przesuwały się bezgłośnie za drzewami.

Znów poczułem niepokojącą atmosferę lasu. To było coś więcej niż zbiorowisko żywych stworzeń. Sam las był żywą istotą. Kiedyś podarował mi laskę z cykuty. Teraz miałem pewność, że mnie obserwuje, przygląda mi się podejrzliwie.

Potknąłem się o korzeń. Skrzywiłem się z bólu, ale nie puściłem noszy. Mój magiczny wzrok przybrał na sile od ostatniej wizyty tutaj, ale bez światła nadal widziałem gorzej. Blask słońca sięgał tylko najwyżej położonych warstw gęstych zagajników i do leśnego poszycia docierały nieliczne promienie. Jednak nie zamierzałem zwalniać, żeby rozeznac się w terenie.

Nie miałem na to czasu. Nie miała go też moja matka.

Podążając za Rhią, zagłębialiśmy się coraz bardziej w las, trzymając nosze z pnączy.

Z każdym krokiem nabierałem przekonania, że drzewa nas obserwują i śledzą nasz każdy ruch. Klekoczące konary ożywiały się, kiedy przechodziliśmy pod nimi. Inne stworzenia również zdawały się świadome naszej obecności. Co jakiś czas dostrzegałem kudłaty ogon albo parę żółtych oczu. Piski i wycia często rozchodziły się echem między pogrążonymi w mroku gałęziami. I raz, całkiem blisko, usłyszałem głośne, długie drapanie, jakby ostre szpony zrywały warstwę kory. Albo skóry.

Bolały mnie ręce i ramiona, ale wzmagające się jęki mojej matki sprawiały mi więcej bólu. Przynajmniej Bambulo był na tyle przejęty jej cierpieniem, że przestał marudzić, lecz dzwoneczki nadal pobrzękiwały irytująco. I choć Rhia przemierzała las z lekkością wiatru, często oglądała się zatroskana na nosze.

Po kilku godzinach wędrówki przez ciemne polany pokryte mchami i paprociami w barkach pulsował mi tak silny ból, jakby miały one zaraz się połamać. Moje dłonie, prawie odrętwiałe, z ledwością utrzymywały ciężar. Czy nie było krótszej trasy? Czy to możliwe, że Rhia zabłądziła? Odchrząknąłem, szykując się, żeby ją zawołać.

Wtedy zobaczyłem przed sobą nowe światło między gałęziami. Kiedy przeciskaliśmy się przez płataninę paproci, które przyczepiały się do kostek i ud, robiło się coraz jaśniej.

Odstępy między pniami zwiększyły się. Na czole poczułem podmuch chłodnego wiatru, wonnego jak świeża mięta.

Weszliśmy na trawiastą polanę. Na środku z gąszcza grubych korzeni wyrastał majestatyczny dąb. Arbassa. To było najwyższe drzewo, jakie w życiu widziałem, i z wyglądu bardzo stare. Na potężnym pniu, tak grubym, jakby składało się na niego pięć albo sześć drzew, pierwsze gałęzie pojawiały się na wysokości kilkukrotnie przewyższającej mój wzrost.

A potem drzewo wznosiło się aż do samych chmur.

W połowie wysokości pnia znajdował się leśny domek Rhii zbudowany z konarów drzewa. Jego ściany, podłoga i dach składały się z wijących się i poskręcanych gałęzi. W

oknach powiewały zasłony z zielonych liści. Pamiętam, jak pierwszy raz zobaczyłem w nocy ten domek, kiedy był oświetlony od wewnątrz i lśnił jak wybuchająca gwiazda.

Rhia uniosła ręce na podobieństwo wznoszących się gałęzi.

- Arbasso.

Wielkie drzewo zadrżało, a na nas spadł deszcz rosy. Poczułem ściśnięcie serca na wspomnienie, jak próbowałem nakłonić buk na Mrocznych Wzgórzach, żeby się przede mną pochylił. Tego dnia Rhia nazwała mnie za to głupcem. Niezależnie od tego, czy miała wtedy rację, wiedziałem, stawiając ostrożnie nosze z matką na trawie, że dziś popełniłem jeszcze większą głupotę.

- Rozmaryn - powiedziała Elen głosem zachrypłym od jęków. Wskazała na krzak o bujnych strzelistych pędach, który rósł niedaleko skraju polany. - Przynieś mi trochę tych liści. Proszę.

Rhia błyskawicznie zerwała gałązkę i wręczyła ją Elen.

- Proszę. Jest tak wonna, przypomina mi igliwie sosny na słońcu. Jak ją nazwałaś?

- Rozmaryn.

Moja matka zwinęła gałązkę w dłoniach, a w powietrzu rozszedł się intensywny zapach. Przysunęła zgniecione listki do nosa i wzięła głęboki oddech. Jej twarz nieco się rozluźniła. Opuściła dłonie.

- Grecy nazywali go gwiezdny światłem ziemi. Czy to nie wspaniałe?

Rhia przytaknęła, a jej loki podskoczyły na ramionach.

- I jest dobry na reumatyzm, prawda?

Elen przyjrzała jej się zaskoczona.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Cwen, moja przyjaciółka, stosowała go do leczenia dłoni. - Twarz Rhii posmutniała.

- Właściwie moja niegdysiejsza przyjaciółka.

- Zawarła umowę z goblinami - wyjaśniłem. - I o mało nie przyplaciliśmy tego życiem. Była drze... Rhio, jak ją nazywałaś?

- Drzewołakiem. Pół drzewem, pół osobą. Była ostatnią przedstawicielką swojej rasy.

- Rhia przysłuchiwała się przez chwilę szepczącym nad nami liściom dębu. - Zajmowała się mną, od kiedy byłem dzieckiem, po tym jak znalazła mnie porzuconą w lesie.

Moja matka jęknęła z bólu, choć nie odrywała wzroku od Rhii.

- Moje dziecko, czy... czy ty tęsknisz za swoją prawdziwą rodziną?

Rhia pomachała nieznacznie dłonią.

- Nie. Wcale. Moją rodziną są drzewa. Zwłaszcza Arbassa.

Raz jeszcze gałęzie zadrżały, spryskując nas rosą. A jednak nie mogłem nie zauważyć, że pomimo beztroski w słowach Rhii jej szaroniebieskie oczy zrobiły się smutne. Smutniejsze niż kiedykolwiek.

Bambulo, marszcząc brwi, usta i podbródki, pochylił się przy noszach i dotknął czoła mojej matki.

- Jesteś rozpalona - powiedział ponuro. - Coraz bardziej. To właściwa pora na moją zagadkę o dzwoneczkach. To jedna z moich najzabawniejszych, zwłaszcza że nie znam żadnych innych. Mam ją opowiedzieć?

- Nie. - Bezceremonialnie odepchnąłem go na bok. - Od twoich zagadek i piosenek może jej się tylko pogorszyć!

Bambulo się nadał, a wszystkie jego podbródki zadygotały nad klamrą jego płaszcza.

- Prawda jak sto pięćdziesiąt. - Potem nieco się wyprostował. - Ale pewnego dnia, wspomnisz moje słowa, kogoś uda mi się rozśmieszyć.

- Tak ci się wydaje?

- Owszem. I może nawet to będziesz ty.

- Oczywiście. I tego dnia, kiedy ci się to uda, zjem swoje trzewiki. - Posłałem mu gniewne spojrzenie. - A teraz ją zostaw. Jesteś gorszy od klątwy, plagi i tajfunu razem wziętych.

Elen jęknęła i przesunęła się na noszach. Chciała powiedzieć coś Rhii, a jej niebieskie oczy były duże z niepokoju. Potem z jakiegoś powodu powstrzymała się i wciągnęła raz jeszcze woń rozmarynu. Odwróciła się do mnie i poprosiła:

- Mógłbyś mi przynieść trochę melisy? Złagodzi ból głowy. Wiesz, gdzie rośnie?

- Nie jestem pewien. Rhia powinna wiedzieć.

Rhia, nadal ze smutkiem w oczach, przytaknęła.

- I trochę rumianku, dziecko, jeżeli uda ci się go znaleźć. Często rośnie przy sosnach, przy małych białych grzybach z czerwonymi włoskami na nóżce.

- Drzewa mnie do niego zaprowadzą. - Rhia spojrzała na potężne konary Arbassy. -

Ale najpierw zaniesiemy cię do środka.

Rhia zdjęła swoje obcisłe buty z kory i weszła do małego otworu między korzeniami.

Potem wypowiedziała długie szeleszczące zdanie w języku dębu.

Korzenie zacisnęły się wokół jej stóp i wyglądała jak młode drzewko u boku Arbassy.

Kiedy rozłożyła ręce, żeby objąć wielki pień, ulistniona gałąź opuściła się na jej plecy, po czym uniosła się, a korzenie rozeszły się, pień zmarszczył i rozwarł, odsłaniając małe przejście o krawędziach wyłożonych korą. Rhia weszła i wezwała nas gestem dłoni.

Schylając się, żeby podnieść przód noszy, spojrzałem na matkę. Na jej policzkach i czole perlił się pot. Jej twarz wyrażała taką udrękę! Kiedy na nią patrzyłem, czułem ból, jakby ktoś przekręcał mi w piersi dzidę. Mimo to... nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jest też inny powód, dla którego tak cierpi.

Bambulo, mamrocząc coś pod nosem, podniósł tył noszy. Wspólnymi siłami przedostaliśmy się przez labirynt korzeni w stronę wejścia. Kiedy byłem tuż przy nim, brama o krawędziach z kory zaczęła się zamykać. Tak samo jak poprzednio, kiedy pierwszy raz przybyłem do Arbassy! Drzewo znów nie chciało wpuścić mnie do środka.

Rhia wrzasnęła. Pomachała dłońmi i surowo skarciła drzewo w szeleszczącym języku.

Dąb zadrżał. Wrogie przejście przestało się zamykać, po czym znów powoli się otworzyło.

Rhia posłała mi ponure spojrzenie. Potem odwróciła się i zaczęła się wspinać po spiralnych schodach wewnątrz pnia. Kiedy wszedłem za nią, pochylając głowę, żeby nie zahaczyć o krawędź drzwi, uderzyła mnie fala zapachów, intensywnych i wilgotnych jak liście po jesiennym deszczu. Zrobił na mnie wrażenie gigantyczny rozmiar pnia. Dąb wydawał się jeszcze większy w środku niż z zewnątrz. Musiałem się skoncentrować w słabym świetle, żeby nie uderzyć noszami o ściany ani ich nie przechylać, aby matka nie zsunęła się z nich.

Wchodziliśmy ostrożnie po schodach z żywego drewna. Dziwne pismo, kunsztowne jak pajęczyna, wiło się wzdłuż ścian. Splecione ze sobą runy wypełniały wszystkie ściany nad schodami, od dołu do góry. Pismo było jednak tak niezrozumiałe jak przedtem. Straciłem nadzieję.

W końcu doszliśmy do grubej zasłony z liści, przez którą wchodziło się do domku Rhi. Przepisnęliśmy się przez nią i stanęliśmy w obszernym pomieszczeniu na podłodze ze splecionych ze sobą gałęzi. Dokoła nas drewniane meble wyrastały prosto z przeplatających się konarów. Rozpoznałem niski stolik przy palenisku, parę solidnych krzeseł, szafkę barwy miodu o krawędziach wyłożonych zielonymi liśćmi.

- Ach - wyszeptała Elen, przesuwając się, żeby lepiej widzieć. - To takie piękne.

Skinąłem do Bambula i postawiliśmy nosze najostrożniej, jak się dało. Kiedy błazen prostował się niezgrabnie, jego zmarszczki trochę się wygładziły. Rozejrzył się zachwycony wnętrzem domku. Mnie jednak nie przestawało nurtować to, co zobaczyłem na schodach.

Jakby czytając w moich myślach, Rhia dotknęła mojej ręki.

- Muszę przynieść zioła dla twojej matki.

Zdjęła przewieszoną przez ramię Harfę Kwitnienia i oparła ją o ścianę przy noszach.

- A ciebie, jeżeli chcesz ją uratować, czeka mnóstwo pracy.

X

SEKRET ARBASSY

Pozostałem głęboko we wnętrzu Arbassy i trzymałem się, próbując znaleźć klucz do zagadki. W kółko wspinałem się i schodziłem po spiralnych schodach, szukając właściwego miejsca, żeby rozpocząć. Cofnąłem się, aby ogarnąć całą ścianę w poszukiwaniu wzoru.

Podchodziłem bardzo blisko i opierałem czoło o chłodne drewno, analizując po kolei każdy znak. Na próżno.

Mijały godziny, a ja biedziłem się nad tajemniczym pismem mogącym skrywać tajemnicę lekarstwa dla Elen, którego rozpaczliwie potrzebowałem. Jednak choć kunsztownie wykaligrafowane napisy mogły mieć ukryty sens, nic z nich nie rozumiałem.

Słońce zaszło i na schodach zrobiło się zupełnie ciemno. Przez jakiś czas starałem się korzystać z magicznego wzroku, lecz w ciemności był mało użyteczny i w końcu Rhia przyniosła mi niecodzienną pochodnię. Kulę rozmiaru mojej pięści zrobioną z cienkiego, ale wytrzymałego wosku. Wewnątrz niej pełzało kilkanaście chrząszczy, które lśniły równomierną bursztynową poświatą. To wystarczyło, żeby oświetlić choćby małą część tekstu.

Byłem wdzięczny za pochodnię, ale przyjąłem ją bez słowa. Tak samo jak dwa półmiski, jeden z wodą, a drugi z dużymi zielonymi orzechami, które Bambulo przyniósł mi trochę później. Choć potknął się na schodach i wylał mi połowę wody na szyję, nie zwróciłem na to uwagi. Zbyt pochłonęła mnie moja praca. Gnębiły mnie również wyrzuty sumienia. Bo choć byłem skoncentrowany na dziwnych runach, mojej uwagi nie uchodziły westchnienia i jęki kobiety, która leżała na podłodze nade mną. Kobiety, którą sprowadziłem do Fincayry.

Wiedziałem, że na zewnątrz, nad Lasem Druma, świeci blady księżyc w nowiu, malując gałęzie Arbassy delikatnym odcieniem srebra. Miałem miesiąc bez jednego dnia, żeby znaleźć lekarstwo. Choć było to zadanie trudne, jeżeli nie niemożliwe, nie mogłem się do niego zabrać, dopóki nie rozszyfruję pisma. A pismo nie spieszyło się z ujawnieniem swoich sekretów.

Znużony położyłem dłoń na drewnianej ścianie. Nagle poczułem dobiegającą od runów iskierkę ciepła. Musnęła mnie w dłoń, po czym zniknęła. Jednak utwierdziła mnie też w przekonaniu, że pismo jest istotnie dziełem wielkiego czarodzieja Tuathy.

Czyżby wiedział on, że pewnego dnia, wiele lat później, jego wnuk będzie się zmagał

z tymi enigmatycznymi słowami? Że wyrazy te będą stanowiły jedyną szansę na znalezienie schodów do Zaświata i Elixiru Dagdy? I czy Tuatha mógł się domyślać, że Elixir będzie niezbędny, żeby uratować życie Elen - kobiety, która zgodnie z jego przepowiednią miała urodzić czarodzieja potężniejszego nawet od niego?

Ależ ze mnie czarodziej! Kiedy nie miałem ze sobą magicznego instrumentu, co działały moje moce? Sprowadziły same nieszczęścia na mnie i moich bliskich. Nie dość, że straciłem wzrok, to o mało co nie zgładziłem własnej matki.

Począpałem w dół po schodach. Przygnębiony oparłem się o ścianę. Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem koniuszkiem palca pierwszego znaku runicznego. Wyglądał jak kwadratowy słonecznik z długą krzaczastą brodą. Powoli prześledziłem jego zawijasy i wgłębienia, starając się pojąć sens.

Nic.

Opuściłem dłoń. Być może była to kwestia pewności siebie. Wiary. Urodziłem się czarodziejem, nieprawdaż? Sam Tuatha tak powiedział. Jestem jego wnukiem. Jego następcą.

Znów dotknąłem pierwszego znaku.

I znów nic nie poczułem.

Przemów do mnie! Rozkazuję ci! Nadal nic. Uderzyłem pięścią w ścianę. Przemów do mnie! To mój rozkaz!

Po schodach doszło mnie echo kolejnego zboląłego jęku. Poczulem ucisk w żołądku.

Wziąłem powolny nierówny wdech. Jeżeli nie dla mnie, to dla niej! Ona umrze, jeżeli nie znajdę sposobu, żeby rozgryźć twój sekret. Po policzku spłynęła mi łza. Proszę. Dla niej. Dla Elen. Dla... mojej matki.

Pod palcem poczułem dziwne mrowienie. Coś mi zaświtało, ogarnęło mnie swoiste przeczucie.

Przycisnąłem palec do znaku i skoncentrowałem się bardziej. Pomyślałem o leżącej na podłodze ze splecionych gałęzi Elen. Pomyślałem o jej miłości do mnie. Drewno zaczęło się rozgrzewać pod moimi palcami. Pomóż jej, proszę. Ona tyle mi dała.

Nagle wszystko zrozumiałem. Pierwszy znak runiczny przekazał swoje znaczenie bezpośrednio do mojego umysłu głębokim dźwięcznym głosem, którego nigdy wcześniej nie słyszałem, ale który jakimś sposobem zawsze znałem. Te słowa trzeba przeczytać z miłością albo nie czytać ich wcale.

Potem przyszła reszta. Wartki strumień słów, rzeka, która mnie obmyła i której nurt mnie porwał. *Siedem Magicznych Pieśni, Jedna melodia i wiele, Niech zawiodą cię do Zaświata, Choćbyś nadziei miał niewiele...*

Podekscytowany czytałem teraz runy po kolei, wchodząc coraz wyżej stopień po stopniu. Często przystawałem, żeby powtórzyć w myślach słowa, zanim ruszyłem dalej.

Kiedy w końcu doszedłem na górę, pierwsze promienie słońca sączyły się na schody i mieniły się na runach. Przez noc Siedem Pieśni wyryło się na ścianach mojego umysłu tak, jak kiedyś wyryto je na ścianach Arbassy.

XI

JEDNA MELODIA I WIELE

Wspiąłem się na ostatni drewniany schodek i przeszedłem pod zasłoną z liści. Moja matka leżała nadal na podłodze, choć już nie na noszach. Kiedy usłyszała, że wchodzę, poruszyła się pod lekkim, uplecionym z nici ciem srebrzystym nakryciem i z wysiłkiem spróbowała unieść głowę. Rhia siedziała ze skrzyżowanymi nogami i zatroskaną miną obok niej. Bambulo, oparty o przeciwległą ścianę, spojrzał na mnie ponuro.

- Przeczytałem słowa - oznajmiłem bez dumy. - Teraz muszę wprowadzić je w czyn.

- Możesz nam coś powiedzieć? - wyszeptała Elen. Przez okna sączyło się różowe światło poranka, muskając bladą skórę jej policzków. - Jaki jest początek?

Ukląknę u jej boku z posępną miną. Przyjrzałem się jej twarzy, tak zbolącej, a zarazem tak pełnej miłości. I wyrecytowałem:

Siedem Magicznych Pieśni,

Jedna melodia i wiele,

Niech zawiodą cię do Zaświata,

Choćbyś nadziei miał niewiele.

- Choćbyś nadziei miał niewiele - powtórzył Bambulo, wpatrując się bezmyślnie w swój kapelusz. - Prawda jak sto pięćdziesiąt.

Sporunowałem go wzrokiem, a Rhia sięgnęła po małą poduszkę o zapachu sosny.

- Co to znaczy: *jedna melodia i wiele*?

- Nie jestem pewien. - Patrzyłem, jak Rhia wsuwa poduszkę pod głowę mojej matki. -

Ale potem jest fragment o tym, jak każda z Siedmiu Pieśni jest częścią czegoś, co zwie się wielką i wspaniałą Pieśnią Gwiazd, więc może ma to jakiś związek.

- Ma, mój synu. - Elen przyglądała mi się przez chwilę. - Co jeszcze mówiły te słowa.

- Wiele rzeczy. - Westchnąłem. - Większości nie rozumiałem. Było coś o nasionach, kręgach i ukrytych źródłach magii. I było coś o tym, że jedyną różnicą między białą a czarną magią jest zamiar tego, kto nią włada. - Wziąłem Elen za rękę. - Potem dotarłem do samych Siedmiu Pieśni. Zaczynają się od ostrzeżenia.

Przeniknij prawdę każdej Pieśni,

Nim podejmiesz dalszy wątek.

Gdyż prawda, choć jest jak drzewo stara,

Też gdzieś ma swój początek.

Urwałem, kiedy przypominałem sobie, że nawet potężna Arbassa, w której ramionach teraz siedzieliśmy, zaczęła swój żywot od nasiona. Jednak była to mizerna otucha w świetle następującego fragmentu:

Roztrząsaj Pieśni po kolei;

Części w całość spiętrzaj.

Lecz pośpiechu się wystrzegaj,

Drąż aż do duszy wnętrza.

- *Drąż aż do duszy wnętrza* - powtórzyła Rhia. - Jak myślisz, o co tu może chodzić?

Dotknąłem splecionych gałęzi na podłodze.

- Nie mam pojęcia. Najmniejszego.

Moja matka ścisnęła słabo moją dłoń.

- Opowiedz nam treść samych Pieśni.

Nadal zastanawiając się nad pytaniem Rhii, wyrecytowałem: *Pierwsza będzie lekcja Przemiany,*

Drzewolak udzieli pomocy.

Moc Wiązania jest następna,

Jezioro Twarzy po nocy.

Chronienie trzecią lekcją będzie,

Krasnoludy i ty, czyli młokos.

Sztuka Nazywania to część czwarta,

Sekret strzeżony w Slantos.

Moc Skakania piątą jest częścią,

Varigal to kraju opoka.

Eliminowanie, czyli część szósta,

W kryjówce śpiącego smoka.

Dar Widzenia jest ostatni,

Zaginionej Wyspy atut.

I wtedy będziesz mógł poszukać

Studni do samych Zaświatów.

Uważaj jednak! Do Studni nie zerkaj

Bez Pieśni zbioru całego,

Gdyż groźba wielka może czyhać,

Oko Balora niecnego.

W pokoju zapadła cisza. Nawet dzwoneczki Bambula nie drgnęły. W końcu powiedziałem ściszym głosem:

- Nie wiem, jak mogę zrobić wszystko to, czego wymagają Pieśni, i powrocie tu, zanim...

- Umrę. - Elen uniosła dłoń do mojego policzka. - Czy mogę cię jakoś przekonać, żebyś nie szedł, mój synu? - Jej ręka opadła z powrotem na podłogę. - Przynajmniej wtedy bylibyśmy razem, kiedy nadejdzie najgorsze.

- Nie! To przeze mnie jesteś w takim stanie. Muszę spróbować znaleźć lekarstwo.

Nawet jeżeli mam jedną szansę na milion.

Jej twarz, już blada, jeszcze bardziej zbladła.

- Nawet jeżeli miałoby to oznaczać, że ty również zginiesz?

Rhia dotknęła mojego ramienia ze współczuciem. Nagle przypomniałem sobie łopot skrzydeł i pomyślałem o innym przyjacielu, którego straciłem. O dzielnym sokole, który zginął w walce o Spowity Zamek. Nazwaliśmy go Kłopot, co było wyjątkowo trafnym imieniem. Jednak jego czyny utkwily mi w pamięci mocniej niż jego gniewne skrzeczenie przy moim uchu. Zastanawiałem się, czy jego duch nadal żył w Zaświecie. I czy, jeżeli nie podołam zadaniu, mógłbym do niego dołączyć wraz z moją matką.

Elen zeszywniała i zacisnęła pięści, kiedy kolejny spazm bólu spiął jej ciało. Rhia sięgnęła po miseczkę z żółtym eliksirem o intensywnym zapachu rosołu wołowego. Ostrożnie pomogła mojej matce wypić kilka łyków, choć trochę rozlało się na podłogę. Potem uniosła miseczkę i głośno zapiszczała.

Z góry regału na podłogę zeskoczył nagle wiewiór z wielkimi brązowymi oczami i podbiegł susami do dziewczynki. Położył jej łapkę na udzie i zamachał puszystym ogonkiem.

Zanim Rhia zapiszczała kolejne polecenie, wiewiór zabrał z jej dłoni miskę. Zapiszczał

cienko w odpowiedzi i odskoczył z naczyniem w zębach.

- To Ixtma - wyjaśniła Rhia mojej matce. - Znalazłam go kiedyś niedaleko na polanie, gdzie piszczał

ze złamaną łapą. Nastawiłam mu ją i od tamtego czasu często mnie odwiedza i pomaga, jak może. Poprosiłam go, żeby napełnił dla ciebie miseczkę zebranych rumiankiem.

Pomimo swojego stanu moja matka wyglądała, jakby miała się roześmiać.

- Jesteś niezwykłą dziewczynką.

Potem jej twarz stężała, a cienie liści zadrżały na jej złocistych włosach.

- Żałuję, że nie mam czasu, by cię lepiej poznać.

- Nic straconego - oznajmiła Rhia. - Będzie czas, kiedy wrócimy z lekarstwem.

- Wrócimy! - Spojrzałem na nią oniemiały. - Kto powiedział, że ty się wybierasz?

- Ja to powiedziałam - odparła spokojnie. Złożyła ręce na piersi. - I nie uda ci się mnie pozbyć.

- Nie! Rhio, możesz zginąć!

- Mimo wszystko wybieram się z tobą.

Podłoga i ściany domku zadrżały, kiedy drzewo zachybotowało. Nie byłem pewien, czy to niespodziewany podmuch wiatru poruszył gałęziami Arbassy, ale podejrzewałem, że przyczyna leżała w środku.

- Dlaczego chcesz iść ze mną? - zapytałem.

Rhia spojrzała na mnie z ciekawością.

- Nie trzeba wiele, żebyś zabłądził.

- Mogłabyś sobie darować? A co z moją matką? Ktoś musi się nią...

- Ixtma się nią zajmie. Wszystko jest już ustalone.

Zagryzłem wargę. Zwróciłem się do Elen i zapytałem zirytowany:

- Czy wszystkie dziewczynki są takie uparte?

- Nie. Tylko te z charakterem. - Spojrzała na Rhię. - Przypominasz mi mnie, dziecko.

Rhia się zarumieniła.

- A ty mi przypominasz... - Urwała. - Powiem, kiedy wrócimy.

Bambulo odchrząknął.

- Ja zostaję.

Podskoczyłem.

- Co?

- Powiedziałem, że zostaję. Będę dotrzymywał jej towarzystwa podczas niewyobrażalnych męczarni, w których będzie konać. To będzie tak straszne, okropnie straszne, jestem tego pewien. Ale może uda mi się ją trochę rozweselić. Sięgnę po najzabawniejsze piosenki i najśmieszniejsze opowieści. W sam raz dla kogoś w agonii.

- Wybij to sobie z głowy! - Uderzyłem pięścią w drewnianą podłogę. - Idziesz z nami.

Ciemne oczy Bambula zrobiły się duże.

- Chcesz, żebym z wami poszedł?

- Nie. Ale i tak pójdziesz.

- Merlinie, nie! - Rhia zamachała udrapowanymi liśćmi rękami. - Proszę, nie pozwól mu iść.

Pokręciłem ponuro głową.

- Bynajmniej nie marzę o tym, żeby z nami szedł. Ale chcę, żeby znalazł się jak najdalej od niej. To, co on nazywa humorem, wykończyłoby ją w ciągu tygodnia zamiast miesiąca.

Elen wyciągnęła do mnie drżącą dłoń i musnęła mnie po pokancerowanym policzku.

- Skoro musisz iść, chcę, żebyś wysłuchał tego, co mam ci do powiedzenia.

Spojrzała na mnie szafirowymi oczami, tak że wręcz czułem, jak jej wzrok przenika moją skórę.

- I przede wszystkim chcę, żebyś wiedział, że nawet jeżeli umrę przed twoim powrotem, i tak warto było cię znów zobaczyć.

Odwrociłem wzrok.

- I jeszcze jedno, mój synu. Niewiele się dowiedziałam podczas pobytu na tym świecie, ale to akurat wiem. Wszyscy, w tym ja, mamy w sobie podłość węża i łagodność gołębia.

Odgarnąłem włosy z czoła.

- Ja mam w sobie węża, to pewne! Ale nigdy nie uwierzę, żebyś ty go mogła w sobie mieć. Nigdy.

Elen westchnęła ciężko, a jej wzrok błędził po splecionych ze sobą gałęziach, które okalały pokój.

- Ujmę to inaczej. Często lubiłeś słuchać moich opowieści o antycznej Grecji.

Pamiętasz historię dziewczynki o imieniu Psyche?

Przytaknąłem zdziwiony. Raz jeszcze jej niebieskie oczy przyjrzały mi się z uwagą.

- Grecki wyraz *psyche* ma dwa różne znaczenia. Czasami oznacza motyla. A kiedy indziej duszę.

- Nie rozumiem.

- Widzisz, motyl to mistrz przemiany. Może się zmienić ze zwykłego robaka w najpiękniejsze stworzenie świata. A dusza, mój synu, też to umie.

Przełknąłem ślinę.

- Przykro mi, matko.

- Niech ci nie będzie przykro, mój synu. Kocham cię. Kocham was wszystkich.

Schyliłem się nisko i pocałowałem jej rozpalone czoło. Uśmiechnęła się do mnie słabo, po czym odwróciła się do Rhi.

- A dla ciebie, dziecko, mam to. - Z kieszeni ciemnoniebieskiej szaty wyciągnęła amulet z gałązek powiązanych czerwoną nicią. - Amulet z dębu, jesionu i głogu. Weź go.

Widzisz, jak pąki nabrzmiewają nowym życiem? Są gotowe, by zakwitnąć tak jak ty. Noś go ze sobą, a będzie ci dodawał odwagi. I przypominał, żebyś zaufała swojemu instynktowi.

Słuchaj się go. Bo on jest prawdziwym głosem natury, która jest matką nas wszystkich.

Oczy Rhi lśniły, kiedy odebrała prezent i sprawnie przyczepiła go sobie do koszuli ze splecionych pnączy.

- Będę słuchać. Obiecuję.

- Myślę, że już słuchasz.

- To prawda - oznajmiłem. - Zdarzało jej się nawet przypominać innym, żeby zaufali jagodom.

Rhia zaczerwieniła się, obracając w dłoni amulet z dębu, jesionu i głogu.

- Oczywiście - wymamrotał Bambulo - dla mnie nic nie ma.

Spiorunowałem go wzrokiem.

- Dlaczego miałoby być coś dla ciebie?

- Ależ dla ciebie też coś mam - powiedziała słabo Elen. - Mam życzenie.

- Życzenie? - Tyczkowata postać zbliżyła się i uklękła na podłodze z gałęzi. -

Związane ze mną?

- Życzę ci, żebyś pewnego dnia kogoś rozśmieszył.

Bambulo się uklonił.

- Dziękuję ci, moja pani.

- Merlinie - wyszeptała moja matka. - Być może twoje Siedem Pieśni jest jak siedem prac Herkulesa. Czy je pamiętasz? Uważano je za niewykonalne. A jednak on wszystkim podołał i przeżył.

Choć przytaknałem, nie poczułem się lepiej. Najtrudniejszym zadaniem Herkulesa było udźwignięcie całego świata na swoich ramionach. Ciężar, który spoczywał teraz na moich barkach, nie wydawał mi się mniejszy.

CZEŚĆ DRUGA

XII

TUATHA

Wyłożone korą przejście otworzyło się ze skrzypieniem i wyszedłem z Arbassy.

Jednak przed opuszczeniem mrocznych schodów zaczerpnałem ostatni raz wilgotnej woni ścian wewnątrz drzewa - i spojrzałem ostatni raz na ostrzeżenie, które nurtowało mnie najbardziej.

Roztrząsaj Pieśni po kolei;

Części w całość spiętrzaj.

Lecz pośpiechu się wystrzegaj,

Drąż aż do duszy wnętrza.

Jakie mogło być znaczenie ostatniego wersu? *Drąż aż do duszy wnętrza.* Samo zrozumienie Siedmiu Pieśni było trudne, ale zapanowanie nad duszą każdej z nich wydawało się zupełnie niemożliwe. Nie miałem nawet pojęcia, od czego zacząć.

Rhia wyszła przez otwór w drzewie na trawę. Jej brązowe loki lśniły w prześwitujących między gałęziami Arbassy promieniach światła. Schyliła się nisko i delikatnie pogłaskała jeden z korzeni wielkiego drzewa. Kiedy się podniosła, nasze spojrzenia się skrzyżowały.

- Na pewno chcesz iść ze mną? - zapytałem.

Skinęła, klepiąc korzeń na pożegnanie.

- Nie będzie łatwo, tego jestem pewna. Ale musimy spróbować.

Słuchając pobrzękiwania dzwoneczków schodzącego Bambula, pokręciłem głową.

- A z nim będzie nam jeszcze trudniej.

Rhia przechyliła głowę w stronę przejścia.

- Wolalabym cały dzień słuchać zepsutej harfy niż tych jego dzwoneczków.

Przypominają mi żelazny czajnik, który turla się ze wzgórza.

Wróciłem myślami do melodyjnej muzyki Harfy Kwitnienia, muzyki, która towarzyszyła mi od tylu tygodni. Aby zmniejszyć ryzyko uszkodzenia instrumentu, postanowiłem zostawić go w bezpiecznym miejscu, przy kominku Rhii. Arbassa będzie go dobrze strzegła. Jednak wiedziałem, że będzie mi brakować melodyjnych dźwięków Harfy. I czegoś jeszcze.

Przyjrzałem się twarzy Rhii, tak żalosalnej jak moja.

- Nie powinienem był przerywać misji na Mrocznych Wzgórzach. Ściągnąłem niebezpieczeństwo na całą Fincayrę. A teraz naraziłem na nie jeszcze własną matkę. -

Wcisnąłem koniec laski w trawę i westchnąłem. - Tak naprawdę nigdy nie zasługiwałem na Harfę. Widziałaś, jak się nią pyszniłem, jakbym był czarodziejem. Ale żaden ze mnie czarodziej, Rhio. Nie jestem wystarczająco potężny. Brakuje mi mądrości.

Dziewczynka lekko uniosła brew.

- Myślę, że już trochę zmądrzałeś.

- Ale nie na tyle, żeby opanować dusze Pieśni! Nie wiem nawet, od czego zacząć.

Potężne gałęzie nad naszymi głowami nagle się poruszyły. Konary zadrżały i zaczęły o siebie stukać, a na ziemię spadł deszcz liści i gałązek. Choć mniejsze drzewa otaczające Arbassę nawet nie drgnęły, wielki dąb zakołysał się miotany silnym wiatrem.

Poczułem falę strachu. Złapałem Rhię za rękę.

- Chodź! Zanim spadnie na nas gałąź.

- Bzdura. - Wyszarpnęła mi się. - Arbassa nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

Wsluchaj się.

Kiedy wytrząsałem liście z włosów, dotarło do mnie, że trzaski i szelest gałęzi istotnie składają się na wyraz. Wyraz, który powtarzał się bez przerwy. *Tttuuuaathhha*.

Tttuuuaathhha. Kołysanie powoli zelżało. Gałęzie uspokoiły się. Majestatyczne drzewo wznosiło się nad nami tak jak przedtem. Tylko jedna rzecz się zmieniła. Co prawda nadal nie wiedziałem nic na temat dusz Pieśni, ale miałem już pomysł, gdzie mógłbym zacząć poszukiwania.

- Grób Tuathy - oznajmiłem. - To jest początek naszej wyprawy.

Rhia zagryzła wargę.

- Jeżeli Arbassa wierzy, że to dobry trop, zaufam jej. Ale nie podoba mi się pomysł, żeby tam iść. Ani trochę.

Wtedy Bambulo, z miną jeszcze bardziej zboląłą niż zwykle, wystawił głowę przez przejście w pniu. Wyszedł chwiejnym krokiem na trawę, trzymając się za brzuch.

- Ależ to była burza! Mało brakowało, a mój wrażliwy żołądek podszedłby mi do gardła.

Tyczkowaty błazen wyprostował się, potrząsając dzwoneczkami na kapeluszu.

- Ale nic się nie bójcie. Taka pogoda mnie prześladowa, więc jestem przyzwyczajony.

Wymieniłem z Rhią zmartwione spojrzenia.

- I tak pójdę z wami - ciągnął Bambulo, rozcierając sobie bok. - Choć ta nowa rana utrudni mi rozśmieszanie was w drodze. Mimo to błazen musi się postarać!

Naciągnął płaszcz na głowę i zaczął przeskakiwać korzenie Arbassy, a nas doszło przytłumione pobrząkiwanie dzwoneczków.

Zmarszczyłem brwi.

- Lepiej, żebyś rozśmieszał nas niż moją matkę.

Bambulo zdjął płaszcz z głowy.

- O nią nie musisz się martwić - powiedział od niechcienia. - Ma mnóstwo czasu.

Czeka ją prawie miesiąc nieustającego bólu przed śmiercią. - Zerknął zamyślony na domek na drzewie. - Jeżeli chcesz, mogę tam wrócić i trochę ją rozśmieszyć, zanim wyruszymy.

Podniosłem laskę, jakbym zamierzał się nią, żeby go uderzyć.

- Ty głupcze! Gnijące zwłoki są śmieszniejsze od ciebie!

Bambulo zmarszczył czoło i wszystkie podbródki.

- Jeszcze zobaczysz. Kiedyś kogoś rozśmieszę.

Opuściłem laskę i powiedziałem z pogardą:

- Już czuję smak własnych trzewików.

Potężny pień Arbassy zatrzeszczał i przejście się zamknęło. Mój wzrok wędrował

wzdłuż pnia, coraz wyżej, aż ten zniknął w płataninie gałęzi nad naszymi głowami. Przez chwilę wpatrywałem się w konary splecione jak nici żywego gobelinu. Liście połyskiwały w słońcu; spod każdej gałęzi wyrastał, niczym futro, mech.

- Czy twoim zdaniem - zapytałem Rhie - pewnego dnia Arbassa mogłaby otworzyć przede mną przejście do swojego wnętrza nieproszona o to? Może nawet chętnie?

Kiedy to powiedziałem, całe drzewo zadrżało, a na nas znów spadł deszcz liści i kawałków kory.

Rhia zmarszczyła brwi.

- Arbassa martwi się o mnie, to wszystko.

Spojrzałem w jej szaroniebieskie oczy.

- Nie musisz iść ze mną.

- Wiem. - Wyduła w zamyśleniu wargi. - Czy jednak jesteś pewien co do grobu Tuathy?

Bambula zatkało i załamał rękę.

- Grób wielkiego czarodzieja? Nikt tam nie chodzi. W każdym razie nikt, kto chce przeżyć. To nawiedzone, straszne miejsce. Prawda jak sto pięćdziesiąt.

- Tam właśnie pójdziemy - uciałem.

- Ale ja cię nie mogę zaprowadzić - ostrzegła Rhia. - Nawet nie wiem, gdzie to jest.

- Ja wiem. Byłem tam już kiedyś, może nawet dwa razy, choć muszę pójść raz jeszcze, żeby się upewnić. - Potarłem wierzchołek laski, a w powietrzu rozszedł się zapach cykuty. -

Jeżeli doprowadzisz nas do wielkiego bagna pod Mglistymi Wzgórzami, stamtąd odnajdę drogę.

Rhia zatrzęsa lokami z powątpiewaniem.

- Stracimy w ten sposób cenny czas.

Bambulo pokręcił swoją dzwoniącą głową.

- I nie tylko czas.

- Trudno. - Uderzyłem laską w trawę. - W drogę.

Rhia rzuciła tęskne spojrzenie na konary Arbassy, potem odwróciła się, ruszyła szybkim krokiem po bujnej łące i zniknęła w przerwie między drzewami. Podążyłem za nią.

Bambulo szedł na końcu, mamrocząc coś pod nosem o nawiedzonych grobach i mściwych czarodziejach.

Przez jakiś czas szliśmy po krętym szlaku naznaczonym śladami lisów, niedźwiedzi i wilków, jak również innych zwierząt, których nie umiałem rozpoznać. Potem szlak się skończył i przedzieraliśmy się przez szeroką połąć przewróconych podczas gwałtownej burzy drzew. Kiedy z posiniaczonymi i zakrwawionymi gołeniami trafiliśmy w końcu do zagajników sosen i cedrów, Rhia wyprowadziła nas na wyżynę. Tam odstępy między iglastymi drzewami powiększyły się i do poszycia docierało więcej światła. To wpłynęło korzystnie na czułość mojego magicznego wzroku, więc przynajmniej nie wpadałem już na każdy korzeń i nie kłuła mnie każda gałąź.

Mimo to z trudem nadążałem za Rhią. Tak jak ja zdawała sobie sprawę, że czas nas goni. I być może liczyła na to, że w lesie uda nam się zgubić Bambula. Ale dzięki swoim długim tyczkowatym nogom błazen dotrzymywał nam kroku i ciągle pobrząkiwał.

Tymczasem Rhia skakała z gracją jelenia, od czasu do czasu wbiegając na strome wzgórze.

Kiedy na nią patrzyłem, przypominałem sobie grecką historię o Atalancie, dziewczynce, która umiała niewiarygodnie szybko biegać. Jednak choć uśmiechnąłem się na tę myśl, popsuło mi humor wspomnienie losu kobiety, dzięki której poznałem tę opowieść.

Wyteżałem siły, żeby nadążyć. Pot szczypał mnie w niewidzące oczy. Kiedy słońce znalazło się wysoko nad nami, gleba zrobiła się bardziej wilgotna. Każde drzewo było po bokach obrośnięte mchem, z ziemi sączyły się strumyki, a do butów lepiło się błoto. Coraz częściej pojawiały się ciemne kałuże zastanej wody. Nie rozpoznałem widoku tego terenu, lecz jego zapach. Zatechły, zgniły i niepokojący, wbił mi się w pamięć jak szpony w ciało.

- To tutaj - oznajmiłem, skręcając na wschód.

Rhia odwróciła się, żeby podążyć za mną, po czym przeszła przez błoto lekkim krokiem w odróżnieniu od Bambula, który ślizgał się i taplał tuż za nią. Poprowadziłem ich na ocienioną polanę wśród cedrów. Odgłosy lasu ucichły, ustępując miejsca niepokojącej ciszy. Nie przerywał jej nawet najlżejszy trzepot skrzydeł chrabąszcza.

Zatrzymałem się na skraju polany. Obejrzałem się przez ramię i powiedziałem, żeby się nie ruszali. Rhia chciała coś powiedzieć, ale podniosłem dłoń, by ją uciszyć. Powoli i ostrożnie sam wyruszyłem naprzód.

Niespodziewany podmuch wiatru poruszył gałęziami cedrów. Zamiast jak zwykle zatrzeszczeć, dziwnie zadrzały, jakby nuciły posępną pieśń żalobną. Pieśń o stracie i tęsknocie. Pieśń o śmierci. Na polanie zrobiło się tak ciemno, że z trudem widziałem kontury swoich butów na pokrytej igłami ziemi. Dokoła mnie wznagało się zawodzenie gałęzi. W

końcu wszedłem na małą polanę otoczoną kręgiem prastarych cedrów, które rosły przy grobie Tuathy.

Powoli, bardzo powoli na polanie przejaśniało się. Jednak nie było to słońce. Świeciły wiekowe cedry, których kołyszące się gałęzie zaczęły niepokojąco lśnić na niebiesko. Kiedy konary falowały na wietrze jak brody starców, zastanawiałem się, czy w drzewach mieszkają duchy uczniów Tuathy, skazanych na czuwanie nad jego grobem, pogrążonych w wiecznej żalobie.

Byłem teraz pewien, że już dwukrotnie stałem w tym miejscu. Całkiem niedawno. I w dzieciństwie, kiedy przyjechałem tu na grzbiecie Ionna, czarnego konia mojego ojca, na pogrzeb Tuathy. Zapamiętałem z niego tylko smutek, który panował wówczas na polanie.

Mój wzrok padł na wąski kopiec z ziemi na środku polany. Otaczało go dwanaście wypolerowanych kamieni, idealnie sferycznych. Lśniły jak niebieski lód. Kiedy się zbliżyłem, zaintrygowała mnie sama długość kurhanu. Albo Tuathę pochowano w kapeluszu, albo był on rzeczywiście bardzo wysoki.

- I jedno, i drugie, ty bezczelny szczeniaku.

W moich uszach zabrzmiał głęboki głos. To był ten sam głos, który słyszałem, kiedy czytałem runy na ścianach Arbassy. Wiedziałem w głębi duszy, że należy do Tuathy. Jednak oprócz strachu i przerażenia czułem też swoistą tęsknotę. Skoncentrowałem się na kopcu i ubrałem myśli w słowa.

- Żałuję, że cię nie znałem, wielki czarodzieju.

Niebieskie kamienie zaśniły jaśniej, aż ich blask stał się mocniejszy od światła pradawnych cedrów. Wyglądało to, jakby wewnątrz kamieni paliły się świece, których płomień rozpałał sam duch Tuathy.

- Chcesz powiedzieć, że żałujesz, iż nie uchroniłem cię przed własną głupotą.

Przestąpiłem z nogi na nogę niepewnie, szurając o ziemię końcem laski.

- To też. Ale naprawdę żałuję, że nie mogłem cię poznać i żyć wtedy, kiedy ty żyłeś.

Aby uczyć się od ciebie.

- Tę szansę nam odebrano - oznajmił głos gorzkim tonem. - A wiesz dlaczego?

- Bo zgładził cię ogr Balor?

- Nie! - zagrzmiął Tuatha, a kamienie rozbłysnęły jak pochodnie. - Powiedziałeś jak, a nie dlaczego.

Przełknąłem ślinę.

- Nie... nie wiem dlaczego.

- To lepiej się zastanów! Czy może masz tak tępy łeb jak twój ojciec?

Policzki zapłonęły mi od obelgi, jednak starałem się nie okazywać furii.

Zmarszczyłem czoło, poszukując odpowiedzi. Nagle przypomniałem sobie słowa Cairprégo, kiedy ostrzegł mnie w bramie Miasteczka Bardów.

- Czy to była... pycha?

- *Tak!* - zagrział duch Tuathy. - *To była moja najważniejsza wada i to samo można powiedzieć o tobie.*

Schyliłem głowę, w pełni świadom słuszności jego słów.

- Wielki czarodzieju, nie zasługuję na twoją pomoc. Ale Elen na nią zasługuje. I jeżeli mam jakąkolwiek szansę, żeby ją uratować, muszę się czegoś dowiedzieć.

Kamienie zamigotały złowieszczo.

- *Skąd mam wiedzieć, że jej nie zostawisz, tak samo jak zostawiłeś Mroczne Wzgórza na pastwę knowań Rhity Gawra?*

Zadrzałem.

- Masz moje słowo.

- *Wielka Rada też miała twoje słowo.*

- Nie zostawię jej! - Mój wzrok omiół krąg cedrów, które jakby potrząsały gałęziami z dezaprobatą. Potem dodałem prawie szeptem: - Jest dla mnie wszystkim.

Przez dłuższą chwilę słyszałem tylko wzdychanie gałęzi. W końcu niebieskie kamienie znów załśniły.

- *A więc dobrze, młokosie. Cóż takiego chcesz wiedzieć?*

Podszedłem ostrożnie do kopca.

- Muszę się dowiedzieć, jak odnaleźć duszę Pieśni.

Kamienie znów załśniły.

- *Ach, dusza Pieśni. Tak mało, a zarazem tak wiele! Widzisz, młokosie, choć możesz uważać Siedem Pieśni, które przeczytałeś, za zbyt krótkie, skrywają one tajne źródła siedmiu podstawowych działów magii. Każda Pieśń to tylko początek, punkt wyjścia, który prowadzi do mądrości i potęgi przekraczających twoje oczekiwania. I to najśmielsze! W każdej Pieśni jest tyle wersów, że nauczenie się kilku zajęłoby kilka stuleci.*

- Ale czym jest dusza Pieśni?

- *Cierpliwości, nieopierzony szczeniaku!* - Kamienie zapłonęły gniewem. - *Dusza jest esencją Pieśni. Jej podstawowym sensem. Znaleźć ją jest tak samo trudno, jak wychwycić zapach polnych kwiatów zza rozległego jeziora. Nie widać jej, nie można jej dotknąć, mimo to trzeba ją poznać.*

Pokręciłem głową.

- To musi być trudne nawet dla czarodzieja, a co dopiero dla chłopca.

Gałęzie zakołysały się żywiolowo, kiedy głos Tuathy znów rozszedł się echem.

- *Może jeszcze zostaniesz czarodziejem, młokosie, w każdym razie jeżeli przeżyjesz.*

Ale zapamiętaj jedno. Ponieważ goni cię czas, będziesz wystawiony na pokusę pominięcia niektórych Pieśni. Nie wąż się jej ulec! Nie szukaj Studni do Zaświata, dopóki nie znajdziesz dusz wszystkich Pieśni. Przestrzegaj moich zaleceń. Znaleźć tylko pięć albo sześć to tak, jakby nie znaleźć żadnej. Bez wszystkich siedmiu nie dość, że poniesiesz porażkę, ale stracisz życie.

Westchnąłem zagubiony.

- Skąd będę to wiedział, wielki czarodzieju? Skąd będę wiedział, że odnalazłem duszę każdej Pieśni?

W tej samej chwili z kamieni buchnęła kolumna niebieskich płomieni. Iskrzyła się i trzaskała w powietrzu, aż wyleciała z niej niebieska błyskawica, która trafiła wierzchołek mojej laski. Zadrzałem od siły wstrząsu, jednak nie wypuściłem kija. Trochę przypiekło mi tylko palce.

Znów usłyszałem tubalny głos.

- *Będziesz wiedział.*

Potarłem laskę. W dotyku była taka sama jak wcześniej, choć wiedziałem, że coś się zmieniło.

- *Teraz musisz już iść, młokosie. Pamiętaj, co ci powiedziałem. - Światło kamieni zaczęło przygasać. - Obyś miał jeszcze kiedyś okazję odwiedzić mój grób.*

- Powiedz mi, proszę, jeszcze jedno - jęknąłem. - Czy prawdziwa jest przepowiednia o tym, że Rhitę Gawra lub jego sługę Balora może pokonać tylko dziecko człowieka?

Blask nie powrócił. Usłyszałem tylko ponure westchnienie gałęzi.

- Powiedz mi. Proszę.

W końcu kamienie zamigotały.

- *Przepowiednia może być prawdziwa, ale nie musi. Jednak nawet jeżeli miałyby się spełnić, to prawda nierzadko ma wiele twarzy. A teraz... Zostaw mnie! I nie wracaj bez mądrości godnej twojego wieku.*

XIII

DZIWNA PARA

Kiedy opuściłem polanę, drzewa znów się uciszyły. Mocno trzymałem laskę, świadomy, że tak jak mnie ją też natchnął duch Tuathy. I że tak jak mnie zmienił ją tym samym na zawsze.

Kiedy wyszedłem spośród cedrów, podeszli do mnie Rhia i Bambulo. Choć kroczyli obok siebie, kontrast między nimi był uderzający. Jedno, przyrodziane w leśną zieleń, poruszało się żwawo jak młody lis. Drugie, sztywne i ponure jak pniak, miało na sobie ciężki brązowy płaszcz i oczywiście kapelusz ze zwisającymi dzwoneczkami. Jednak oboje, przynajmniej na razie, byli moimi towarzyszami wyprawy.

Rhia wyciągnęła do mnie dłoń i zahaczyła palec wskazujący o mój palec.

- Czego się dowiedziałeś?

Ścisnąłem jej palec.

- Wiem to i owo.

- To za mało - oznajmił Bambulo. - Jak zwykle.

- Dokąd teraz idziemy? - zapytała Rhia, zerkając na pogrążone w mroku za mną gałęzie.

Z zagryzioną wargą pomyślałem o pierwszej z Siedmiu Pieśni.

- Cóż, muszę znaleźć duszę sztuki Przemiany. A żeby tego dokonać, muszę znaleźć drzewołaka. *Pierwsza będzie lekcja Przemiany, drzewołak udzieli pomocy.* - Wstrzymałem oddech. - Ale czy nie mówiłaś, że Cwen była ostatnim drzewołakiem?

Dziewczynka przytaknęła z ponurą miną. Widziałem, że ciągle boli ją zdrada Cwen.

- Tak, była ostatnim drzewołakiem. I prawie na pewno już nie żyje. Musiała wykrwawić się na śmierć, po tym jak goblin odciął jej rękę.

Obróciłem sękaty koniec laski w dłoni.

- Jak w takim razie mam znaleźć duszę Pieśni? Ona jest związana z drzewołakami.

Rhia przebiegła dłońmi po swoich lokach.

- Ty naprawdę lubisz wyzwania, Merlinie! Masz tylko jedno wyjście: udać się do Faro Lanny, ojczyzny drzewołaków. Choć obawiam się, że za wiele tam nie znajdziesz.

- To daleko?

- Tak. Na samym południowo-zachodnim krańcu Fincayry. I będziemy musieli przejść przez całą Drumę, co jeszcze bardziej nas spowolni. Aby tego uniknąć, musielibyśmy iść na przełaj przez Mgliste Wzgórza na wybrzeże, potem skierować się na południe, ale to oznaczałoby konieczność wędrowania przez krainę żywych kamieni. To nie jest dobry pomysł!

Bambulo przytaknął, pobrząkując kapeluszem.

- Rozważna rada, młoda kobieto. Żywe kamienie mają szczególną chrapkę na podróży. - Przełknął ślinę, podrygując wielowarstwowym podbródkiem. - Zwłaszcza na błaznów, o ile mi wiadomo.

- W takim razie muszą mieć wyjątkowo mocny żołądek - dodałem sarkastycznie.

Odwrociłem się do Rhii i zapytałem:

- W tej okolicy mieszka Wielka Eluza, prawda?

Bambulo zadrżał.

- Kolejny świetny powód, żeby trzymać się z dala! Nawet żywe kamienie boją się tej olbrzymiej pajęczycy. Ma jeszcze większy apetyt od nich. Dużo większy.

Wzięłem głęboki oddech, wciągając pachnące wonią gałęzi powietrze.

- Tak czy inaczej, Rhio, chcę, żebyś nas poprowadziła na skróty, przez Mgliste Wzgórza.

I dziewczynka, i błazen wzdrygnęli się. Nawet ciche cedry zaszumiały gałęziami, jakby oniemiały.

Rhia nachyliła się do mnie.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. - Odgarnąłem włosy z czoła. - Każdy stracony dzień albo choćby godzina może być kwestią życia i śmierci mojej matki.

Z twarzą porytą zmarszczkami niepokoju Bambulo złapał mnie za rękaw tuniki.

- Nie możesz tego zrobić. Na tych wzgórzach czyha śmierć.

Wyswobodziłem się.

- Jeżeli wolisz zostać tu z Tuathą, nie ma sprawy.

Bambulo zrobił wielkie oczy, a ja uderzyłem laską o pokrytą igłami ziemię.

- W drogę.

Zostawiliśmy w tyle ocienioną polanę i ruszyliśmy przez bagnisty teren. Szliśmy w ciszy, którą przerywało jedynie miarowe pobrzękiwanie dzwoneczków Bambula. Pomyślałem ponuro, że przynajmniej Wielka Eluza usłyszy, iż nadchodzimy. Ale czy my usłyszymy ją? I czy zapanuje ona nad swoim apetytem na tyle długo, aby przypomnieć sobie, że gościła kiedyś mnie i Rhię w swojej kryształowej jaskini? Na myśl o jej śliniących się szczękach ugięły się przede mną kolana.

Nasze stopy brnęły z chlupotem przez błoto, drzew było mniej i widziałem teraz coraz więcej punktów orientacyjnych. Dziwny głaz w kształcie krzesła poplamiony żółtymi porostami. Poskręcany

szkielet martwego drzewa. Połąć ognistopomarańczowego mchu.

Dziwną trójkątną jamę. Zapadał zmierzch. I do gleby, i do naszych butów sączyło się coraz więcej wody. Wkrótce usłyszałem w oddali odgłosy żab. Do chóru dołączyły niepokojące krzyki ptaków wodnych. Nasilił się wilgotny zapach zgnilizny. Niedługo potem doszliśmy do skraju szerokiej połaci wysokich traw, martwych drzew i ciemnych płatów ruchomych piasków. To były mokradła.

Bambulo zaprotestował, wymachując zabłoconymi rękawami.

- Nie będziemy się chyba przeprawiać teraz? Jest już prawie noc.

- Albo zatrzymamy się tutaj - odparłem - albo znajdziemy suchszy teren na wzgórzach. Co o tym sądzisz, Rhio?

Dziewczynka zerwała garść fioletowych jagód z niskiego krzewu i włożyła je sobie do ust.

- Mmm. Nadal słodkie.

- Rhio?

- Suchszy grunt - odparła w końcu. - Choć jagody są smaczne.

Kiedy z mroku rozszedł się echem przejmujący krzyk bagiennego żurawia, Bambulo pokręcił głową.

- Wspaniały wybór. Spędzić noc na bagnie, czekając, aż uduszą nas mordercze węże, albo czekać na progu jaskini Wielkiej Eluzy, żeby zjadła nas na śniadanie.

- Wybór należy do was.

Ruszyłem, przeskakując zgniłą kłodę. Wylądowałem z pluskiem w kałuży. Po chwili usłyszałem za sobą dwa kolejne pluśnięcia, a następnie dzwoneczki i narzekanie.

Przez jakiś czas szedłem po paśmie zaschniętego błota, które niczym palec wskazywało w stronę bagna. Jednak w pewnym momencie ziemia się skończyła i trzeba było się przedzierać przez trawiaste mokradła. Czasami zapadałem się w wodzie po uda. Długie szerniałe palce zanurzonych gałęzi chwyciły mnie za tunikę, a błoto sączyło mi się do trzewików. Co chwila w niezbadanych głębinach poruszały się dziwne kształty.

Robiło się coraz ciemniej. Jednak tej nocy nie było szans na księżyc, bo niebo zasnuły grube chmury. Pomyślałem, że to wszystko jedno. Widok księżyca przypominałby mi tylko o uciekającym czasie i gasnącej nadziei.

Brnęliśmy w niemal zupełnym mroku. Po kolejnej godzinie przedzierania się i taplania zapanowała pełna ciemność. Gdzieś koło mojego buta syknął wąż. Zacząłem się obawiać, czy nie zboczyliśmy. Mrok rozciągał się w nieskończoność. Nogi coraz bardziej mi ciążyły. Potem grunt zaczął stopniowo twardnieć pod stopami. Na początku prawie nie zauważyłem różnicy, ale z czasem poczułem, że wspinamy się po skalistym terenie. Zgniłe kałuże zniknęły, a wraz z nimi zapach. Odgłosy żab i

ptaków zostały w tyle.

Przedostaliśmy się przez bagno.

Wyczerpani weszliśmy na otoczoną głazami płaską polanę. Postanowiłem, że rozbijemy tu obozowisko. Klapnęliśmy wszyscy razem na pokrytą mchem ziemię. Aby ogrzać zmarznięte dłonie, włożyłem je do przeciwległych rękawów. Zamknąłem oczy i zasnąłem.

Obudziłem się, kiedy w nos uderzyła mnie wielka kropla deszczu. Potem spadły kolejne. Chmura na horyzoncie rozbłysła niespodziewanie, a po grani rozszedł się grzmot.

Zaczęła się ulewa. Młócił nas podsycany wzmagającym się wiatrem deszcz. Nocne niebo jeszcze bardziej szerniało, jakby chmury zamieniły się w wielkie kamienne płyty. Z nieba lały się strumienie wody. Nawet gdybym umiał zamienić się w rybę, nie byłbym bardziej mokry. Potrzebowałem tylko skrzeli.

Dygocząc z zimna, przysunąłem się do jednego z gładów, żeby schronić się obok niego. Wtedy uświadomiłem sobie, że to gład przysuwa się do mnie.

- Żywe kamienie! - krzyknęła Rhia. - Musimy stąd...

- Aaaaaaa! - wrzasnął Bambulo. - Chce mnie pożreć!

Spróbowałem odturlać się od kamienia. Jednak zahaczyłem o niego rękawem tuniki i nie mogłem się uwolnić. Szarpałem, usiłując się wyrwać. Po twarzy lała mi się woda, a ja tłukłem pięścią w gład.

Moja pięść uderzyła o mokrą skałę - i utknęła w niej. Nie chciała się ruszyć! Potem, ku mojemu przerażeniu, skała zaczęła się wokół niej zamykać. Połykała całą moją dłoń kamiennymi ustami. Wrzasnąłem, ale uderzenie pioruna zagłuszyło mój głos. Mimo ciemności i burzy ze wszystkich sił starałem się uwolnić.

Niedługo potem kamień wchłonął całą moją dłoń. Następnie nadgarstek. Przedramię.

Łokieć. Choć kopałem i szarpałem z całej siły, nie mogłem się wyswobodzić. Czułem ciągle palce i dłoń, ale uścisk kamienia się nasilał. Za chwilę szczęki żywego gładu zmiążdżą mi kości.

Grań rozświetliła błyskawica. W tej chwili na polanę wkroczyła potężna postać, masywniejsza od gładów. Jej głos było słychać mimo grzmotu i burzy.

- Głodnaaaa - zaryczała wielka bestia. - Jesteeem głodnaaaa.

- Wielka Eluza! - krzyknęła Rhia.

Bambulo znów wrzasnął, jakby właśnie umierał.

Wielka Eluza skoczyła i wylądowała u mojego boku, a jej osiem odnóży rozbryzgnęło na wszystkie strony błoto. Pomimo deszczu i mroku mój magiczny wzrok uchwycił, jak otwierają się jej potężne

szczęki. Na widok niekończących się rzędów zakrzywionych zębów zdwoiłem wysiłki, żeby się uwolnić. Szczęki się zatrzasnęły.

Nie na mnie! Ze strasznym gruchotem Wielka Eluza odgryzła spory kawałek żywego kamienia. Głaz zatrząśł się gwałtownie, po czym puścił moją rękę. Zatoczyłem się do tyłu na błotnistą ziemię. Zanim ogarnąłem sytuację, ktoś na mnie spadł, a grań zajaśniała od eksplozji białego światła.

XIV

KRYSZTAŁOWA JASKINIA

Dokoła mnie tańczyło światło, skrząc się niczym gwiazdy. Dokoła Rhii i Bambula również, gdyż leżeliśmy na stercie rąk, nóg i porwanych ubrań. Odepchnąłem czyjaś zabłoconą stopę z twarzy i usiadłem. Oprócz tego, że przemokłem do suchej nitki i bolała mnie dłoń, byłem cały i zdrow. Gdziekolwiek się znajdowałem.

W mgnieniu oka skojarzyłem rzędy połyskujących kryształów, drżące fale światła, które wibrowały na ścianach, i samą wspaniałość tej komnaty. Ze wszystkich stron lśniły tysiące oszłamiających faset, każda swoim blaskiem i każda gładka jak lód. Kryształowa jaskinia! Kiedy byłem tu pierwszy raz, miałem pewność, że to najpiękniejsze miejsce, jakie w życiu widziałem. Teraz pomyślałem to samo.

Coś za mną chrupnęło. Odwróciłem głowę i zobaczyłem Wielką Eluzę, której cielsko było tak olbrzymie, że prawie wypełniało lśniącą jaskinię. Właśnie ugryzła coś, co wyglądało na zadnie nogi dzika. Jej wielkie oczy, mieniące się tak jak kryształy, przyglądały mi się, kiedy przeżuwała. Po przełknięciu ostatniego kęsa oblizwała do czysta odnóża z zaskakującą czułością.

- Witaaaaajcie w moooojej jaskiiiiini - zaryczała.

Bambulo, który dygotał i pobrzękiwał dzwoneczkami, złapał mnie za rękaw przerażony.

- Cz-czy teraz n-n-nasza k-kolej?

- Oczywiście, że nie - skarciła go Rhia, której mokre loki skrzyły się wokół nas jak kryształy. - Sprowadziła nas tutaj, żeby nas uratować przed żywymi kamieniami.

- T-t-tak, żeby m-m-mogła nas s-s-sama zjeść - wyjąkał błazen.

- Miiiiilczec. - Gigantyczna pajęczycza podrapała biały garb na grzbiecie. - Na raaaazie zaaaaspokoiiiaaam głód. Na waaaasze szczęścieeee, straaaawienie żyyyywych kaaaamieni to dłuuuuzsza spraaaawa. Dziiik był tyyyylko na deeeeser.

Otarłem rękawem tuniki krople deszczu z twarzy.

- Dziękujemy ci. Ale jak ci się udało nas tu tak szybko sprowadzić?

- Skooooczyłam. - Wielka Eluza przysunęła się nieco bliżej, aż zobaczyłem swoje odbicie

zwielokrotnione i mieniające się w wielościennych kryształach jej oczu. - Tooooo sztuuuuka, którą możeeeee uda ci się peeeewnego dnia zgłębiiiić.

- Skakanie to jedna z Siedmiu Pieśni, które muszę przyswoić! Nie mów mi tylko, że muszę się nauczyć robić to, co ty przed chwilą zrobiłaś. Życia by mi na to nie starczyło.

- Wieeeeelu żyyyyć. - Wielka biała pajęczycyca nadal mi się przyglądała. - Zwłaaaaaszczka koooomuś, ktoooo nie umie wyyyykonać pooowierzonego mu zadaaaania. Gdzieeeee zoooostawiłeś Haaaarfę Kwitnieeeenia?

Pot zaperlił mi się na czole.

- Jest bezpieczna. W Arbassie. Ale nie mogę teraz wrócić na Mroczne Wzgórza! Mam problem, którym muszę się zająć.

- Prooooblem, który pooowstał z twooooojej wiiiiny.

Spuściłem głowę.

- Tak.

- Prooooblem - zagrzmiało stworzenie - który mooooożesz jeszcze roooozwiązać.

Powoli podniosłem głowę.

- Czy chcesz powiedzieć, że mam jeszcze szansę, żeby ją uratować?

Jedna z olbrzymich nóg tupnęła w kryształowe podłoże.

- Maaaaleńką szansę, aaaale ją maaaasz.

Rhia przysunęła się do mnie.

- Czyli Elen może przeżyć?

- Moooooże i jeeeej młoooodzian teeeeż. - Wielka Eluza odchrząknęła i zakrzywione kryształowe ściany zadudniły od echa. - Będzie jeeeednak muuuusiał przeeeeżyć tę miiiisję i wieeeeel innych, zaaaanim pewnego dniaaaa odnaaaajdzie właaaaasną kryyyysztalową jaskinię.

- Własną kryształową jaskinię? - Na samą myśl o tym serce zabiło mi mocniej. - Czy to naprawdę możliwe?

- Wszyyyystko jest moooozliwe.

Olbrzymia pajęczycyca przesunęła swoje cielsko na bok, odsłaniając kolekcję połyskujących przedmiotów. Skarby Fincayry! Rozpoznałem Kulę Ognia, która lśniła pomarańczowym blaskiem tak jak kryształy; majestatyczny róg znany jako Zaklinacz Marzeń; i wielki miecz Głębotnij, którego jedna

strona ostrza mogła ugodzić samą duszę, a druga wyleczyć każdą ranę. Za nim dostrzegłem pług, który orał własne pole, Skarb, który Honn opisywał swojemu synowi. Nieopodal leżała reszta Mądrych Narzędzi - oprócz tego jednego, które zaginęło.

- Mooooożliwe naaaawet, że peeeewnego dnia będzieeeesz na tyyyyle mądry, żeeeeby właaaadać jeeeednym ze Skaaaarbów i więcej twooooorzyć niż niiiiiszczyc.

Przełknąłem ślinę.

- Mooooożesz mi wyreeecytować Sieeeedem Pieeeesni. - Jej głos zagrzmiał mi w uszach; to nie była prośba, lecz polecenie.

Zawahałem się, po czym wziąłem oddech i zacząłem mówić:

Siedem Magicznych Pieśni,

Jedna melodia i wiele,

Niech zawiodą cię do Zaświata,

Choćbyś nadziei miał niewiele.

Skulony na przeciwległym końcu jaskini Bambulo pokręcił ponuro głową, brzęcząc dzwoneczkami. Pajęczycza zwróciła ku niemu olbrzymie oko i błazen natychmiast znieruchomiał.

W blasku kryształów recytowałem dalej i doszedłem do fragmentu ostrzegającego, żeby opanować każdą Pieśń po kolei. Jaskrawe oczy Rhii zalśniły jak kryształy, kiedy wymawiałem słowa teraz utrwalone w głębi mojej duszy. *Drąż aż do duszy wnętrza.* Potem przeszedłem po kolei przez same Pieśni. Kiedy na zakończenie wspomniałem o oku Balora, Wielka Eluza poruszyła się nerwowo na kryształowym podłożu.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. W końcu zabrzmiał głos pajęczycy:

- Boooooisz się?

- Tak - wyszeptałem. - Boję się, że nie zdążę temu podołać w ciągu czterech faz księżycy.

- Tyyyyylko teeeego?

- Boję się, że znalezienie dusz Pieśni będzie za trudne.

- Czeeeegoś jeeeeszcze?

Przebiegłem nerwowo dłonią po kryształowym podłożu, wyczuwając ostre krawędzie.

- Najbardziej boję się siódmej Pieśni, Widzenia. Ale... nie wiem dlaczego.

- Dooooowiesz się dlaaaaczego, jeeeeżeli dooootrzesz tak daaaaaleko.

Trzema odnóżami pajęczycy podrapała się po włochatym grzbiecie.

- Moooooże udaaaa ci się nauczyyyyć przy okaaaazji nieco maaaagii. Choć szkooooda, że nie nauuuuczysz się niczego pooooożyteczneeeego. Na przyyykład jak snuuuuc pajęczyyynę. Aaaaalbo jak przeeeezuwać kaaaamień.

Rhia zachichotała. Potem jej twarz stężała.

- Co znaczy ta część o oku Balora?

Białe włoski pajęczycy zjeżyły się.

- Oooogr ma tylko jeeeedno ooookoooo. I zaaaabija kaźdeeeego, kto w nie spoooojrzy, choooooćby na chwiiiiłę.

Rhia nachyliła się do mnie.

- Tak właśnie musiał zginąć Tuatha.

- W rzeeeeeczy saaaamej - oznajmiła Wielka Eluza. - I taaaak saaaamo zgiiiniecie wyyyy, jezeeeeli nie będzieeeeecie ostroooooźni.

Zmarszczyłem czoło.

- Tak naprawdę to nie wiem, czy uda mi się wyjść poza pierwszą Pieśń. Kiedy nas odnalazłaś, podróżowaliśmy do Faro Lanny w nadziei, że tam się czegoś dowiemy. Ale skoro nie żyje już żaden drzewoślak, to wszystko na nic.

- To jeeeedyna naaadzieja, jaka wam zooostała.

- Faro Lanna jest tak daleko - powiedziała Rhia z rozpaczą. - To prawie tydzień wędrówki, nawet jeżeli po drodze nie spotka nas nic złego.

- Tydzień! - jęknąłem. - Nie mamy tyle czasu.

Wtedy kryształową jaskinię wypełniła niespodziewana eksplozja białego światła.

XV

PRZEMIANA

Znaleźliśmy się na trawiastym polu na skraju urwistego klifu nad samym morzem.

Kiedy wyjrzałem za krawędź, zobaczyłem na stromej ścianie kolonie mew trójpalczastych i srebrnoskrzydłych rybitw. Ptaki skrzeczały, popiskiwały i opiekowały się młodymi. Chłodny powiew

uderzył mnie w twarz. W powietrzu czuć było zapach słonej wody. Daleko pode mną biała linia morskiej piany przechodziła w jaskrawy granat, a potem zieleń ciemną jak nefryt.

Za szeroką połacią wody ledwie widziałem zarys małej wyspy, ciemnej i tajemniczej. Za nią kłębiła się ściana mgły, która otaczała całą Fincayrę.

Odwróciłem się do Rhii i Bambula, którzy również rozglądali się po okolicy. I pomyśleć, że przed chwilą byliśmy w kryształowej jaskini Wielkiej Eluzy! Gdziekolwiek znajdowaliśmy się teraz, musieliśmy przebyć długą drogę. Co za cudowna zdolność przenosić tak ludzi. Eluza pamiętała nawet, żeby przesłać moją laskę. Zanotowałem w pamięci, by zwrócić szczególną uwagę na piątą lekcję, Skakania, jeżeli kiedyś dojdę tak daleko.

Rhia podniosła się.

- Popatrzcie - krzyknęła, wskazując na wysepkę. - Widzicie to?

Wstałem, opierając się na lasce.

- Tam jest wyspa. Wygląda prawie nierealnie, nieprawdaz?

Rhia nadal się wpatrywała.

- To dlatego, że jest prawie nierealna. To Zapomniana Wyspa. Jestem tego pewna.

Po plecach przeszedł mi dreszcz.

- Siódma Pieśń! Tam właśnie muszę się udać, żeby poznać sztukę Widzenia.

Popatrzyłem na Rhię, po czym odwróciłem się z powrotem do spowitej ruchomymi oparami wyspy.

- Już ją kiedyś widziałaś?

- Nie.

- To skąd możesz mieć pewność, że to Zapomniana Wyspa?

- Z opowieści Arbassy oczywiście. To jedyny skrawek Fincayry, który nie jest połączony z lądem. Nikt - nawet jak głosi wieść, sam Dagda - nie zawitał tam od wieków. I oprócz ludu mer, który żyje w przesmyku między lądem a wyspą, nikt nie wie, jak pokonać silne prądy i jeszcze silniejsze czary, które bez przerwy tam się kłębią.

Uchyliłem się przed mewą, która przeleciała mi przed samym nosem. Nie mogłem jednak oderwać wzroku od wyspy.

- Wygląda na to, że goście nie są tam mile widziani - powiedziałem, a żołądek podszedł mi do gardła. - Z jakiegoś powodu.

Rhia westchnęła, również przyglądając się wyspie.

- Niektórzy twierdzą, że ma to związek z tym, jak mieszkańcy Fincayry dawno temu stracili skrzydła.

- Prawda jak sto pięćdziesiąt - wtrącił Bambulo, idąc w naszą stronę z nieszczęśliwą miną i pogrążony przy każdym kroku. - To była najsmutniejsza chwila w całej smutnej historii naszego ludu.

Czy to możliwe, żeby ponury błazen wiedział coś o utracie skrzydeł? Poczułem nagle przypływ nadziei.

- Wiesz, jak to się stało?

Jego pociągła twarz odwróciła się do mnie.

- Nikt tego nie wie. Nikt.

Zmarszczyłem brwi. Aylah, wietrzna siostra, wiedziała. Nie chciała mi jednak powiedzieć. Żałowałem, że nie mogę jej jeszcze raz zapytać. Lecz było to niemożliwe, tak niemożliwe jak złapanie wiatru. Najprawdopodobniej zawiąło ją już aż do Gwynedd.

Rhia w końcu odwróciła się od wyspy.

- Chciałbyś wiedzieć, gdzie teraz stoimy?

Trąciłem ją.

- Mówisz jak przewodniczka.

- Której potrzebujesz - odparła, uśmiechając się półgębkiem. - Jesteśmy w Faro Lannie, na skrawku ziemi, który kiedyś był ojczyzną drzewołaków.

Wysłuchany w dochodzący z dołu szum fal, rozejrzałem się po płaskowyżu. Z trzech stron otaczały nas urwiste klify kremowej barwy. Z wyjątkiem kilku stert rozsypujących się kamieni, prawdopodobnie resztek ścian albo palenisk, teren pokrywała tylko trawa. Daleko na północy linia ciemnej zieleni wyznaczała skraj lasu. Za nim unosiły się fioletowe opary horyzontu. Tylko to było widać od strony Mglistych Wzgórz.

Splowiały brązowy motyl wyleciał z trawy i wylądował na moim nadgarstku. Jego odnóża łaskotały, więc potrząsałem dłonią. Wtedy motyl odleciał i usiadł na sękatym końcu mojej laski. Jego nieruchome skrzydła zlały się z ciemniejszym brązem drewna.

Zakreśliłem ręką krąg, wskazując trawiasty płaskowyż.

- Nie wiem, jak mamy się nauczyć sztuki Przemiany drzewołaków. Jeżeli kiedyś tu mieszkały, to niewiele po nich zostało.

- Tak właśnie żyły. - Rhia podniosła biały kamyk i rzuciła go z urwiska. - Drzewołaki miały w zwyczaju wędrować, zawsze szukały lepszego miejsca, żeby się osiedlić. Miejsca, gdzie mogłyby zapuścić korzenie jak prawdziwe drzewa i które mogłyby nazwać domem.

Osiedliły się tu, przy urwisku, ale jak widać po tych stertach kamieni, ich osada była skromna. Schronienie dla bardzo starych i bardzo młodych. Nie było biblioteki ani rynku, ani miejsca spotkań. Większości drzewołaków dni upływały na wędrowaniu po Fincayrze i wracały tu tylko po to, żeby znaleźć partnera albo umrzeć.

- I co się z nimi stało?

- Tak bardzo pochłaniały ich wyprawy, że coraz rzadziej wracały do domu. W końcu nikt już nie wrócił. Osady się rozpadały albo rozwiewał je wiatr, gdyż nie było nikogo, kto mógłby się nimi zajmować. I same drzewołaki umierały jeden po drugim.

Kopnąłem kępkę trawy.

- Trudno winić je za to, że miały duszę wędrowników. Ja też ją mam. Ale z twojej opowieści wynika, że nigdzie nie czuły się jak w domu.

Rhia przyjrzała mi się uważnie, wiatr znad wody zatrzepotał jej liściastym odzieniem.

- A czy w twojej naturze leży poszukiwanie domu?

- Mam nadzieję, choć nie jestem tego pewien. A w twojej?

Rhia zeszywniała.

- Arbassa jest moim domem. Moją rodziną. Nigdy nie miałam innej.

- Oprócz Cwen.

Rhia zagryzła wargę.

- Kiedyś była częścią mojej rodziny. Ale to już przeszłość. Sprzedała mnie za worek goblinich obietnic.

Motyl odleciał z mojej laski. Skierował się do Bambula, który nadal patrzył ponuro ponad wodą na Zapomnianą Wyspę. Motyl miał właśnie wylądować, kiedy najwyraźniej zmienił zdanie i wrócił na sękaty trzon cykuty. Patrzyłem, jak jego spłowiałe brązowe skrzydła, z których jedno było mocno poszarpane, powoli otwierały się i zamykały.

Odwróciłem się do Rhii i oznajmiłem:

- Musimy ją znaleźć.

- Kogo?

- Cwen. Może ona powie mi to, czego nie dowiem się od tych kopców kamieni.

Rhia skrzywiła się, jakby właśnie zjadła garść kwaśnych jagód.

- W takim razie wszystko na nic. Nie uda nam się jej znaleźć, nawet jeżeli przeżyła z odciętą ręką. Poza tym gdybyśmy ją znaleźli, nie moglibyśmy jej zaufać. - Po czym wyrzuciła z siebie zaciekle: - To skończona zdrajczyń.

Pod nami olbrzymia fala roztrzaskała się o urwisko, a mewy trójpalczaste i rybitwy zaskrzeczały spryskane wodą.

- Mimo to muszę spróbować! Na pewno ktoś ją widział, po tym jak uciekła. Jeżeli drzewołaki są w tych czasach taką rzadkością, powinna się rzucać w oczy, nie uważasz?

Rhia pokręciła głową.

- Nie rozumiesz. Drzewołaki nie tylko miały w zwyczaju przemieszczać się z miejsca na miejsce. Chciały też się przemieszczać między ciałami.

- Nie chcesz przez to powiedzieć...

- Tak! Umiały się przemieniać! Wiesz, że drzewa zmieniają jesienią kolor, a wiosną mają zupełnie nowe odzienie? Drzewołaki posunęły się dalej. Przybierały postać niedźwiedzia albo orła, albo żaby. Dlatego wymienia się je w Pieśni Przemiany. Były jej mistrzami.

Moje nadzieje, i tak wątłe jak siedzący na mojej lasce motyl, zupełnie się rozwiały.

- Czyli Cwen, jeżeli jeszcze żyje, może mieć teraz dowolny wygląd.

- Zupełnie dowolny.

Wyczuwając moją rozpacz, Bambulo powiedział:

- Jak chcesz, mogę ci zaśpiewać piosenkę. Coś lekkiego i zabawnego.

Ponieważ nie miałem siły zaprotestować, zaczął śpiewać, kiwając obwieszonym dzwoneczkami kapeluszem do rytmu.

Życie to kłopotów morze,

Choć zawsze może być gorzej!

A ja tam się nie przejmuję

I z radości podskakuję.

Choć śmierć czyha na karpia,

Nie ma się co zamartwiać.

Zawsze może być gorzej!

Życie to kłopotów morze.

Raduj się, bo wszędzie

Jeszcze gorzej też będzie!

Niż teraz dużo gorzej!

Choć nie wiem, czy gorzej być może.

- Przestań! - zawołała Rhia. - Jeżeli naprawdę tak się czujesz, to dlaczego po prostu nie skoczysz z urwiska i nie skończysz tej tragedii.

Bambulo zmarszczył czoło w odpowiedzi.

- Ty mnie nie słuchałaś? To radosna piosenka! Jedna z moich ulubionych. -

Westchnął. - No cóż, chyba źle zaśpiewałem. Jak zwykle. Poczekajcie, spróbuję jeszcze raz.

- Nie! - krzyknął jakiś głos.

Ale głos nie należał do Rhii. Ani do mnie. To był głos motyla.

Trzepocząc szaleńczo skrzydełkami, małe stworzenie odleciało ze swojego miejsca, uniosło się i zaczęło pikować w dół. Tuż przed uderzeniem o ziemię w powietrzu rozległ się głośny trzask. Motyl zniknął.

Na jego miejscu pojawiła się szczupła powyginana postać, w połowie drzewo i w połowie kobieta. Jej włosy, szorstkie jak siano, opadały na podobną do kory skórę twarzy, otaczając dwa ciemne oczodoły w kształcie łez. Brązowa szata okrywała jej ciało aż do szerokich guzowatych stóp w kształcie korzeni. Z szaty wystawała tylko jedna ręka, a na najmniejszym z sześciu palców dłoni widać było srebrny pierścionek. Roztaczała wokół

siebie słodką woń kwiatów jabłoni, która gryzła się z jej skwaszoną miną.

Rhia stała sztywna jak sucha gałąź.

- Cwen.

- Owszszszem - wyszeptał drzewolak głosem, który szeleścił jak sucha trawa. - To Cwen. Ta ssssama Cwen, która opiekowała sssię tobą, kiedy byłaśś dzieckiem i która troszszszczyła sssię o ciebie, kiedy chorowałaśśś.

- I która chciała mnie wydać goblinom!

Cwen przebiegła dłonią po skołtunionych włosach.

- Nie miałam takiego zzzzamiaru. Gobliny zzzzaklinały się, że nic ci nie zzzzrobią.

- Powinnaś była wiedzieć, że to kłamstwo. Goblinom wojownikom nie można ufać. -

Rhia wpatrywała się w poskręcana postać. - A teraz nikt nie będzie ufał tobie.

- Nie widziszysz, że to wiem?

Na trawie nieopodal wylądowała mewa i zaczęła szarpać źdźbła dziobem. Choć ptak ciągnął z zapalem, trawa się nie ruszała.

- Tylko sssspójrz - powiedziała Cwen, przysuwając się do mewy. Najłagodniejszym głosem zapytała: - Dobry ptaku, czy pozwoliłbyś mi pomóc ssssobie przy budowie gniazzzda?

Mewa zaskrzeczała i zatrzepotała gniewnie skrzydłami. Dopiero po chwili się uspokoiła i wróciła do pracy, nadal łypiąc na Cwen podejrzliwie jednym okiem.

Smutny drzewolak odwrócił się do Rhii.

- Widziszysz? To jesssst moja kara.

- Na którą w zupełności zasługujesz.

- Jesssstem taka biedna, najbiedniejszszsza! Nie myślśśślałam, że może być jeszcze gorzej. I wtedy nagle pojawiliśśście się wy. - Cwen wskazała guzłowatym palcem na Bambula. - Z tym... głossem zzzzagłady.

Błazen podniósł głowę z nadzieją.

- Może wolisz zagadki? Znam genialną zagadkę o dzwoneczkach.

- Nie! - zaskrzeczał drzewolak. - Proszyszę, Rhio. Mam sssstraszne wyrzuty ssssumienia. Nie możeszszysz mi wybaczyć?

Dziewczynka skrzyżowała udrapowane liśćmi ręce.

- Nigdy.

Poczułem ukłucie smutku. Słowo „nigdy” rozbrzmiało w moich uszach jak zatrzaśnięte i zabarykadowane ciężkie drzwi. Ku mojemu zdziwieniu wezbrało we mnie współczucie. Cwen z pewnością popełniła okropny czyn. Coś, czego żałowała. Ale ja również robiłem rzeczy, których z całego serca żałowałem.

Podszedłem do Rhii i zniżyłem głos:

- Wiem, że to trudne. Ale może powinnaś jej wybaczyć.

Popatrzyła na mnie beznamiętnie.

- Jak mogłabym?

- Tak samo, jak moja matka wybaczyła mi po tym, co jej zrobiłem.

W tej chwili przypomniałem sobie słowa, którymi pożegnała mnie Elen. *Motyl może się zmienić ze zwykłego robaka w najpiękniejsze stworzenie świata. A dusza, mój synu, też to umie.* Zagryzłem dolną wargę.

- Cwen zrobiła coś strasznego, to prawda. Ale zasługuje na jeszcze jedną szansę, Rhio.

- Dlaczego?

- Bo, no cóż, bo może się zmienić. *Wszystkie żywe stworzenia mają w sobie potencjał przemiany.*

Nagle moja laska rozblęsnęła jaskrawym niebieskim światłem. Drewniany trzon zaskwierczał, jakby płonął. Ułamek sekundy później zniknęło i światło, i dźwięk. Kiedy obracałem laskę w dłoń, znalazłem wyryty na trzonie ślad, błękitny jak niebo o zmierzchu.

Znak miał kształt motyla. W tej chwili wiedziałem, że duch Tuathy był obecny w mojej lasce.

I że udało mi się odkryć duszę Przemiany.

Rhia niezdecydowanie wyciągnęła dłoń do drzewołaka. Cwen, której wąskie oczy ciągle lśniły, wzięła ją za rękę. Przez chwilę przyglądały się sobie w milczeniu.

W końcu drzewołak odwrócił się do mnie.

- Czy mogę ci jakośśś podziękować?

- To, że się pogodziłyście, w zupełności mi wystarczy.

- Jessteś pewien, że nie mogę zzzzrobić dla ciebie nic więcej?

- Nie, chyba że znasz moc Skakania - odparłem. - Musimy teraz iść nad Jezioro Twarzy, daleko na północy.

- Dziesięć dni wędrówki - jęknął Bambulo. - Nie, raczej dwanaście. Nie, właściwie czternaście.

Oczy Cwen w kształcie łez przyjrzały mi się uważnie.

- Nie znam mocy Skakania, ale zdolność Przemiany może ci się do czegoś przydać.

Rhia wstrzymała oddech.

- Och, Cwen, gdybyśmy tylko umieli pływać jak ryby...

- Zysssskalibyśście kilka dni.

Podskoczyłem.

- Czy to naprawdę możliwe?

Na twarzy Cwen pojawił się krzywy uśmiech, kiedy pomachała kościstymi palcami w stronę Bambula.

- Ty, wieszszszczu zzzzagłady, pójdiesz pierwszszszy.

- Nie - poprosił, cofając się. - Nie zrobisz tego. Nie możesz tego zrobić.

- Flippna sssslippna, hahnawaj sssspływa - zaintonowała Cwen. - Kelpono bubblim tubblim ryba.

Nagle Bambulo zatrzymał się, kiedy zrozumiał, że stoi na samej krawędzi urwiska.

Spojrzał w dół oczami wielkimi ze strachu na roztrzaskujące się fale, a jego rękawy zatrzepotały na wietrze. Potem popatrzył znowu na Cwen i jego oczy zrobiły się jeszcze większe.

- P-proszę - wyjąkał. - Nienawidzę r-r-ryb! Takie oślizgłe, takie zupełnie mokre! T-takie...

Trzask.

Niezgrabna ryba z olbrzymimi oczami i poczwórnym podbródkiem pod wykrzywionym do dołu pyszczkiem podskakiwała bezradnie na trawie, po czym w końcu zeskoczyła z krawędzi. Nie było mi jednak do śmiechu, gdyż wiedziałem, że będę następny.

XVI

PODWODNE EKSCYTACJE

Nagle nie mogłem oddychać.

Targnął mną podmuch wiatru. Spadałem i spadałem. Walczyłem o oddech. Na darmo!

Wyjący wiatr szarpał mną, lecz nie umiałem napełnić nim płuc tak jak zwykle. Potem z pluskiem wpadłem do zimnej wody. Moje skrzela otworzyły się szeroko. Skrzela! W końcu znów odetchnąłem. Woda płynęła wokół mnie, a także przeze mnie.

Nie miałem rąk. Nie miałem nóg. Moje ciało było teraz jednym opływowym ogonem z elastycznymi płetwami na górze, na dole i po obu stronach. Jedna z płetw owijała się wokół

małego kijka, który, jak się domyśliłem, był tym, co zostało po przemianie mojej laski. Nie miałem pojęcia, co się stało z torbą, tuniką i butami.

Chwilę zajęło mi odzyskanie równowagi, gdyż kiedy próbowałem ruszać płetwami, przekręcałem się na drugą stronę. Trwało też chwilę, zanim mój magiczny wzrok oswoił się z podwodnym półmrokiem. Właściwie oprócz warstwy światła tuż pod powierzchnią panowała prawie kompletna ciemność. Były tylko odcienie mroku.

Po kilku minutach szarpaniny zacząłem odzyskiwać pewność siebie. Odkryłem, że pływanie wymaga zupełnie innych ruchów od tych, które wykonuje człowiek. Nie mogłem odpychać się rękami. Nogami też nie, przynajmniej nie tak jak kiedyś. Musiałem przerzucać ciężar ciała z jednej strony na drugą, jakbym był żywym biczem. Wszystkie łuski na moim ciele, od skrzeli po sam koniec ogona, zjednoczyły się w tym ruchu. Niedługo potem umiałem już więc się wśród fal. I potrafiłem poruszać się do góry i do dołu, jak również na boki.

Podpłynęła wiotka ryba w zielono-brązowe plamki. Od razu wiedziałem, że to Rhia, gdyż choć przebywała pod wodą nie dłużej niż ja, poruszała się z gracją samego prądu.

Pomachaliśmy sobie płetwami na powitanie. Rhia wydała z siebie jakby kasznięcie i zrozumiałem, że śmieje się z mojej miniaturowej laski.

W tej chwili podpłynął do nas powoli Bambulo z oderwanym wodorostem na ogonie.

Choć nie miał już dzwoneczków, od razu go poznałem. Obwisłe podbródki sprawiały, że wyglądał jak węgorz w żabocie. Był teraz istotnie zabawny, choć nieświadomie.

Przede wszystkim musieliśmy nauczyć się trzymać razem. Rhia i ja zmienialiśmy się w roli przewodnika, a Bambulo zawsze znajdował się za nami. Z czasem nauczyliśmy się koordynować pływanie. Stopniowo pojawił się u nas szósty zmysł, ten sam, który jednoczy ławice ryb. Po pierwszym dniu pływania ja i Rhia poruszaliśmy się prawie jak jedno stworzenie.

Moje ciało ogarniała niema podwodna ekscytacja, kiedy płynęliśmy przez wielkie lasy kołyszących się krasnorostów albo przeskakiwaliśmy przez przetaczające się fale.

Wyczuwałem w prądach uczucia i smaki, wychwytywałem radość rodziny delfinów, samotne zmagania wędrującego żółwia, głód nowo narodzonego ukwiału. Jednak cały czas pamiętałem o powadze swojej misji. Nawet kiedy delektowałem się doświadczeniami morskiego stworzenia, wiedziałem, że to tylko i wyłącznie sposób na zaoszczędzenie czasu - i być może uratowanie Elen. Obiecałem sobie, że jeżeli przeżyję tę wyprawę i pewnego dnia zostanę czarodziejem, być może nawet mentorem młodego króla albo młodej królowej, będę pamiętał o zaletach przemiany mojego ucznia w rybę.

Jedną z tych zalet było odkrycie bogactwa pożywienia, które znajdowało się w morzu.

W istocie uczestniczyliśmy w gigantycznej uczcie! Dzień po dniu jadłem tyle owadów, jaj i robaków, że prawie pękałem w szwach. Z kolei Rhia nabrała wprawy w łapaniu małych pysznych langust.

Choć Bambulo nie skusił się na robaki, nawet on zakosztował wielu dziwnych morskich frykasów.

Zarazem staraliśmy się pilnować, żebyśmy sami nie zostali czyjąś przekąską. Kiedyś przepłynąłem przez tunel z jaskrawożółtego koralowca i po drugiej stronie czekała na mnie bardzo duża i głodna ryba. Mimo że migiem rzuciłem się do ucieczki, na pewno by mnie złapała, gdyby nie pojawienie się jeszcze większego stworzenia, które przepłoszyło napastnika. Choć stwór, który mnie uratował, mignął mi tylko przed oczami, zdawało mi się, że ma ogon ryby i tors mężczyzny.

Przez sześć dni i pięć nocy utrzymywaliśmy kurs na północ. Często po zmroku blade światło rosnącego półksiężyca tańczyło na falach. Nie byłem jednak w nastroju, by delektować się jego pięknem. Zamiast niego widziałem twarz osoby, którą mogłem utracić na zawsze. Zostały niecałe trzy tygodnie.

W końcu nadeszła chwila, kiedy Rhia skręciła gwałtownie ku wybrzeżu. Poprowadziła nas do małej delty, gdzie strumień słodkiej wody wylewał się do morza. Ze słonym smakiem otaczających mnie wód mieszała się czystość stopionego śniegu, frywolność wydr i niezachwiana trwałość zagajnika prastarych świerków. Popłynęliśmy w górę strumienia tak daleko, jak się dało. Potem skoncentrowałem się i powtórzyłem zakłęcie, którego nauczyła mnie Cwen.

Nagle stałem po kolana w rwącym strumieniu, trzymając w jednej dłoni laskę, a w drugiej rękę Rhii. Nieco dalej w dół strumienia Bambulo rzucił się na błotnisty brzeg, odkasłując i krztusząc się. Chyba zapomniał, że ludziom ciężko się odдыcha z głową pod wodą.

Kiedy Bambulo dochodził do siebie, Rhia i ja strząsnęliśmy wodę z naszych ubrań i z siebie. Rhia powiedziała, że jej zdaniem strumień płynie z samego Jeziora Twarzy. Niedługo potem całą naszą trójką wędrowaliśmy wzdłuż kamienistego brzegu, wspinając się po stoku.

Splątany las porastających brzeg olch i brzoź utrudniał marsz. Za każdym razem, kiedy Bambulo chciał się oswobodzić z gałęzi, które łapały go za płaszc, wilgotne dzwoneczki pobrzękiwały.

W pewnej chwili zatrzymałem się, dysząc ciężko od wspinaczki. W oko wpadł mi rosnący między korzeniami brzozy grzyb z kosmatym kapeluszem i wyciągnąłem go z ziemi.

- Może to dziwnie zabrzmie - powiedziałem, odgryzając kęs - ale będę tęsknić za tymi małymi białymi robakami.

Rhia otarła czoło i wyszczerzyła do mnie zęby. Zerwała grzyb dla siebie.

- Może znajdziesz więcej robaków w Jeziorze Twarzy.

- Skąd się wzięła ta nazwa? Wiesz?

Przeżuwała zamyślona.

- Niektórzy twierdzą, że od kształtu jeziora, które przypomina twarz mężczyzny. Inni, że od mocy wody.

- Jakiej mocy?

- Legenda mówi, że jeżeli zajrzysz do jeziora, to uświadomisz sobie ważną prawdę o życiu. Nawet jeżeli wolałbyś nie znać tej prawdy.

XVII

WIĄZANIE

Szliśmy dalej po kamienistym brzegu, który wznosił się wśród olch. Choć potykaliśmy się o korzenie, a ciernie rozrywały nam ubrania, nie zwalnialiśmy tempa. Po kilku godzinach i wielu zadrapaniach na goleniach koryto zaprowadziło nas do wąskiej doliny otoczonej stromymi zalesionymi wzgórzami. Omiotła nas intensywna woń sosen. Między drzewami w późnopołudniowym słońcu lśniły wystające z ziemi kawałki białego kwarcu.

W dolinie panowała jednak dziwna cisza. Nie śpiewały ptaki, nie popiskiwały wiewiórki, nie bzyczały pszczoły. Nasłuchiwałem uważnie, licząc, że wychwycę ruch jakiegoś żywego stworzenia. Rhia, jakby czytając w moich myślach, pokiwała znacząco głową.

- Zwierzęta i ptaki trzymają się z dala od tej doliny. Nikt nie wie dlaczego.

- Są mądrzejsze od ludzi - zauważył Bambulo, którego dzwoneczki nadal ociekały wodą.

Przyglądałem się, jak Rhia zmierza ku brzegowi jeziora na środku doliny. Jezioro, o prawie czarnej wodzie, było tak nieruchome, że nawet jedna zmarszczka nie mąciła jego powierzchni. Rzeczywiście, gdy patrzyło się pod pewnym kątem, jego kontury przypominały profil twarzy mężczyzny, któremu wystawała zadziorna, mocno zarysowana szczęka - taka jak u mojego ojca. Na wspomnienie o nim zeszytniałem. Żałowałem, że jego charakter nie dorównywał wyglądowi. Że nie był na tyle silny, by postawić się Rhicie Gawrowi, kiedy miał

okazję. Że nie był na tyle silny, by pomóc swojej żonie, Elen, kiedy go potrzebowała.

Z zamyślenia wyrwał mnie jakiś wrzask.

Rhia stała na brzegu jeziora i wpatrywała się w mroczną wodę. Trzymała dłonie przed sobą w geście obronnym, a plecy odchyliła ze strachu. Jeżeli przestraszyło ją coś w jeziorze, to dlaczego się nie odsunęła ani nie uciekła? Wpatrywała się w wodę jak zahipnotyzowana.

Pobiegłem do niej. Bambulo ruszył za mną, potykając się na zmianę o swój podarty płaszcz i płataninę pnączy porastających brzeg. Kiedy znalazłem się przy Rhii, odwróciła się.

Jej cera, zazwyczaj rumiana, była śmiertelnie blada. Na mój widok wstrzymała oddech, jakby nagle się przestraszyła. Potem zadrżała i złapała mnie za rękę, żeby się nie przewrócić.

Zaparłem się nogami o ziemię, by utrzymać jej ciężar.

- Wszystko w porządku?

- Nie - odparła słabym głosem.

- Zobaczyłaś coś w jeziorze?

- T-tak. - Jeszcze raz się otrząsnęła i puściła moją rękę. - Lepiej tam nie zaglądalejcie.

- Zgoda - oznajmił Bambulo, zerkając nerwowo na mroczną wodę. - Chodźmy.

- Zaczekajcie.

Podszedłem na skraj jeziora. Kiedy zająrzałem do nieruchomej wody, zobaczyłem własne odbicie, przez chwilę tak wyraźne, jakby z jeziora spoglądał na mnie mój brat bliźniak. Zastanowiło mnie, co mogło być przerażającego w tak idealnym odbiciu?

Widziałem swoje bezużyteczne oczy wyglądające pod brwiami jak czarne węgle. I poparzone policzki, zniszczone przez płomień wciąż żywe w mojej pamięci. Gładząc się po policzkach, zamarzyłem, że pewnego dnia zapuszczę brodę, by zasłonić blizny. Brodę kręconą i siwą, taką, jaką zapewne miał Tuatha.

Odskokczyłem. Chłopcu w jeziorze zaczęły rosnać baki. Najpierw czarne, potem szare, następnie białe jak kwarc na stoku, baki robiły się coraz dłuższe i bardziej skrzycone. Broda pokryła większość twarzy chłopca i przez cały czas rosła. W pewnej chwili sięgała do kolan.

Czy to możliwe? Czy Jezioro Twarzy chciało mi powiedzieć, że pewnego dnia tak jak mój dziadek będę nosił brodę? Że pewnego dnia tak jak on zostanę czarodziejem?

Uśmiechnąłem się, spoglądając w nieruchomą mroczną wodę z coraz większą arogancją. Nie było tam już tego, co wystraszyło Rhię. Nachyliłem się bliżej. Chłopiec w jeziorze, który nie miał już brody, powoli się ode mnie odwrócił. Do czegoś podbiegł. Nie, do kogoś. Z głębin wynurzył się potężny, umięśniony wojownik z czerwoną przepaską na czole.

Potem, kiedy wojownik się zbliżył, zdałem sobie sprawę, że ma on tylko jedno oko. Jedno olbrzymie, gniewne oko. Balor!

Ku mojemu przerażeniu ogr bez trudu zrobił unik, złapał chłopca za gardło i uniósł go wysoko. Moje gardło zacisnęło się, kiedy patrzyłem, jak potężne dłonie duszą chłopca. Nie mogłem oderwać wzroku od tej przerażającej sceny. Chłopiec szarpał się szaleńczo, usiłując nie patrzeć w zabójcze oko ogra. Jednak moc oka go przyciągała. W końcu się poddał. Ostatni raz wierzgnął nogami i zawisł bezwładnie na rękach ogra.

Upadłem do tyłu na ziemię, dysząc łapczywie. Kręciło mi się w głowie. Bolała mnie szyja. Po każdym oddechu miałem atak kaszlu.

Rhia i Bambulo przytrzymali mnie. Dziewczynka ścisnęła moją dłoń, a błazen poklepał mnie po czole ze współczuciem. Kaszel powoli zelżał. Jednak zanim którekolwiek z nas zdołało coś powiedzieć, zza wody dobiegł nas jakiś głos.

- Czyżby - wychrypiał zadowolony - przepowiednia jeziora zaparła ci, że tak powiem, dech w piersiach? - Rozległ się głośny, chrapliwy śmiech. - Czy może cię, że tak powiem, zatkało?

Nabierając sił, rozejrzałem się ponad ciemną powierzchnią jeziora. Niedaleko miejsca, które stanowiłoby nos profilu mężczyzny, zauważyłem ogromną włochatą wydrę, całą srebrną z wyjątkiem białego pyszczka. Podpłynęła do nas od niechcenia na grzbiecie, odpychając się w wodzie z taką gracją, że na powierzchni nie pojawiła się nawet jedna zmarszczka.

Wskazałem.

- Tam. Wydra.

Rhia pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Myślałam, że nikt nie mieszka na takim odludziu, gdzie...

- Gdzie wydra mówi dobranoc? - dokończyło stworzenie radośnie i wypluło spomiędzy przednich zębów strugę wody. - Macie ochotę się wykąpać?

- Nie ma mowy - oznajmił Bambulo. Zamachał długimi rękawami jak płetwami, a woda z dzwoneczków ochlapała mu twarz. - Napływałem się już za wszystkie czasy.

- To może zaśpiewam wam jedną z moich wodnych pieśni? - Wydra płynęła leniwie w naszą stronę, klepiąc się po brzuchu przednimi łapami. - Śpiewam, że tak powiem, płynnie. -

Chrapliwy śmiech znów się rozszedł echem po jeziorze.

Opierając się na lasce, wstałem.

- Nie, dziękujemy. Jedyna pieśń, na której nam zależy, nie dotyczy wody. - Tknięty przecuciem zapytałem: - Nie wiesz przypadkiem czegoś na temat magii Wiązania?

Rhia zmarszczyła brwi.

- Merlinie - ostrzegła. - W ogóle jej nie znasz. To może być...

- Ekspert w kwestii Wiązania - dokończyła wydra odprężonym głosem. - To moje ulubione hobby. Zaraz za pływaniem na grzbiecie i wpatrywaniem się w chmury.

- Widzisz? - wyszeptałem do Rhii. - Może nam powie o tym, czego szukamy. A poza tym nie widzę tu nikogo innego, kto mógłby nam pomóc.

- Nie ufam jej.

- Dlaczego?

Rhia przycisnęła język do policzka.

- Nie jestem pewna. To takie przeczucie. Instynkt.

- Och, do diabła z przeczuciami. Nie mamy czasu!

Rozejrzałem się po brzegu w poszukiwaniu innych stworzeń, które mogłyby nam pomóc. Nikogo nie widziałem.

- Dlaczego miałyby nas okłamywać? Nie mamy żadnego powodu, żeby jej nie ufać.

- Ale...

- Co znowu? - warknąłem zniecierpliwiony.

Rhia syknęła jak wąż.

- To, że... do diabła z tym wszystkim, Merlinie! Nie umiem tego ująć w słowa.

- W takim razie będę się opierał na tym, co myślę, a nie na twoich przeczuciach. A myślę, że każde stworzenie, które żyje samo w tym zaklętym jeziorze, musi mieć jakąś szczególną wiedzę. Może nawet wyjątkową moc.

Odwróciłem się do wydry, która podpłynęła znacznie bliżej.

- Muszę znaleźć duszę - esencję - sztuki Wiązania. Mogłabyś mi pomóc, dobra wydro?

Wydra przechyliła głowę w stronę brzegu i splunęła na mnie strugą wody.

- A dlaczego miałabym to zrobić?

- Bo cię poprosiłem, oto dlaczego.

Zwierzątko zbulgotało.

- Och, uszy mi się zaraz skręca z śmiechu. - Rozległ się kolejny bulgot. - Musisz podać jakiś lepszy powód.

Wbiłem łaskę w ziemię.

- Bo ważą się losy mojej matki!

- Hmm - odparła leniwie wydra. - Twojej matki? Też miałam kiedyś matkę. Bardzo powoli pływała. No cóż, chyba mogę ci jednak pomóc. Ale tylko w kwestii podstaw.

Serce zabiło mi w piersi.

- Tego właśnie mi trzeba.

- W takim razie zgarnij trochę pnączy. - Wydra podpłynęła bliżej brzegu. - Do stóp.

- Pnączy?

- Oczywiście - odparła, pływając powoli w kółko. - Aby nauczyć się o Wiązaniu, musisz coś związać. Do roboty, chłopcze! Nie mam całego popołudnia. I zagoń do roboty swoich rozchichotanych przyjaciół.

Odwróciłem się do Rhii, która nadal marszczyła brwi, i Bambula, który robił to zawsze.

- Pomożecie mi?

Zgodzili się niechętnie. Pnącza, choć giętkie, były grube, ciężkie i pokryte rzędami maleńkich cierni, a przez to trudne do chwycenia i podniesienia. Samo unoszenie ich nastroczało trudności, nie mówiąc o rozplątywaniu.

W końcu udało się nam. Miałem u stóp kilka kawałków pnączy, każdy o długości trzech, czterech moich wysokości. Wyczerpany Bambulo usiadł z głośnym brzękiem plecami do wody. Rhia została u mojego boku, mierząc wydrę podejrziwym spojrzeniem.

Wyprostowałem się, czując silny ból między łopatkami. Najwyraźniej podczas wyciągania pnączy musiałem sobie coś naderwać.

- Zrobione. Co teraz?

Wydra nadal pływała po okręgu.

- Teraz obwiąż sobie jedno pnącze wokół nóg. Najmocniej, jak umiesz.

- Merlinie - ostrzegła Rhia i dotknęła amuletu Elen z dębu, jesionu i głogu, który miała ciągle przyczepiony do koszuli z liści.

Nie zwracając na nią uwagi, usiadłem i owinąłem pnączem kostki, łydki i uda.

Pomimo cierni udało mi się to wszystko związać potrójnym węzłem.

- Dobrze - westchnęła wydra, ziewając. - Teraz zrób to samo z rękami.

- Rękami?

- Chcesz się nauczyć Wiązania czy nie?

Odwróciłem się do Rhii.

- Pomożesz mi?

- Nie chcę.

- Proszę. Marnujemy cenny czas.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- No dobrze. Ale nie podoba mi się to.

Wydra, której futro połyskiwało, cmoknęła zadowolona, przyglądając się, jak Rhia najpierw wiąże moje dłonie ze sobą, a potem przywiązuje je do mojej piersi.

- Dobrze. To już prawie koniec.

- Mam nadzieję - odparłem rozeźlony. - Ciernie wbijają mi się w skórę.

- Jeszcze jedno pnącze. Niedługo zrozumiesz, zwięźle rzecz ujmując, związek z Wiązaniem.

Wydra włożyła łapę do wody i ochlapała Bambula.

- Ty tam, leniuchu! Obwiąż go całego jednym pnączem. Pilnuj, żeby zakryć wszystkie części ciała, które jeszcze nie są obwiązane. Głowę też. To delikatny czar. Wszystko musi być jak należy.

Bambulo zerknął na mnie.

- Mam to zrobić?

Zazgrzytałem zębami.

- Tak.

Z ponurą miną Bambulo obwiązał mnie ściśle jak kokon. Kiedy skończył, wystawały mi tylko usta i kawałek ucha. Leżałem na boku na ziemi unieruchomiony, gotów poznać w końcu duszę Wiązania.

Zapytałem przez obwiązaną szczękę:

- Co tryz?

Wydra zachichotała chrapliwie.

- Teraz, kiedy głos, że tak powiem, uwiązł ci w gardle, dotrzymam obietnicy, którą jestem z tobą związana.

- Ppspsz siy. - Pnącze wrzynało mi się w biodro. Chciałem przeturlać się na bok, ale nie mogłem nawet drgnąć. - Prszy.

- Pierwsza zasada Wiązania, która zresztą dotyczy wszystkiego, brzmi... - Wydra wypluła w powietrze fontannę wody. - Nigdy nie ufaj przecherze.

- Cy?

Wydra roześmiała się, trzymając się za sterczący brzuch i obracając się na płyciźnie.

- Dlatego zwa  mnie Przecher  z Jeziora.

Nadal roześmiana wydra odpłynęła powoli w stronę przeciwległego brzegu.

- Mam nadzieję, że nie miałeś dzisiaj innych, że tak powiem, zobowiązań.

Wrzasnąłem rozgniewany. Jednak nic więcej nie mogłem zrobić. Choć zawiązanie pnączy zajęło dużo czasu, ich rozwiązanie trwało dwa razy dłużej. Kiedy już wstałem i zacząłem chodzić sfrustrowany po brzegu, słońce prawie zniknęło za krawędzią wzgórz.

- Zmarnowałem cały dzień - jęknąłem obolały od zadrapań na dłoniach, biodrach i czole. - Cały dzień! Nie mogę uwierzyć, że jej zaufałem.

Rhia nic nie powiedziała, choć doskonale wiedziałem, co myśli.

Odwrociłem się do niej.

- Nie trzeba było ze mną iść! Powinnaś była zostać w Arbassie, gdzie przynajmniej byłabyś bezpieczna.

Popatrzyła na mnie szaroniebieskimi oczami.

- Nie chcę być bezpieczna. Chcę być z tobą.

Zmiażdżyłem stopą pnącze.

- Po co zawracasz sobie głowę?

- Bo... chcę. - Posiała smutne spojrzenie ku mrocznej wodzie. - Pomimo tego, co powiedziało mi jezioro.

- Co takiego?

Westchnęła ciężko.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Przypomniałem sobie własną wizję Balora i przytaknąłem.

- W porządku. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego chcesz zostać.

Coś na niebie zwróciło jej uwagę i Rhia popatrzyła w górę. Powędrowałem wzrokiem za jej spojrzeniem i ujrzałem dwa odległe kształty, które szybowały wysoko. Choć nie widziałem za wiele, nie ulegało wątpliwości, na co patrzę. Na parę sokołów, które leciały wspólnie na wietrze, jakby były jednym ptakiem, razem się kiwały i obracały, tak jak Rhia i ja, kiedy byliśmy rybami.

- Czyż nie są cudowne? - zapytała dziewczynka, nie odrywając wzroku od ptaków. -

Jeżeli żyją tak jak sokoły w Drumie, to nie tylko latają razem, ale też wspólnie budują gniazdo, które

później dzielą przez całe życie.

Nagle zrozumiałem. To, co związało ze sobą sokoły, i to, co związało mnie i Rhię, to nie były pnącza. Ani liny. Ani żadne łańcuchy.

Odwrociłem się do niej.

- Myślę, Rhio, że najsilniejsze więzy są niewidzialne. Być może... *najsilniejsze więzy to więzy serca.*

Pojawił się niebieski błysk i moja laska zapłonęła. Kiedy ogień zniknął, odkryłem wyryty na trzonie nowy znak, niedaleko motyla. To była para lecących razem sokołów.

XVIII

ŚWIETLNY LATA CZ

Już po tym, jak niebieskie światło na mojej lasce wygasło, zacząłem rozmyślać o trzeciej Pieśni Chronienia. Odwróciłem się od jeziora, którego gładka tafla połyskiwała ponuro, i spojrzałem na zalesioną dolinę wokół. Przejście przez stromą, pokrytą gęstym lasem grań będzie zaledwie początkiem, gdyż trzecia Pieśń będzie wymagać kolejnej podróży.

Chronienie trzecią lekcją będzie, krasnoludy i ty, czyli młokos.

Czas na wyprawę do krasnoludów! Do ich krainy, jak wyjaśniła Rhia, nie docierało wielu podróżnych, chyba że przypadkiem. Bo krasnoludy, choć utrzymywały przyjazne stosunki z sąsiadami, nie przyjmowały podróżnych z otwartymi ramionami. O ich podziemnej krainie wiadomo tylko tyle, że wejście do niej mieści się gdzieś nieopodal źródeł Nieustającej Rzeki, na wyżynach na północ od Mglistych Wzgórz. Tym razem nie mieliśmy wyboru sposobu dotarcia do celu. Musieliśmy iść.

Mimo że staraliśmy się codziennie wędrować jeszcze długo po zachodzie słońca, przejście na drugą stronę grani zajęło nam większość tygodnia. Nasze posiłki składały się głównie z dzikich jabłek, orzeszków w kształcie półksiężyca, odkrytej przez Rhię słodkiej winorośli i niekiedy kilku jaj z gniazda nieuważnej kuropatwy. Choć udało nam się unikać żywych kamieni, wędrówka była męcząca. Bez przerwy kłębiły się opary, które otulały nas szalami mgły, ograniczając widoczność nawet w górach. Podczas przeprawy przez bagno Rhia zgubiła but w ruchomych piaskach. Straciliśmy wtedy większość popołudnia, szukając jarzębiny, żeby mogła sobie utkać nowy but z szorstkiej kory. Dwa dni później przeszliśmy przez przełęcz, śliską od lodu i śniegu, ale musieliśmy wędrować całą noc przy księżycu w pełni.

W końcu, wycieńczeni i przemoknięci, dotarliśmy do górskiej równiny w górnym biegu rzeki. Przełęcz pokrywały niezliczone żółte kwiaty w kształcie gwiazd, a w powietrzu unosiła się ciepka woń. Z czasem doszliśmy do samej rozszalałej Nieustającej Rzeki. Tam napotkaliśmy parę kremowych jednoroźców, które pasły się na jej brzegach. Ruszyliśmy na północ i idąc wzdłuż krętego koryta, przemierzaliśmy serię szerokich górskich łąk, które wznosiły się niczym jaskrawozielone schody.

Kiedy Rhia doszła do krawędzi jednej z tych łąk, zatrzymała się i wskazała na linię zaśnieżonych gór w oddali.

- Popatrz, Merlinie. Za tymi szczytami leży Varigal, miasto olbrzymów. Zawsze chciałam je zobaczyć, choć teraz zostały po nim tylko ruiny. Zdaniem Arbassy to najstarsza osada na Fincayrze.

- Szkoda, że naszym celem są krasnoludy, a nie olbrzymi. - Schyliłem się i wyrwałem garść trawy o mechatych źdźbłach. - Olbrzymi będą musieli poczekać na piątą Pieśń, tę, która ma związek z Varigalem. Jeżeli dotrzemy tak daleko.

Po zmroku podróżowaliśmy dalej, aż z grubej warstwy chmur wynurzył się lśniący dysk. Księżyc, przyciętego wzdłuż jednej krawędzi, zaczęło ubywać. To dodało mi sił, puściłem się prawie biegiem po trawiastym brzegu, świadom, że została mi już niecała połowa czasu, a odkryłem dopiero dwie tajemnicze Pieśni. Jak mogłem znaleźć pozostałe pięć, dostać się do Zaświata, zdobyć Elixir i wrócić do Elen w ciągu niespełna dwóch tygodni? Nawet prawdziwemu czarodziejowi by się to nie udało.

Przy świetle księżyca przeprawiliśmy się przez kolejne strome wzniesienie, chwytając się korzeni i krzewów, żeby nie przewrócić się do tyłu. Nieustająca Rzeka, która teraz była zaledwie pluskającym strumieniem, spływała obok nas po stoku, a jej małe spady i baseny skrzyły się w srebrzystym świetle. W końcu weszliśmy na szczyt. Przed nami w księżycowej poświacie rozciągała się olbrzymia łąka przedzielona lśniącą wstęgą wody.

Bambulo klapnął przy strumieniu, pobrzękując dzwoneczkami.

- Jeżeli mamy iść dalej, to muszę odpocząć. I coś zjeść. Błazen musi mieć siłę.

Dyszając w nocnym powietrzu, oparłem się na lasce.

- To twoja publiczność musi mieć siłę.

- Prawda jak sto pięćdziesiąt. - Błazen otarł czoło rąbkiem ciężkiego płaszcza. - Na domiar złego zaraz się ugotuję! W tym płaszczu pocę się nawet po zachodzie słońca. A w upalne dni, kiedy idziemy, to prawdziwa męka.

Pokręciłem głową zdziwiony.

- To dlaczego go nie zostawisz?

- Bo bez niego mógłbym zamarznąć. Zamienić się w bryłę lodu! Przecież w każdej chwili może spaść śnieg. Za godzinę, za minutę, za sekundę!

Wymieniliśmy z Rhią rozbawione spojrzenia. Potem dziewczynka schyliła się i powąchała kwiaty o kształcie gwiazd. Uśmiechając się szeroko, wyrwała garść łądyg, zwinęła je w zbitą żółtą masę, po czym wręczyła mi ją.

- Skosztuj - poleciała. - Kwiaty astralne to strawa podróżnika. Chodzą słuchy, że zaginieni wędrowcy

żywili się nimi przez wiele tygodni.

Wgryzając się w zbitkę kwiatów, poczułem słodki, a zarazem cierpki smak, prawie jak spalony miód.

- Mmm. Wiesz, komu by to smakowało? Naszemu staremu przyjacielowi Shimowi.

- Owszem - odparła Rhia. - Albo - jak on by powiedział? - najpewniej, najzdecydowaniej, najstuprocentowiej. - Podała nową zbitkę Bambulowi, który rozłożył się na plecach przy strumieniu.

- Shim uwielbiał miód tak jak ja! Jeszcze zanim zamienił się w olbrzyma, jadł tyle co olbrzym. - Westchnęła i dodała: - Ciekawe, czy jeszcze go kiedyś zobaczymy.

Ukląknęłam i włożyłam połączone dłonie do połyskującej wody. Jednak kiedy zbliżyłam wodę do twarzy, na moich dłoniach pojawiło się drżące odbicie księżyca. Cofnąłam się gwałtownie, oblewając sobie tunikę.

- Co zobaczyłeś? - Rhia przyjrzała mi się zatroskana.

- Coś, co mi przypomniało o popełnionych błędach.

Przyglądała mi się jeszcze przez chwilę. Potem, tak cicho, że szum strumienia prawie ją zagłuszał, powiedziała:

- Nadal masz serce czarodzieja.

Moja dłoń uderzyła w wodę, ochlapując nas oboje.

- W takim razie daj mi zwykłe serce chłopca! Rhio, zawsze, kiedy czuję te... pokusy, moce, magiczne zdolności, robię coś strasznego! Przeze mnie moja matka jest bliska śmierci.

Przeze mnie większość Mrocznych Wzgórz jest zniszczona i lada chwila wróci na nie Rhita Gawr ze swoimi wojownikami. I sam jestem winien utraty swojego wzroku.

Bambulo podparł się na łokciu, pobrząkując dzwoneczkami.

- Tyle rozpaczy, chłopcze! Czy mógłbym ci jakoś pomóc? Pozwól, że opowiem ci zagadkę o...

- Nie! - krzyknąłem, zbywając go machnięciem. Odwróciłem się z powrotem do Rhii.

- Domnu to tak naprawdę stara wiedźma i złodziejka. Ale nie pomyliła się. Być może będę największym nieszczęściem, jakie kiedykolwiek spadło na Fincayrę.

Rhia nic nie powiedziała i pochyliła się, żeby napić się ze strumienia. Kiedy podniosła głowę, wytarła wodę z brody.

- Nie - oznajmiła w końcu. - Nie wydaje mi się, żeby tak było. Nie umiem tego wyjaśnić. To trochę tak jak z... jagodami. Harfa uległa twojej woli, przynajmniej przez chwilę. Mówiąca muszla też się ciebie słuchała.

- Po prostu znalazłem właściwą muszlę, to wszystko. Potem użyłem jej mocy, żeby sprowadzić tu matkę.

- Nawet jeżeli masz rację, to jak wyjaśnisz zachowanie Tuathy? Nie pozwoliłby ci przeczytać Siedmiu Pieśni, gdyby nie było choćby znikomej szansy na to, żebyś nad nimi zapanował i dotarł do Zaświata.

Spuściłem głowę.

- Tuatha był wielkim czarodziejem, prawdziwym czarodziejem. I powiedział mi, że pewnego dnia ja też nim zostanę. Jednak nawet czarodzieje się mylą! Aby dostać się do Zaświata, musiałbym umrzeć. Do tego czasu moja matka też będzie już martwa.

Rhia zakrzywiła palec, ciągle mokry od strumienia, wokół mojego.

- Jest jeszcze przepowiednia, Merlinie, że tylko dziecko zrodzone z człowieka może pokonać Rhitę Gawra i tych, którzy mu służą.

Odwrociłem się i popatrzyłem na szeroką łąkę za strumieniem. Choć część trawy połyskiwała w blasku księżyca, większość łąki była pogrążona w cieniu. Wiedziałem, że gdzieś tam leży kraina krasnoludów. I gdzieś za nią znajduje się strzeżone przez ogra Balora tajne wejście do krainy duchów. Odsunąłem dłoń.

- Rhio, ta przepowiednia jest warta tyle, ile człowiek, o którym mówi. Poza tym chcę tylko uratować swoją matkę, a nie toczyć bój z zastępami Rhity Gawra. - Sięgnąłem po kamyczek i wrzuciłem go do srebrzystego strumienia. - I wątpię, czy uda mi się choćby to.

- Ach, rozpacz - skomentował śpiewnie Bambulo, którego twarz, tak jak łąka, była skryta w cieniu. - Nareszcie ujrzałeś mądrość w tym, co mówiłem ci od samego początku.

- W twoich opowieściach nie ma za grosz mądrości - zjeżyłem się.

- Proszę, nie obrażaj się. Pokazuję ci zaledwie, że masz tylko jedno wyjście. Poddać się.

Policzki mi poczerwieniały. Złapałem gwałtownie laskę i wstałem.

- Ty nieudolny błaznie, nigdy się nie poddam! Być może moja misja jest skazana na porażkę, ale nie zgubi mnie tchórzostwo. Moja matka nie zasłużyła na to.

Zerknąłem na rozciągającą się przed nami rozświetloną księżycem łąkę i zwróciłem się do Rhii:

- Chodź ze mną, jeżeli chcesz. Kraina krasnoludów nie może być daleko.

Dziewczynka wzięła głęboki oddech.

- Zgoda, ale szukanie jej teraz to głupota. Potrzeba nam kilku godzin odpoczynku. I, Merlinie, ta łąka... tam czyha niebezpieczeństwo. Czuję to. Oprócz tego tunele krasnoludów są na pewno

zamaskowane przez teren albo magię. Nawet w dzień nie będzie łatwo ich znaleźć.

- Po prostu się poddaj - zachęcił Bambulo, sięgając po kolejne kwiaty astralne.

- Nigdy - burknąłem, obróciłem się wokół laski i ruszyłem w drogę.

- Merlinie, stój! - Rhia wyciągnęła do mnie ręce. - Nie zwracaj na niego uwagi.

Zaczekaj do świtu. Teraz możesz zabłądzić.

Gdybym umiał zionąć ogniem, zrobiłbym to.

- Sama sobie zaczekaj do świtu! Umieję się o siebie zatroszczyć.

Ruszyłem szybkim krokiem po łące, a wysokie trawy szeleściły, ocierając się o moją tunikę. Pomimo rozpościerających się świetlistych szponów księżycowego blasku większość łąki skrywał cień. Kilka kroków dalej mój magiczny wzrok wychwycił wyjątkowo ciemną połąć. Ponieważ w okolicy nie było skały ani drzewa, uświadomiłem sobie, że to może być tunel albo przynajmniej jama. Nie byłem na tyle głupi, żeby po prostu tam wejść, więc skręciłem w lewo.

Nagle ziemia podę mną usunęła się. Poleciałem w dół. Zanim zdążyłem choćby krzyknąć, pochłonęła mnie nieprzenikniona ciemność.

Kiedy się ocknąłem, leżałem zwinięty w kłębek i przykryty ciężkim, przesiąkniętym dymem kocem.

Coś mnie niosło, bez przerwy stękając, i nie miałem pojęcia, co to za stworzenie ani dokąd mnie zabiera. Ręce i nogi miałem związane grubymi linami, a usta zatkane kawałkiem materiału. Ale oprócz dobiegających z dołu stłumionych pojękiwań słyszałem tylko bicie swojego serca. Podskakiwałem i objąłem się jak worek ziemniaków i byłem coraz bardziej zdezorientowany i posiniaczony. Moja męka ciągnęła się godzinami.

W końcu podrygiwanie się skończyło. Ciśnięto mnie na gładką, twardą kamienną podłogę. Leżałem twarzą do ziemi i kręciło mi się w głowie. Zerwano ze mnie koc. Z wielkim wysiłkiem odwróciłem się.

Gromada krasnoludów, z których każdy sięgał mi do pasa, wpatrywała się we mnie oczami czerwionszymi od ognia. Większość miała splecione brody i wszyscy nosili przy boku wysadzone klejnotami sztylety. Stali pod rzędem skwierczących pochodni, mocno zapierając się stopami i z mocnymi rękami skrzyżowanymi na piersiach. Byli tak niezłomni jak otaczające ich skalne ściany. Krasnolud z brodą przyprószoną siwizną wyprostował się sztywno, a ja wywnioskowałem, że to jeden z posapujących krasnoludów, którzy mnie tu przynieśli.

- Przetnijcie mu więzy - rozkazał ostry głos.

Nagle silne dłonie znów mnie przewróciły i przecięły liny. Ktoś wyciągnął mi z ust szmatę. Rozmasowałem zdrętwiałe ręce i rozruszałem suchy język. Udało mi się podnieść.

Zobaczyłem na podłodze swoją laskę i sięgnąłem po nią. Krasnolud podniósł ciężki but i przydeptał mi nadgarstek. Krzyknąłem z bólu, a mój krzyk odbił się echem od skalnych ścian.

- Nie tak prędko.

To był ten sam ostry głos. Jednak tym razem wiedziałem, skąd dochodzi: to głos krzepkiej krasnoludki siedzącej na inkrustowanym rzędami klejnotów jadeitowym tronie, który stał na podeście kamiennej podłogi. Miała skołtunione rude włosy, bladą cerę i kolczyki z muszelek, które stuknęły, kiedy krasnoludka się poruszała. Jej wielki nos przypominał nos Shima, jeszcze zanim urósł. Miała na sobie czarną szatę pokrytą runami i figurami geometrycznymi wyhaftowanymi lśniąco złotymi nićmi i pasujący do nich spiczasty kapelusz. W jednej dłoni trzymała laskę, prawie tak wysoką jak moja. Kiedy zacząłem wstawać, krasnoludka uniosła wolną dłoń.

- Nie waż się! Masz być nisko, niżej ode mnie. I nie sięgaj po laskę.

Pochyliła się do mnie, stukając kolczykami z białych muszli.

- Wiesz, laska bywa niebezpieczna. Nawet w rękach początkującego maga, takiego jak ty, Merlinie.

Wstrzymałem oddech.

- Skąd znasz moje imię?

Podrapała się po wydatnym nosie.

- Nikt nie zna twojego prawdziwego imienia. Nawet ty sam go nie znasz, jak bywa mówione.

- Nazwałaś mnie Merlinem.

- Owszem - odparła, prychnąwszy śmiechem, od którego rozbłysły pochodnie w jaskini. -

A ty możesz mnie nazywać Urnaldą. Choć nie bywa to moim prawdziwym imieniem.

Zdziwiony zmarszczyłem czoło i zapytałem raz jeszcze:

- Skąd wiedziałaś, że mam na imię Merlin?

- Ach. - Białe muszle stuknęły o siebie, kiedy krasnoludka skinęła. - To bywa lepsze pytanie. - Uniosła krótki palec i dotknęła nim kolczyka. - Muszle mi powiedziały. Tak jak pewna muszla powiedziała to i owo tobie, ale okazałeś się zbyt uparty, żeby jej posłuchać.

Przestąpiłem z nogi na nogę na podłodze z twardego kamienia.

- Mało tego, bywałeś intruzem. - Urnalda zamachała rękami, a ich cienie zamigotały na ścianach. - A ja nienawidzę intruzów.

W tym momencie kilkoro jej towarzyszy sięgnęło po wysadzane klejnotami sztylety.

Jeden krasnolud, ze źle zagojoną blizną na czole, zarechotał głośno. Rechet rozniósł się po podziemnej komnacie.

Gładząc swoją łaskę, Urnalda przyglądała mi się przez chwilę.

- Mimo to może będę skłonna ci pomóc.

- Naprawdę?

Zerknąłem na krasnoludy, które jęknęły rozczarowane. Potem przypomniałem sobie incydent z Przecherą z Jeziora i nagle nabrałem podejrzeń.

- Dlaczego miałabyś mi pomóc?

Krasnoludka prychnęła.

- Bo pewnego dnia, gdyby tak bywało, że dopisze ci szczęście, to będziesz nosił taki kapelusz jak mój.

Nie zrozumiałem, o co jej chodzi, więc lepiej się przyjrzałem jej spiczastemu kapeluszowi. Jego wierzchołek opadał na bok. Niżej było w nim mnóstwo maleńkich otworów, przez które wystawały rude włosy Urnaldy. Pomijając srebrne wzory, które byłyby znośne, gdyby zamiast znaków runicznych przedstawiały gwiazdy i planety, wyglądał na najbardziej absurdalny kapelusz, jaki w życiu widziałem. Dlaczego miałbym chcieć coś takiego nosić?

Oczy krasnoludki zwęziły się, jakby umiała czytać w myślach. Oznajmiła głosem jeszcze bardziej basowym:

- To bywa kapelusz czarodzieja.

Skrzywiłem się.

- Nie chciałem cię urazić.

- To bywa kłamstwo.

- Zgoda. Przepraszam, że cię uraziłem.

- To bywa prawda.

- Proszę. Pomożesz mi?

Urnalda postukała zamyślona w łaskę, po czym odpowiedziała jednym słowem:

- Tak.

Stojący obok jej tronu krasnolud z czarną brodą zamruczał coś rozgniewany. Urnalda odwróciła się

do niego błyskawicznie i uniosła dłoń, jakby miała go uderzyć. Krasnolud zamarł przerażony. Urnalda opuściła powoli dłoń, a broda krasnoluda odpadła mu od twarzy.

Krasnolud zapiszczał, zakrywając nagą twarz dłońmi. W tym czasie pozostałe krasnoludy wiwatowały i nabijały się, wskazując leżącą na podłodze brodę.

- Cisza! - Zadygotała z gniewu Urnalda, potrząsając kolczykami z muszli i tronem na podwyższeniu. - To cię nauczy nie kwestionować moich decyzji.

Odwróciła się z powrotem do mnie.

- Pomogę ci, bo być może poradzisz sobie z przeciwnościami losu i wyjdiesz z tego żywy. Być może nawet sam zostaniesz czarodziejem. - Przyjrzała mi się chytrze. - A jeżeli ja pomogę ci teraz, ty pomożesz mi kiedyś.

- Mogę ci to obiecać.

Ściany jakby zadrżały w świetle skwierczących i migoczących pochodni. Kiedy Urnalda pochyliła się do przodu, jej cień powiększył się na wyrzeźbionej ścianie za nią.

- Obietnice nie bywają rzucane na wiatr.

- Wiem. - Patrzyłem na nią poważnym wzrokiem. - Jeżeli pomożesz mi znaleźć duszę Chronienia, nie zapomnę ci tego.

Urnalda pstryknęła palcami.

- Przynieś mi świetlnego latacza. I kamień, młotek oraz dłuto.

Nadal węsząc jakiś podstęp, zapytałem:

- Co to jest świetlny latacz?

- Nie ruszaj się.

Oprócz syku pochodni w jaskini panowała cisza. Przez kilka minut nikt się nie ruszał.

Potem ciężkie buty zadudniły w podziemnej komnacie i do tronu podeszła para krasnoludów.

Jeden z nich niósł na grzbiecie olbrzymi czarny kamień, tak chropowaty jak ściany, który musiał ważyć dwa razy tyle co on sam. Kiedy Urnalda skinęła, krasnolud schylił się i upuścił

kamień z hukiem na podłogę.

Drugi krasnolud niósł w jednej dłoni młotek i dłuto, a w drugiej jakiś mały świecący obiekt. Wyglądał jak odwrócony do góry dnem kielich z przezroczystego kryształu, który krasnolud obejmował za krawędź dłonią. Wewnątrz kryształu migotał drżący płomień.

Urnalda skinęła i krasnolud położył narzędzia przy kamieniu. Potem ostrożnie umieścił

kielich na podłodze, szybko zabierając dłoń, żeby to, co było w środku, nie uciekło. Urnalda prychnęła i pochodnie zapłonęły jaśniej.

- W tej kryształowej klatce bywa świetlny latacz, jedno z najrzadszych stworzeń Fincayry. - Uśmiechnęła się do mnie krzywo i nie spodobało mi się jej spojrzenie. - Twoja następna pieśń bywa Pieśnią Chronienia, nieprawdaż? Aby się nauczyć tego, co niezbędne, musisz za wszelką cenę dopilnować, żeby świetlnemu lataczowi nie stała się krzywda.

Przyjrzałem się młotkowi i dłucie i przełknąłem ślinę.

- Czyli mam wyciosać klatkę... z tego wielkiego kamienia?

Urnalda podrapała się zamyślona po nosie.

- Jeżeli to bywałaby najlepsza metoda, żeby ochronić to bezbronne małe stworzenie, to bywałoby wskazane, żebyś to właśnie zrobił.

- Ale to mi zajmie wiele dni. Jeżeli nie tygodni!

- Krasnoludom zajęło wiele lat wydrążenie tuneli i korytarzy naszej krainy.

- Nie mam tyle czasu.

- Cisza. - Wskazała laską otwór w suficie, który świecił przytłumionym światłem. -

Ten tunel, tak jak ten, którym spadłeś, dostarcza nam powietrze i światło. Tych tuneli są setki, a każdy z nich jest ociosany tak gładko jak podłoga, na której bywałeś usadowiony, i każdy z nich jest zamaskowany z wierzchu czarem. Dlatego krasnoludy bywają tak bezpieczne.

Dlatego pojawiłeś się tu, żeby poznać duszę Pieśni.

- Na pewno nie ma innej metody? - zapytałem.

Kolczyki Urnaldy zakołysały się.

- Nie bywa innej możliwości, żebyś się tego nauczył. Twoim zadaniem bywa ochrona tego stworzenia. Od teraz.

Stukając po raz ostatni muszlami, Urnalda wyszła z sali, a cała jej świta podążyła za nią. Patrzyłem na skwierczące na ścianach pochodnie, przyglądałem się, jak rzucane przez tron Urnaldy cienie rosną, zmniejszają się, potem znów rosną. Ten tron, tak jak ściany, był

wyciosany z bezwzględnej skały. Tej samej skały, w której krasnoludy przez wieki uformowały całą swoją krainę.

A teraz była moja kolej, żeby nadać kształt skale.

XIX

CHRONIENIE

Młotek i dłuto połyskiwały chłodno w migoczącym świetle pochodni. Wziętem narzędzia, podniosłem się i podszedłem do olbrzymiego czarnego kamienia. Sięgał mi prawie do piersi. Uniosłem młotek i pierwszy raz uderzyłem. Zatrzęsa mi się dłoń, ręka i klatka piersiowa. Zanim dzwonięcie młotka ucichło, uderzyłem drugi raz. Potem trzeci.

Czas, który upływał mi na pracy, wymykał się normalnemu rytmowi. W podziemnej sali tronowej Urnaldy jedyną oznaką dnia lub nocy było światło dochodzące z tunelu wentylacyjnego nad moją głową. W nocy jego okrągły wylot lśnił srebrzystym blaskiem księżycy, w dzień skrzył się złotym światłem słońca.

Jednak dzień i noc niczym się dla mnie nie różniły. Pochodnie na ścianach skrzyły się bez przerwy. Ciągłe tłukłem młotkiem - w płaski koniec dłuta, bezpośrednio w czarny kamień, a niekiedy w mój biedny spuchnięty kciuk. Młotek rozbrzmiewał w rytm mojego oddechu. W powietrze, a niekiedy w moją twarz, leciały odłamki. Mimo to nie poddawałem się, przerywając tylko po to, żeby zjeść trochę parującej gęstej owsianki, którą przynosiły mi krasnoludy, albo żeby zaznać odrobiny niespokojnego snu na kocu.

Przez cały czas pilnowało mnie trzech brodatych krasnoludów. Jeden, z potężnymi rękami założonymi na piersi, stał na kamiennej podłodze nad moją laską. Oprócz sztyletu z paska zwisał mu obustronny topór. Pozostałych dwóch, uzbrojonych w wysokie włócznie z ostrzami z krwistoczerwonego kamienia, ustawiło się po obu stronach tunelu wejściowego.

Wszyscy mieli takie same ponure miny, które jeszcze posepniały, kiedy do sali wchodziła Urnalda.

Siedziała na swoim tronie na podwyższeniu, zdawałoby się, przez wiele godzin i przyglądała się, jak pracuję. Sprawiała wrażenie zagubionej w myślach mimo hałasu młotka, który trzymałem w pokrytych bąblami dłoniach. A może starała się przeniknąć moje najskrytsze myśli. Nie wiedziałem tego - i nie obchodziło mnie to. Wiedziałem tylko, że na przekór Bambulowi nie zamierzam się poddać. Kiedy przypominałem sobie jego poradę i stan mojej matki, z kamienia posypały się iskry. Miałem jednak świadomość i swoich wątpliwych zdolności rzeźbienia w kamieniu, i upływającego czasu.

Blask świetlnego latacza migotał i drżał na czarnym kamieniu, kiedy pracowałem.

Kawałek po kawałku odpadały kolejne skrawki. Po jakimś czasie udało mi się zrobić płytkie nacięcie. Jeżeli mój kciuk i obolałe ręce wytrzymają, powinno mi się udać powiększyć otwór na tyle, żeby móc odwrócić kamień i przykryć stworzenie. Nie umiałem powiedzieć, jak długo mi to jeszcze zajmie. Sądząc po fazach zmieniającego się nad moją głową światła, minęły dwa dni i dwie noce.

Kiedy pracowałem, cały czas pamiętałem o poleceniu Urnaldy: *Twoim zadaniem bywa ochrona tego*

stworzenia. Młotek walił, a ja się zastanawiałem, czy w tych słowach nie kryła się wskazówka. Może jest jakiś inny sposób, żeby ochronić świetlnego latacza? Coś, na co nie wpadłem?

Nie, powiedziałem sobie, to niemożliwe. Sama Urnalda przyznała, że to dzięki kamiennym tunelom krasnoludy są bezpieczne. Choć nawet kamień nie będzie trwał

wiecznie, to najtrwalszy z materiałów. Zadanie było jednoznaczne. Muszę zbudować klatkę z kamienia, tak jak krasnoludy zbudowały tę podziemną krainę. Nie mam wyjścia.

Mimo to kiedy uderzałem młotkiem i usiłowałem rozłupać kamień, napierając na pęknięcia, żałowałem, że nie ma łatwiejszego sposobu. Przypomniałem sobie wielki miecz Głębotnij, którym władałem podczas walki o Spowity Zamek. Wtedy to nie moje dłonie, ale ukryte moce mojego umysłu sprawiły, że miecz poleciał. Udało mi się w jakiś sposób skorzystać z magii Skakania. Tak jak zrobiła Wielka Eluza, kiedy wysłała nas do opustoszałej krainy drzewołaków. Czy mógłbym raz jeszcze skorzystać z tej mocy? Czy mógłbym sprawić, żeby młotek i dłuto pracowały teraz za mnie, dzięki czemu mój zeszywniały grzbiet, obolałe ręce i pokryty bąblami kciuk mogłyby zaznać ulgi?

- Nie bywaj głupcem, Merlinie.

Podniosłem wzrok znad kamienia i zobaczyłem Urnalde, która przyglądała mi się z tronu z jadeitu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, żebyś nie bywał głupcem! Jeżeli istotnie sprawiłeś, że Głębotnij do ciebie przyleciał, nie stało się to dzięki tobie. Miecz ten bywa Skarbem Fincayry. Bywają w nim skumulowane moce. - Nachyliła się na tronie z jadeitu, stukając o siebie kolczykami. -

To nie ty władałeś mieczem, tylko on władał tobą.

Upuściłem młotek, który spadł z brzękiem na kamienną podłogę.

- Jak możesz coś takiego powiedzieć? To była moja zasługa! To ja władałem mieczem! Użyłem swojej mocy. Tak samo jak...

Urnalda uśmiechnęła się drwiąco.

- Dokończ.

- Tak samo jak użyłem Harfy Kwitnienia - wyszeptałem.

- Właśnie.

Pochodnie zamigotały, kiedy Urnalda przyglądała mi się, drapiąc się po kartoflowatym nosie.

- Pojmujesz powoli, ale może jeszcze kiedyś będą z ciebie ludzie.

- Wydaje mi się, że mówiąc o pojmwaniu, nie masz na myśli tylko moich umiejętności ciosania

skały.

Urnalda prychnęła, prostując kapelusz.

- Oczywiście. To, co bywa mówione, dotyczy twojej zdolności Widzenia. Nic dziwnego, że ze wszystkich Siedmiu Pieśni to tej obawiasz się najbardziej.

Zbladłem.

Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, Urnalda oznajmiła:

- W kwestii ciosania skały również uczysz się powoli. Nigdy nie mógłbyś bywać krasnoludem w tych tunelach! Dlatego też powątpiewam, żeby przepowiednia okazała się prawdziwa.

- Jaka przepowiednia?

- Że pewnego dnia odbudujesz wielki kamienny krąg, tak wielki jak Estonahenj.

Zadygotałem jak płomień pochodni.

- Ja? Zbuduję coś tak wielkiego? O, to wielce prawdopodobne. Tak samo jak to, że przeniosę Estonahenj, kamień po kamieniu, za ocean, do Gwynedd.

Czerwone oczy Urnaldy zaśniły dziwnie.

- Och, bywają przepowiednie, że tego również dokonasz. Nie przeniesiesz go do Gwynedd, ale do sąsiedniej krainy, przez niektórych zwanej Logres, a przez innych Gramarye. Ale ta przepowiednia bywa jeszcze mniej prawdopodobna niż poprzednia.

- Dość - oznajmiłem, po czym podmuchałem pokryty bąblami kciuk i sięgnąłem z powrotem po młotek. - Teraz muszę wracać do prawdziwej pracy. Muszę wyciosać kamienną klatkę zgodnie z twoim poleceniem.

- To bywa kłamstwo.

Zamarłem z uniesionym młotkiem.

- Kłamstwo? Dlaczego?

Po komnacie ślizgały się cienie, a kolczyki Urnaldy stukały o siebie cicho.

- Wydałam ci polecenie, Merlinie, ale nie bywało ono takie.

- Dałaś mi ten kamień.

- To bywa prawda.

- Powiedziałaś mi, żebym ochronił świetlnego latacza.

- To bywa prawda.

- I to znaczy, że muszę wyciosać coś mocniejszego niż tamten kryształowy kielich.

- To bywa twoja decyzja. Nie moja.

Powoli, niechętnie opuściłem młotek. Odłożyłem też dłuto, po czym zbliżyłem się do kryształu. Stworzenie wewnątrz drżało jak maleńki płomień.

- Czy mogę zadać ci pytanie, Urnaldo? Dotyczące świetlnego latacza?

- Pytaj.

Przyglądałem się migoczącemu światłu kryształu.

- Powiedziałaś, że to jedno z najrzadszych stworzeń na Fincayrze. Jak udało mu się przeżyć? Jak się broni?

Na oświetlonej blaskiem pochodni twarzy Urnaldy pojawił się krzywy uśmiech.

- Bywa bezpieczny, gdyż przemieszcza się w środku dnia, kiedy nie bywa widziany.

Albo w nocy, kiedy płąsa na styku promieni księżyca i tafli wody.

- Innymi słowy... ponieważ jest wolny.

Kolczyki z muszli zastukały cicho, ale Urnalda nie odpowiedziała.

Sięgnąłem do kryształowego kielicha. Rozpościerając palce na jego lśniącej powierzchni, poczułem ciepło schwytanego wewnątrz stworzenia. Gwałtownym ruchem nadgarstka odwróciłem kielich.

Połyskujący świetlny punkcik, nie większy od nasiona jabłoni, uniósł się w olbrzymiej sali. Usłyszałem tylko lekki szum, kiedy przelatywał mi obok głowy. Świetlny latacz wzbił

się z gracją pod sufit, wleciał do tunelu wentylacyjnego i zniknął.

Urnalda uderzyła pięścią w poręcz tronu. Dwóch pilnujących wejścia krasnoludów natychmiast opuściło włócznie i wymierzyło ostrza prosto we mnie. Urnalda uderzyła ponownie.

- Powiedz mi, dlaczego to zrobiłeś.

Wciągnąłem powietrze.

- Ponieważ nawet kamienna klatka pewnego dnia się rozsypie. *Najlepiej coś ochronić, uwalniając to.*

W tej chwili na mojej lasce buchnął niebieski płomień. Stojący nad nią krasnolud krzyknął i podskoczył na wysokość swojej głowy. Jeszcze zanim spadł z powrotem na podłogę, dostrzegłem

wyryty na lasce nowy niebieski symbol. Przedstawiał pęknięty kamień.

XX

RZEKI CHŁODNE I CIEPŁE

Odnalazłem towarzyszy w obozie w górnym biegu rzeki niedaleko miejsca, gdzie zostawiłem ich trzy doby wcześniej. Mieniąca się wieloma odcieniami zieleni trawa na łące kołysała się na wietrze. Kiedy Rhia mnie zobaczyła, wybiegła mi na spotkanie. Jej zatroskana mina złagodniała, gdyż dziewczynka zobaczyła trzeci symbol wyryty na mojej lasce.

Dotknęła mojej dłoni.

- Merlinie, tak się martwiłam.

Poczułem ucisk w krtani.

- Obawiam się, że miałaś ku temu dobre powody. Powiedziałaś mi, że zabłądzę, i tak też się stało.

- Ale odnalazłeś drogę powrotną.

- Owszem - odparłem. - Ale zbyt długo mi to zajęło. Zostało nam najwyżej dziesięć dni.

Dołączył do nas Bambulo, który prawie potknął się o własny płaszcz, przeskakując nad pluskającym strumieniem. Choć jak zwykle miał minę chodzącego nieszczęścia, wydawał

się szczerze zadowolony, widząc mnie. Złapał moją dłoń i uściskał ją energicznie, pobrząkując mi do ucha. Wyczuwając, że znów będzie chciał opowiedzieć mi sławną zagadkę o dzwoneczkach, wykonałem zwrot i ruszyłem szybkim krokiem. Bambulo i Rhia poszli za mną. Zaczęliśmy oddalać się szybko od krainy krasnoludów. Przed nami była jeszcze długa droga.

Czwarta Pieśń, Pieśń Nazywania, miała związek ze Slantos, z tajemniczym ludem, który żył na północno-wschodnim krańcu Fincayry. Aby dostać się tam, nie musieliśmy już wspinać się przez ośnieżone przełęcze, lecz czekało nas przejście przez całą szerokość Rdzawych Pól. Taka wędrówka musiała zająć kilka dni. Potem mieliśmy trudne zadanie znalezienia drogi przez strome klify Kanionu Orłów, nie wspominając o północnych rejonach Mrocznych Wzgórz. I choć wiedziałem, że niebezpieczeństwo będzie czyhać wszędzie, perspektywa podróży przez Mroczne Wzgórz napawała mnie najsilniejszym niepokojem.

Aby pokonać równiny, wstawaliśmy każdego dnia o świcie, kiedy pierwsze poranne ptaki i ostatnie wieczorne żaby dawały wspólny koncert. Niekiedy zatrzymywaliśmy się, żeby zebrać jagody i korzenie, a raz, dzięki temu, że Rhia zna bzycający język pszczół, udało nam się zjeść odrobinę ociekającego słodkim syropem plastra miodu. Rhia wiedziała również, gdzie znaleźć wodę, i prowadziła nas do ukrytych źródełek i nieruchomych stawów. Jakby umiała czytać w myślach krajobrazu z taką samą łatwością, z jaką czytała w moich. Blask księżyca był na tyle silny, że mogliśmy podróżować w nocy, i tak też robiliśmy, przemierzając rozległe pola. Jednak księżyc, tak jak nasz czas, szybko się kurczył.

W końcu po trzech długich dniach doszliśmy do skraju Kanionu Orłów. Usiedliśmy na skalistej krawędzi, spoglądając na pokrywane urwiska i skarpy szerokie płyty czerwieni, brązu, rdzy i różu. Z przeciwległej ściany wystawały lśniące białe szczyty. Daleko w dole, u podnóża klifów, wiała się płytka rzeka.

Pomimo zmęczenia poczułem przyływ siły, kiedy przypomniałem sobie porywający krzyk orła, którym rozpoczęła się Wielka Rada Fincayry. Gdybym tylko sam umiał

poszybować niczym orzeł! Mógłbym ze zwinnością wiatru unieść się nad tą różnobarwną przepaścią. Tak jak fruнаłem na opierzonym grzbiecie Kłopoty, zdawałoby się, wieki temu.

Jednak nie byłem ani orłem, ani sokołem. Wraz z Rhią i Bambulem będę musiał zejść do kanionu pieszo i znaleźć jakieś przejście. Wodziłem magicznym wzrokiem po krawędziach, szukając drogi na drugą stronę. Tak daleko na północy nie było ścian nie do przebycia. Za to nieco na południe tworzyły zionącą przepaść, która przecinała sam środek Mrocznych Wzgórz.

Rhia, która poruszała się najpewniej z naszej trójki, szła na czele. Szybko znalazła siatkę wąskich krawędzi przecinających ściany klifów. Podążaliśmy taką krawędzią aż do znalezienia miejsca, z którego mogliśmy zejść na krawędź niżej, i w ten sposób schodziliśmy w głąb kanionu, czasami zsuwając się na plecach, czasami przechodząc przez sypanie wychodnie. W końcu, cali spoceni, znaleźliśmy się na dole.

Rzeka, choć błotnista, okazała się chłodniejsza od nas. Zlany potem pod grubym płaszczem, Bambulo rzucił się prosto do wody. Rhia i ja poszliśmy w jego ślady: przyklekliśmy na okrągłych kamieniach, którymi wyłożone było koryto, zamoczyliśmy głowy, opłukaliśmy ręce i ochlapaliśmy się nawzajem. W pewnej chwili, choć mogło mi się wydawać, usłyszałem dobiegający znad urwiska odległy okrzyk orła.

W końcu odświeżeni podjęliśmy męczącą wspinaczkę po drugiej stronie kanionu.

Szybko musiałem zacząć używać obu rąk, więc wcisnąłem laskę za pasek tuniki. Stok zrobił

się bardziej stromy, a Bambulo - jeszcze marudniejszy. Starał się jednak dotrzymać nam kroku, wspinając się tuż za Rhią i szukając uchwytu w miejscach, gdzie dziewczynka przed chwilą postawiła stopy.

Kiedy wdrapywaliśmy się na szczególnie stromą skarpe, ramiona bolały mnie od wysiłku. Odchyliłem się tak daleko, jak mogłem, żeby nie odpaść od ściany, i zerknąłem na szczyt urwiska. Zobaczyłem jednak tylko kolejne warstwy rdzawoczerwonych i brązowych klifów. Kiedy popatrzyłem w dół, ujrzałem błotnistą rzekę, która teraz była tylko cienkim strumykiem na dnie kanionu. Zadrzałem i mocniej złapałem się skały. Nie miałem wielkiej ochoty na wspinaczkę, ale wolałem to od lotu w przepaść.

Rhia, która wspinała się po lewej stronie skarpy, nagle zawołała:

- Patrzcie! Sharr. Tam, na różowej skale.

Ostrożnie, żeby nie stracić równowagi, odwróciłem się i ujrzałem jasnobrazowe, podobne do kotka stworzenie, które mruczało cicho. W odróżnieniu od kota miało spiczasty ryjek z miękkimi wąsami i dwa bardzo cienkie skrzydła złożone na grzbiecie, które trzepotały z każdym jego pomrukiem.

- Czyż nie jest uroczy? - zapytała Rhia, chwytając się kamiennej ściany. - Sharry można spotkać tylko w górskich, skalistych rejonach takich jak ten. Widziałam takie zwierzątko tylko raz, z daleka. Są bardzo płochliwe.

Kiedy sharr usłyszał Rhię, otworzył niebieskie oczy. Zesztywniał i przyjrzał się jej podejrzliwie. Potem jakby się rozluźnił i znowu zaczął mruczeć.

Rhia ostrożnie poszukała stopami oparcia. Potem, trzymając się jedną dłonią popękanej skały, drugą wyciągnęła ku stworzeniu.

- Ostrożnie - ostrzegłem - żebyś nie spadła.

- Ciii. Przestraszysz go.

Sharr przesunął się nieznacznie i położył puchate łapy na skale, jakby miał wstać.

Każda łapa miała cztery małe palce. Kiedy dłoń Rhii zbliżyła się do jego pyszczka, sharr zamruczał głośniejsze.

Wtedy zauważyłem coś niepokojącego w wyglądzie jego łap. Na początku nie umiałem sprecyzować co. Z jakiegoś powodu wydawały się nieco... dziwne.

Nagle zrozumiałem. Między palcami była błona. Jak u kaczki. Dlaczego stworzenie żyjące w skalistych, stromych kanionach miałoby mieć błonę między palcami? W jednej chwili wszystko stało się jasne.

- Rhio, nie! To zjawy mimiczna!

Kiedy to krzyknąłem, sharr zaczął się przemieniać. W mgnieniu oka jego skrzydła wyparowały, niebieskie oczy poczerwieniały, futro zamieniło się w łuski, a ciało kotka przeobraziło się w węża z zębami ostrymi jak sztylety. Szeleszcząc, zrzucił z siebie popękaną przezroczystą skórę jak liniejący wąż. Wszystko to stało się błyskawicznie. Rhia usłyszała mój krzyk i w ostatniej chwili uchyliła się przed wężową istotą, która skoczyła jej do twarzy z wysuniętymi szponami. Z zaciekłym wrzaskiem napastnik przeleciał nad jej głową i poszybował w przepaść kanionu.

Choć szczęki istoty nie chwyciły Rhii, ogon zjawy mimicznej trafił ją w policzek i straciła równowagę. Przez chwilę trzymała się jedną dłonią występu, lecz odłamał się, a ona spadła prosto na Bambula.

Wpijając się ze wszystkich sił w skalną ścianę zbielałymi palcami, tyczkowaty błazen zawył od uderzenia. Udało mu się jednak nie spaść, a Rhia zatrzymała się na nim.

Dziewczynka wisiała teraz do góry nogami na jego plecach i próbowała się odwrócić.

- Bambulo, trzymaj się! - krzyknąłem, przyglądając im się z góry.

- Robię, co mogę - jęknął. - Choć to nigdy nie wystarcza.

Nagle kamień, na którym wisiał błazen, odpadł, rozlatując się na kawałki, które poturlały się w dół urwiska. Rhia i Bambulo krzyknęli jednocześnie. Wymachując rękami i nogami, zsunęli się po skalistej ścianie, po czym wpadli na wąski występ, na którym się zatrzymali. Tam też wisieli wysoko nad kanionem.

Zszedłem po ścianie jak niezgrabny pająk, a laska huśtała mi się przy pasku. Rhia i Bambulo leżeli przede mną na półce skalnej, pojękując z bólu.

Obwieszony dzwoneczkami kapelusz błazna upadł obok niego pokryty czerwonym pyłem. Rhia chciała usiąść, ale osunęła się na plecy, a prawa ręka zwisała jej u boku.

Przesuwając się po wąskiej półce, w końcu dotarłem do dziewczynki. Pomogłem jej usiąść, a ona jęknęła, kiedy dotknąłem wykręconej ręki; Kiedy mi się przyglądała, z jej wzroku przebijał ból.

- Ostrzegłeś mnie... w samą porę.

- Spóźniłem się parę sekund.

Nagły powiew wiatru obsypał nas pyłem ze stromej ściany. Kiedy wiatr zelżał, wyjąłem z torby szczyptę ziół i przyłożyłem do rany na policzku Rhii.

- Skąd wiedziałeś, że to zjawa?

- Błoniaste stopy. Pamiętasz, jak spotkaliśmy w lesie ptaka alleah? Wtedy pokazałaś mi, że zjawy mimiczne zawsze mają w sobie coś dziwnego. - Wskazałem na siebie. - Trochę tak jak ludzie.

Rhia chciała unieść rękę i skrzywiła się z bólu.

- Większość ludzi nie jest aż tak groźna.

Poruszając się ostrożnie po występie, przeszedłem na drugą stronę Rhii, żeby lepiej się przyjrzeć zranionej ręce.

- Chyba jest złamana.

- I możemy zapomnieć o biednym starym Bambulu - jęknął błazen. - Na nic się nie przydałem. Zupełnie na nic.

Pomimo bólu Rhia się uśmiechnęła.

- Bambulo, byłeś naprawdę wspaniały. Gdybym miała sprawną rękę, tobym cię wyściskała.

Ponury błazen przestał jęczeć, przynajmniej na chwilę. Lekko się zarumienił. Potem, na widok rannej

ręki Rhii, zmarszczył brwi, policzki i podbródki.

- To wygląda dość źle. Będiesz kaleką przez resztę życia. Już nigdy nie będziesz mogła jeść ani spać.

- To nieprawda - powiedziałem, położyłem rękę dziewczynki na jej kolanach i obmacałem ją, żeby znaleźć złamanie.

Rhia jęknęła.

- Co można zrobić? Nie ma nic... - ała, to boli! - nic, z czego można by zrobić łubki. A bez dwóch sprawnych - ała! - ręk nie uda mi się stąd wydostać.

- Nie uda się - powtórzył Bambulo.

Pokręciłem głową, wytrząsając z włosów kamyki.

- Wszystko się uda.

- Bambulo ma rację - zaprotestowała Rhia. - Nic na to nie poradzisz. Ała! Nawet torba ziół... nie pomoże. Merlinie, powinieneś mnie tu zostawić. Idź dalej beze mnie.

Zacisnąłem zęby.

- Nie ma mowy! Poznałem sztukę Wiązania. Jesteśmy razem, ty i ja, jak dwa sokoły na wietrze.

W jej oczach zamigotało światełko nadziei.

- Ale jak? Nie mogę się wspinać... bez ręki.

Rozprostowałem obolałe dłonie, po czym wziąłem głęboki wdech.

- Zamierzam wyleczyć to złamanie.

- Nie opowiadaj bzdur. - Bambulo podpełzł po półce. - Do tego potrzebne by ci były łubki. Nosze. I armia znachorów. Według mnie to niemożliwe.

Wyczułem miejsce złamania i położyłem na nim delikatnie dłonie. Choć dla mojego magicznego wzroku nie miało to znaczenia, zamknąłem oczy, żeby się skoncentrować.

Wkładając w to całą swoją moc, wyobraziłem sobie, jak w mojej piersi zbiera się światło, ciepłe i lecznicze. Kiedy moje serce wypełniło się blaskiem, pozwoliłem mu popłynąć wzdłuż moich dłoni i palców. Jak niewidzialne rzeki ciepła światło wypłynęło ze mnie i wniknęło w Rhię.

- Ooo... - westchnęła. - To takie przyjemne. Co ty robisz?

- Stosuję się do porady mądrej przyjaciółki. Wsłuchuję się w język rany.

Rhia uśmiechnęła się i oparła o skalistą półkę.

- Nie daj się zwieść pozorom - ostrzegł Bambulo. - Jeżeli teraz czujesz się lepiej, to tylko dlatego, że później będziesz się czuć dziesięć razy gorzej.

- Nie obchodzi mnie to, marudo! Moja ręka już ma się lepiej. - Chciała ją podnieść.

- Nie - poleciłem. - Jeszcze nie teraz.

Ciepłe światło nadal wypływało z koniuszków moich palców, a ja skoncentrowałem się na kościach i mięśniach pod skórą. Cierpliwie i ostrożnie zbadałem umysłem każde włókno. Każdej tkanki dotykałem z czułością, nakłaniałem, żeby się wzmocniła, scaliła.

Jedno po drugim kapałem ścięgna, wygładzałem je i przyszywałem na swoim miejscu. W końcu odsunąłem dłonie.

Rhia podniosła rękę. Poruszała palcami. Potem zarzuciła mi ręce na szyję i ścisnęła mnie z siłą niedźwiedzia.

- Jak to zrobiłeś? - zapytała.

- Tak naprawdę nie wiem. - Postukałem sękaty wierzchołek laski. - Ale myślę, że to może być kolejny wers Pieśni Wiązania.

Puściła mnie.

- Naprawdę znalazłeś duszę tej Pieśni. Twoja matka, która też zajmuje się leczeniem, byłaby z ciebie dumna.

Słowa Rhii otrzeźwiły mnie.

- W drogę! Został nam niecały tydzień. Jutro rano chcę dotrzeć do wioski Slantos.

XXI

WRZASK

Kiedy w końcu wdrapaliśmy się na szczyt kanionu, właśnie zaszło słońce. Na urwistych graniach zebrały się cienie, a rozciągające się przed nami Mroczne Wzgórza były prawie całe czarne. Kiedy patrzyłem na wzgórza, nieopodal krzyknął orzeł z kanionu, przywołując mi na myśl okrzyk rozpoczynający Wielką Radę Fincayry. Pomyślałem, że wzgórza te tętniłyby teraz życiem, gdybym dotrzymał obietnicy i kontynuował wyprawę z Harfą Kwitnienia.

Nasza trójka wędrowała, nie zważając na pogłębiający się mrok. Płaskie skały pod naszymi stopami szybko zamieniły się w suchą, sypką glebę, która zaczęła mi się kojarzyć z Mrocznymi Wzgórzami. Słyszeliśmy tylko szelest liści zwiędłych drzew, chrzęst butów, pobrząkiwanie dzwoneczków

Bambula i miarowe uderzenia mojej laski o ziemię.

Mrok napierał. Wiedziałem, że wszystkie odważne zwierzęta, które powróciły na wzgórza po zburzeniu Spowitego Zamku, musiały szukać po zmroku bezpiecznej kryjówki. O

tej porze z jaskiń w wylomach skalnych zaczynały wychodzić gobliny, zjawy mimiczne i wszystkie inne podziemne stworzenia. Zadrzałem, kiedy przypomniałem sobie, że przynajmniej jedno z nich ośmieliło się pojawić za dnia. Rhia, jak zawsze w niezwykle sposób wyczulona na moje nastroje, ścisnęła mnie lekko za rękę.

Noc już zapadła, a my dalej wspinaliśmy się na Mroczne Wzgórza. Powyginane drzewa stały jak szkielety, a ich gałęzie szeleściły na wietrze. Ponieważ gęste chmury zasłoniły większość gwiazd i to, co zostało z księżyca, musieliśmy uważać, żeby nie zboczyć z kursu na północny wschód. W mroku nawet Rhia szła wolniej. Choć Bambulo nie narzekał

wprost, w jego mamrotaniu pod nosem dało się wyczuć rosnący strach. Moje zmęczone nogi potykały się często o kamienie i martwe korzenie. Jeżeli tak to miało wyglądać, to powinniśmy bardziej niż ataku bać się tego, że zabłądzimy.

Kiedy w końcu Rhia wskazała wąski rów biegnący wzdłuż stoku - pozostałość po niegdyś wartkim strumieniu - zgodziłem się, że powinniśmy się tu zatrzymać do świtu.

Chwilę później rozłożyliśmy się na twardej glebie jaru. Rhia znalazła zaokrąglony kamień, który mógł posłużyć za poduszkę, a Bambulo zwinął się w kłębek i oznajmił: „Mógłbym przespać wybuch wulkanu”. Z uwagi na niebezpieczeństwo robiłem, co mogłem, żeby czuwać, ale też szybko zasnąłem.

Rozległ się piskliwy wrzask. Natychmiast obudziłem się i podniosłem, tak samo jak Rhia. Oboje wstrzymaliśmy oddech i zaczęliśmy nasłuchiwać, ale usłyszałem wyłącznie chrapanie Bambula. Zza chmur prześwitywała tylko słaba poświata księżyca, a jego blask zaledwie muskał otaczające wzgórza.

Znowu rozległ się wrzask. Zawisł w powietrzu - to był krzyk przerażenia. Choć Rhia chciała mnie powstrzymać, złapałem laskę i wygramoliłem się z jaru. Dziewczynka ruszyła za mną po pogrążonym w ciemności stoku. Przeszukując cienie, wyteżyłem magiczny wzrok, by wychwycić ruch. Nic jednak nie drgnęło, nie było nawet słycać świerszczy.

Nagle zauważyłem przemierzającą skały pod nami ciężką postać. Nawet gdybym nie dostrzegł spiczastego hełmu, od razu wiedziałbym, kto to jest. Goblin wojownik. Na jego potężnym ramieniu szarpało się małe stworzenie, którego życie niechybnie miało dobiec końca.

Bez zastanowienia puściłem się biegiem po stoku. Kiedy goblin mnie usłyszał, błyskawicznie się odwrócił. Wyrzucił swoją ofiarę na bok i z zadziwiającą szybkością wyciągnął swój szeroki miecz. Kiedy uniósł go nad głowę, z jego wąskich oczu zionęła furia.

Uzbrojony tylko w laskę, mocno odbiłem się stopami i rzuciłem prosto na goblina.

Uderzyłem ramieniem w jego napierśnik i odepchnąłem go do tyłu. Sturlaliśmy się razem po

skalistym stoku.

Kiedy się zatrzymałem, kręciło mi się w głowie. Ale goblin wojownik oprzytomniał

szybciej. Stał nade mną, charcząc, ściskając w trójpalczastej dłoni miecz. Ostrze połyskiwało ponuro w blasku księżyca, który wyłonił się zza chmur. Kiedy goblin się zamierzył, przeturlałem się na bok. Miecz wbił się w ziemię, przecinając stary korzeń. Goblin zawył wściekle. Znow uniósł miecz.

Spróbowałem się podnieść, ale potknąłem się o jakiś sękaty kij. To była moja laska!

Zdesperowany podniosłem ją i zasłoniłem nią twarz, kiedy ostrze miecza spadało na mnie.

Wiedziałem, że cienki trzon laski nie zatrzyma ostrza, ale nie mogłem zrobić nic więcej.

Miecz uderzył w drewno, a wtedy z boczem wstrząsnęła niespodziewana eksplozja.

Słup niebieskich płomieni poszybował wysoko w niebo. Miecz goblina uniósł się wraz z nim, wirując jak porwana wichurą gałąź. Wojownik zaryczał z bólu. Zrobił chwiejny krok do tyłu i padł na stok, gdzie leżał nieruchomy jak kamień.

Rhia podbiegła do mnie.

- Merlinie! Nic ci nie jest?

- Nie. - Potarłem laskę, wyczuwając niewielkie wgłębienie w miejscu, gdzie trafił ją miecz. - Dzięki lasce. I mocy, którą tchnął w nią Tuatha.

Rhia przyklęła, a jej loki były przyprószone blaskiem księżyca.

- Myślę, że zawdzięczasz życie w takiej samej mierze sobie jak lasce.

Pokręciłem głową, przyglądając się nieruchomemu ciału goblina wojownika.

- Daj spokój, Rhio. Dobrze wiesz, jak było.

- Wiem - odparła stanowczo. - I myślę, że zaprzeczasz, bo bardzo pragniesz, żeby to była prawda.

Popatrzyłem na nią oniemiały - Czytasz w moich myślach, jakby to były runy na ścianach Arbassy.

Jej śmiech rozbrzmiał niczym dzwoneczki.

- Jednak niektórych rzeczy nadal nie rozumiem. Na przykład tego, dlaczego zamiast ukryć się przed goblinem, bez wahania na niego natarłeś.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, za nami odezwał się cichy głos.

- Musisz mieć w sobie magię.

Kiedy się odwróciliśmy, zobaczyliśmy niskiego chłopca o pyzatej buzi, który kuczał na ziemi. Mógł mieć najwyżej pięć lat. Od razu wiedziałem, że mam przed sobą to nieszczęsne stworzenie, którego krzyki nas obudziły. Jego oczy, które lśniły jak małe księżycy, były pełne podziwu.

Zerknąłem na Rhię.

- Właśnie dlatego.

Odwróciłem się z powrotem do chłopca i zawołałem go:

- Podejdź. Nie zrobię ci krzywdy.

Powoli stanął na nogi. Podeszedł niepewnie, po czym się zatrzymał.

- Tylko czy to dobra magia, czy zła?

Rhia stłumiła śmiech i objęła chłopca przyozdobionymi liśćmi rękami.

- Jego magia jest bardzo dobra. Chyba że jest akurat bardzo zła.

Skarciłem ją żartobliwym warknięciem, a chłopiec zmarszczył czoło zdziwiony.

Uwolnił się z uścisku Rhii i zaczął się cofać po ocienionym stoku.

- Nie słuchaj jej. Jestem wrogiem goblinów, tak samo jak ty. - Wstałem, podpierając się na lasce. - Mam na imię Merlin. To jest Rhia, która pochodzi z Lasu Druma. Teraz ty nam powiedz, jak się nazywasz.

Przyglądając mi się, chłopiec klepał się zamyślony po pyzaty policzku.

- Musisz mieć w sobie dobrą magię, jeżeli zabiłeś goblina samą laską. - Wciągnął

powietrze. - Ja nazywam się Galwy i mieszkałem całe życie w tej samej wiosce.

Przechyliłem głowę.

- Jedyna wioska w okolicy to...

- Slantos - dokończył maluch.

Serce zabiło mi szybciej.

Galwy odwrócił wzrok zawstydzony.

- Nie miałem zamiaru wychodzić za bramę po zmroku. Naprawdę! Tylko że wiewiórki się bawiły i poszedłem za nimi, a kiedy przypomniałem sobie, że zrobiło się późno... - Spojrzał na powykręcane zwłoki goblina. - On chciał mnie skrzywdzić.

Podszedłem do chłopca.

- Nic ci już nie robi.

Chłopcu zaświeciły się oczy, uniósł głowę i popatrzył na mnie.

- Ty chyba naprawdę masz w sobie dobrą magię.

XXII

CHLEB Z AMBROZJI

Kiedy wróciliśmy do jaru, Bambulo ciągle chrapał. Choć eksplozja płomieni nie była wybuchem wulkanu, jego zapewnienie, że będzie mocno spał, okazało się prorocze. Razem z Rhią ostrożnie przykryliśmy kawałkiem płaszcza błazna Galwy'ego, który był tak zmęczony, że ledwie trzymał się na nogach. Sami też byliśmy wyczerpani i dołączyliśmy do nich, kładąc się na ziemi. Szybko zasnąłem z laską w zaciśniętej dłoni.

Niedługo potem pierwsze promienie porannego światła połaskotały mi twarz. Kiedy się obudziłem, Bambulo dwoił się i troił, popisując się przed małym Galwym swoimi talentami błazna. Posępny wyraz pyzatej buzi chłopca świadczył o tym, że nie szło mu najlepiej.

- I właśnie dlatego - wyjaśniał błazen - zwał mnie Bambulem Radosnym.

Galwy przyglądał mu się z taką miną, jakby zaraz miał się rozplakać.

- Pozwól, że zaprezentuję ci inną sztuczkę z mojego repertuaru. - Bambulo potrząsnął

energicznie głową, brzęcząc dzwoneczkami, i otulił się mocniej płaszczem. - Opowiem ci teraz słynną zagadkę o dzwoneczkach.

Rhia, która również się przyglądała, zaczęła protestować. Ale ja podniosłem dłoń.

- Posłuchajmy wreszcie tej nieszczęsnej zagadki. Bo słyszymy o niej już od tygodni.

Rhia uśmiechnęła się.

- Chyba tak. Jesteś gotów zjeść swoje trzewiki, jeżeli któreś z nas się zaśmieje?

- Tak. - Oblizalem się, jakbym zjadł coś apetycznego. - Potem, przy odrobinie szczęścia, znajdziemy coś smaczniejszego w wiosce Slantos.

Bambulo odchrząknął, a jego obwisłe podbródki zadygotały.

- Jestem gotów - oznajmił.

Zamilkł wyczekująco, jakby nie mógł do końca uwierzyć, że ma w końcu okazję opowiedzieć swoją

zagadkę.

- Czekamy - oświadczyłem. - Ale nie mamy całego dnia.

Szerokie usta błazna otworzyły się. Potem zamknęły. Znow się otworzyły. Znow zamknęły.

Nachyliłem się do przodu.

- No i?

Brwi Bambula wygięły się z konsternacji. Raz jeszcze odchrząknął. Tupnął o suchą ziemię, znow pobrząkując dzwoneczkami. Ale nie odezwał się.

- Opowiesz nam tę swoją zagadkę czy nie?

Błazen zagryzł wargę, potem pokręcił ponuro głową.

- To było... tak dawno - wymamrotał. - Tylu ludzi przez tyle lat zabraniało mi jej mówić. A teraz, kiedy w końcu mi wolno, nie umiem jej sobie przypomnieć. - Westchnął. -

Prawda jak sto pięćdziesiąt.

Kiedy Rhia i ja przewróciliśmy oczami, Galwy uśmiechnął się szeroko. Odwrócił się do mnie.

- Mógłbyś mnie teraz zabrać do wioski? Przy tobie czuję się bezpiecznie.

Poklepałem Bambula po zgarbionym grzbiecie.

- Być może pewnego dnia sobie przypomnisz.

- Jeżeli to kiedyś nastąpi - odparł - to pewnie i tak ją sknocę.

Za chwilę wędrowaliśmy już w stronę wschodzącego słońca. Jak zwykle Rhia i ja szliśmy na przodzie, choć teraz niosłem na barana Galwy'ego. Bambulo, posępniejszy niż zazwyczaj, trzymał się z tyłu.

Ku mojej uldze stok zaczął prowadzić w dół i zostawiliśmy za sobą splekane zbocza i ocienione występy skalne Mrocznych Wzgórz. Nie mogłem się pozbyć niepokojącego wrażenia, że napotkany goblin to tylko pierwszy z wojowników Rhity Gawra, który wyłonił

się z ukrycia. Nie mogłem również zapomnieć, jak niewiele zrobiłem, żeby uratować tę krainę i sprawić, by wrócili do niej jej mieszkańcy.

Niedługo potem weszliśmy na szerokie trawiaste pole. Pojawiły się ćwierkające ptaki i bzyżące owady, rosło coraz więcej kęp drzew z liśćmi w kształcie dłoni. Przez drogę przeszła rodzina lisów ze sterczącymi puszystymi ogonami. Na gałęziach wierzby siedziała wiewiórka o wielkich oczach, która przypominała mi o przyjacielu Rhii, Ixtmie - i o umierającej kobiecie pozostawionej jego

opiece.

Pierwszym znakiem tego, że zbliżamy się do wioski, był zapach.

Podszyty bogatym, intensywnym aromatem pieczonego ziarna, zapach ten wzmocnił

się, kiedy przechodziliśmy przez trawiaste pole. Z każdym naszym krokiem stawał się coraz silniejszy, przypominając mi, jak dawno temu ostatni raz jadłem skórkę świeżo upieczonego chleba. Niemal czułem smak ziaren. Pszenica. Kukurydza. Jęczmień.

W tę tkaninę woni wplatały się inne aromaty. Coś cierpkiego, co przypominało jaskrawopomarańczowe owoce, którymi kiedyś napychaliśmy się z Rhią pod drzewem shomorra. Coś ostrego i świeżego jak sproszkowana mięta, którą Elen często dodawała do herbaty. Coś słodkiego jak miód, który pszczoły wyrabiały z kwiatów koniczyzny. I znacznie więcej. Były tam wonie gryzące, silne, jak również kojące. Dało się także wyczuć ślad czegoś, co było nie tyle zapachem, ile uczuciem. Atmosferą. Nawet... ideą.

Kiedy w końcu weszliśmy do doliny Slantos i w polu widzenia pojawiły się niskie brązowe budynki, zapach stał się zniewalający. Ślina napłynęła mi do ust, przypomniałem sobie, kiedy ostatni raz kosztowałem chleba ze Slantos w podziemnym domu Cairprégo. Jak on go nazywał? Chlebem z ambrozji. Pokarm bogów, jak zapewne zgodziliby się Grecy.

Przypomniałem sobie, jak wgryzałem się w chrupką skórkę, na początku twardą jak drewno.

Potem, kiedy się go mocno przeżuło, tryskał z niego cierpki smak. Następnie rozchodziła się fala sytości, od której poczułem się wyższy i silniejszy. Na chwilę zapomniałem wtedy nawet o towarzyszącym mi zawsze bólu między łopatkami.

Potem przypomniałem sobie coś innego. Cairpré, przeżuwając kęs chleba z ambrozji, przekazał mi poważne ostrzeżenie. *Nikt z innych rejonów Fincayry nie skosztował*

najlepszych chlebów ze Slantos, a jego mieszkańcy strzegą tych cennych przepisów z narażeniem życia. Mocno chwyciłem laskę i poczułem nową falę strachu. Jeżeli mieszkańcy Slantos nie mieli ochoty dzielić się przepisami, to jak miałem od nich uzyskać coś dużo cenniejszego - duszę Pieśni Nazywania?

Na widok bram wioski w oddali Galwy wydał okrzyk radości, zeskoczył z moich pleców i pobiegł przed nami, wymachując rękami tak, jak młody ptak mógłby trzepotać skrzydłami. Za bramą z palenisk wielu niskich budynków wydobywał się dym. Do zabudowań, choć były różnych rozmiarów, użyto szerokich brązowych cegieł położonych żółtą zaprawą. Uśmiechnąłem się lekko, stwierdzając, że cegły wyglądają jak wielkie bochny posmarowanego masłem chleba.

Bambulo, który przez cały ranek nic nie mówił, cmoknął.

- Myślicie, że mają w zwyczaju częstować gości chlebem? Czy przeganiają wędrownych na głodniaka?

- Moim zdaniem - odparła Rhia - w ogóle nie mają zwyczaju przyjmować gości.

Jedyni ludzie po tej stronie Kanionu Orłów są w... - urwała, zreflektowała się i spojrzała na mnie.

- W więzieniu, w jaskiniach na południe od wioski. To chciałaś powiedzieć? -

Odgarnąłem z twarzy pojedyncze czarne włosy. - Jak Stangmar, mężczyzna, który był kiedyś moim ojcem.

Rhia przyjrzała mi się ze współczuciem.

- To nadal jest twój ojciec.

Poszedłem szybkim krokiem do bramy.

- Już nie. Nie mam ojca.

Rhia przełknęła ślinę.

- Wiem, jakie to uczucie. Ja nigdy nie znałam ojca. Ani matki.

- Przynajmniej masz Arbassę. I resztę Lasu Druma. Jak wcześniej wspomniałaś, to jest twoja prawdziwa rodzina.

Cmoknęła językiem, ale nic nie powiedziała.

Kiedy doszliśmy do drewnianych bram, które były przymocowane do dwóch olbrzymich świerków, z cienia jednego z nich wyszedł strażnik. Potrząsnął rzednącymi lokami barwy piasku, które opadały mu na uszy, i przyjrzał się każdemu z nas po kolei z niechętną miną. Choć nie wyciągał miecza z pochwy, jedną dłoń położył na rękojeści. Oprócz zapachu pieczonych ziaren zacząłem węszyć kłopoty. Strażnik przyjrzał się nieufnie mojej lasce.

- Czy to jest ta magiczna laska, która zgładziła goblina?

Zamrugałem zaskoczony.

- Już o tym wiesz?

- Połowa wioski już wie - prychnął strażnik. - Młody panicz Galwy opowiadał o tym na prawo i lewo.

- Czy w takim razie możemy przejść?

Strażnik znów potrząsnął lokami.

- Tego nie powiedziałem. - Wskazał na laskę i zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem. -

Skąd mam wiedzieć, że nie zrobisz nią krzywdy komuś z mieszkańców?

- Nie użyłem jej po to, żeby teraz skrzywdzić ciebie.

Mina mu stężała i pociągnął nerwowo za rękojeść miecza.

- Będziesz musiał bardziej się postarać, żeby mnie przekonać. Być może jesteś szpiegiem, który chce wykraść nasze sekrety. Albo równie dobrze możesz być chłopcem na posyłki goblinów.

Zirytowana Rhia zrobiła krok do przodu.

- To dlaczego zabiliśmy w takim razie ostatniej nocy jednego z nich?

- To mógł być podstęp, liściowa panienko. - Przebiegł dłonią po rzednących włosach, po czym kontynuował: - Bo sama powiedz, dlaczego chłopiec, dziewczynka i... - urwał, przyglądając się Bambulowi. - I jakiś żebraczyna wybrali się aż do Slantos? Założę się, że nie przypadkiem.

- Nie - odparłem ostrożnie. - Wasza wioska słynie wszem wobec z chleba. Moi przyjaciele i ja chcielibyśmy poznać tajniki sztuki piekarskiej.

Strażnik przeszył mnie wzrokiem.

- Podejrzewam, że to nie jedyne, z czym chcielibyście się zapoznać.

Pamiętając ostrzeżenie Cairprégo, przełknąłem ślinę.

- Szukam tylko tego, co macie mi do zaoferowania.

Strażnik zwrócił twarz ku konarom świerka, jakby pytał je o radę. Wciągnął długi, powolny oddech.

- No cóż, zgoda. Pozwolę wam wejść, choć bynajmniej nie dlatego, że przekonały mnie twoje wyjaśnienia, które brzmią dość podejrzanie. Ale dlatego, że uratowaliście panicza Galwy'ego.

Potrząsnął ostatni raz zwisającymi włosami i usunął się w cień jednego z drzew. Choć czułem na sobie jego podejrzliwy wzrok, nie odwróciłem się. Rhia i Bambulo też nie.

Zaraz po przejściu przez bramy zauważyłem wysoką spiralną budowlę na środku błonia. Dzieci piszczały i skakały, bawiąc się u jej podnóża, a miarowy strumień dorosłych wchodził do budynku i z niego wychodził. Objuczeni wiadrami, koszami i dzbanami przypominali oni kolonię mrówek przenoszących na sobie zdobycze swojej społeczności.

Wtedy zauważyłem dziwną zmarszczkę na złocistej powierzchni budowli. Jakby budynek się poruszył. Jakby był żywy.

Oprócz kilku osób, które pokazywały na moją laskę, szepcząc coś po kryjomu, większość mieszkańców była zbyt zajęta swoimi obowiązkami, żeby poświęcać nam uwagę.

Minałem gromadkę bawiących się w jakąś grę z kijkami i ostrożnie zbliżyłem się do budowli.

To z niej najwyraźniej dochodził wyborny zapach, który rozchodził się po wiosce. A powierzchnia istotnie się ruszała. Gęsty złoty płyn wydobywał się powoli z wylotu na szczycie i spływał po kilku spiralnych półkach do szerokiego zbiornika u podnóża. Z tego zbiornika ludzie czerpali wiadrami złocisty płyn, który później roznosili szybkim krokiem do budynków. W tym samym czasie inni mieszkańcy wsypywali mąkę, wlewali mleko i inne składniki do wielu otworów, które otaczały podstawę budynku.

- Fontanna. - Przyglądałem się oniemiały. - To fontanna chleba.

- Chcesz powiedzieć: ciasta na chleb. - Rhia pochyliła się nad wzburzonym płynem. -

Muszą korzystać z tej złocistej substancji - podobnej do miodu, tylko gęstszej - jako ciasta do wyrobu niektórych swoich chlebów.

- W rzeczy samej wszystkich naszych chlebów.

Odwróciliśmy się na pięcie i ujrzeliśmy pulchnego mężczyznę o blond włosach i rumianych policzkach, który napelniał przy fontannie dwa duże dzbanki. Jego uszy, tak jak uszy innych mieszkańców Fincayry, miały lekko spiczaste końce. Jednak jego głos i twarz wydawały się dość niezwykle, zarazem pogardliwe i radosne. Byłem pewien, że jedno z tych uczuć wyraża naturę mężczyzny. Nie umiałem tylko stwierdzić które.

Kiedy dzbanki były bliskie przelania, mężczyzna wyciągnął je ze zbiornika. Opierając je o swój okazały brzuch, przyglądał się nam przez chwilę.

- Goście, co? Nie lubimy gości.

Nie wiedziałem, czy ten komentarz jest wrogi, czy tylko zadziorny, więc odparłem:

- Chciałbym się nauczyć czegoś o wypieku chleba. Czy mógłbyś mi pomóc?

- Mógłbym - odparł szorstko. Albo przekornie. - Ale teraz nie mam czasu. - Zaczął

szykować się do odejścia. - Spróbujcie innego dnia.

- Nie mam innego dnia! - zaprotestowałem i podbiegłem do niego, dotrzymując mu kroku, kiedy szedł szybko w stronę jednego z budynków. - Czy mógłbyś pokazać mi trochę swoich umiejętności?

- Nie - oznajmił. - Powiedziałem ci, że jestem...

Potknął się i wpadł na dwóch niechlujnych chłopców w wieku Galwy'ego, którzy bili się o bochenek chleba z niebieskimi plamkami. Mężczyzna wypuścił jeden dzbanek, który spadł i roztrzaskał się na kawałki, a złocisty płyn z fontanny wyciekł na ziemię.

- I coście narobili?! - ryknął mężczyzna, tym razem poważnie, bez cienia przekory, i schylił się, żeby pozbierać kawałki. Kiedy zobaczył, że chcę mu pomóc, przegonił mnie gniewnym machnięciem. - Idź sobie, chłopcze! Nie potrzebuję twojej pomocy.

Odwróciłem się z ponurą miną do chlebowej fontanny. Podszedłem do niej bez entuzjazmu, nie zwracając uwagi na intensywne aromaty, które nadal rozchodziły się w powietrzu. Rhia, która widziała, co się stało, pokręciła smutno głową. Oboje wiedzieliśmy, że wszystkie nasze dotychczasowe zmagania okażą się jałowe, jeżeli w Slantos nie zdobędziemy tego, po co tu przyszliśmy.

Kiedy mijałem dwóch sprzeczących się chłopców, którzy wyglądali na bliźniaków, widziałem, że ich kłótnia za chwilę zamieni się w zwykłą bójkę. Mieli zaciśnięte pięści i furię w głosie. Jeden chłopiec próbował stanąć na chlebie w niebieskie kropki, który leżał u stóp kompana. Nozdrza drugiego chłopca rozszerzyły się, ryknął wściekle i natarł na pierwszego.

Wsunąłem laskę za pasek i wszedłem między walczących. Przytrzymałem jednego chłopca za kołnierz tuniki, drugiego za ramię i robiłem, co mogłem, żeby ich rozdzielić. Obaj krzyczeli, szarpali się i kopali mnie zaciekle po kostkach. W końcu, kiedy ręce mi się zmęczyły, puściłem ich i szybko zabrałem bochenek. Podniosłem chleb, teraz bardziej przybrudzony na brązowo niż niebieski.

- Czy to jest powód waszej kłótni?

- Jest mój! - krzyknął jeden chłopiec.

- Nie, mój! - zawołał drugi.

Obaj rzucili się na chleb, ale trzymałem go poza zasięgiem ich łapczywych dłoni. Nie zważając na wściekłe piski chłopców, pomachałem bochenkiem nad ich głowami. Nadal ciepły, pachniał słodką melasą.

- A teraz - powiedziałem - czy chcecie się dowiedzieć, w jaki sposób obaj możecie dostać po kawałku?

Jeden chłopiec przechylił sceptycznie głowę.

- Jak?

Rzuciłem okiem przez ramię.

- Mogę wam powiedzieć, ale pod warunkiem, że dochowacie tajemnicy.

Chłopcy to rozważyli, po czym skinęli głowami.

Przykląknęłam, po czym wyszeptałam im coś na ucho. Słuchali mnie uważnie z szeroko otwartymi oczami. Kiedy skończyłam mówić, wręczyłam im bochenek. Usiedli na ziemi i kilka sekund później obaj mieli usta wypchane chlebem.

- Nieźle.

Spojrzałem do góry i zobaczyłem pulchnego mężczyznę, który mi się przyglądał.

- Powiedz mi, chłopcze. Jak udało ci się sprawić, żeby podzielili się chlebem?

Podniosłem się i wyciągnąłem zza pasa laskę.

- To bardzo proste. Zaproponowałem, żeby na zmianę odgryzali z niego po kęsie. -

Uśmiechnąłem się nieznacznie. - Powiedziałem im też, że jeżeli tego nie zrobią, to sam zjem chleb.

Mężczyzna wydał z siebie gardłowy odgłos, który mógł być śmiechem albo jękiem.

Zmarszczył twarz i przyjrzał mi się wzrokiem podszytym szacunkiem. Albo niepokojem.

Trudno było stwierdzić. W końcu przemówił, rozwiewając moje wątpliwości:

- Jeżeli chcesz się dowiedzieć czegoś o wypieku chleba, chłopcze, to chodź ze mną.

XXIII

NAZYWANIE

Mężczyzna podszedł szybkim krokiem do jednego z budynków w kształcie bochna na skraju błonia. Przed wejściem do środka wyrzucił resztki potłuczonego dzbanka do kosza przy drzwiach. Potem wytarł pulchną dłoń o jasnobrązową tunikę, poplamioną od częstego wycierania. Położył rękę na ścianie przy drzwiach i popukał w brązowe cegły z wdzięcznością.

- Widziałeś kiedyś takie cegły?

- Nie. Czy są ze specjalnego rodzaju błota?

Zrobił posępną minę. Albo rozbawioną.

- W rzeczy samej wytwarza się je ze specjalnej mąki. Widzisz, to składniki nadają jej niezwykłą wytrzymałość. - Jeszcze raz postukał w cegły. - Znajomość składników, chłopcze, to podstawa wypieku chleba.

Z tonu mężczyzny, kiedy mówił „znajomość składników”, wywnioskowałem, że nie chodzi mu tylko o umiejętność rozpoznawania ziaren i ziół. Choć korciło mnie, by go o to zapytać, powstrzymałem się, żeby go nie nagabywać.

- Tę oto cegłę - ciągnął - nazywamy bochnianką. Wypieczona sześć razy, żeby była mocna. - Przycisnął krótkie palce do ściany. - Te cegły będą tu sto lat po mojej śmierci.

Rhia, która szła za nami, przyglądała się cegłom zadziwiona.

- Jadłam już kiedyś twarde chleb, ale nigdy tak twarde.

Pulchny mężczyzna odwrócił się do niej. Nagle wybuchnął śmiechem, aż zatrzęsł mu się brzuch, a z

drugiego dzbanka wylał się złocisty płyn.

- Dobry żart, leśna panienko.

Uśmiechnęła się.

- Proszę do mnie mówić Rhia.

- A do mnie Merlin.

Mężczyzna przytaknął.

- A ja mam na imię Pluton.

- Pluton - powtórzyłem. - Czy to nie jest greckie imię? Z opowieści o Demeter i pierwszych żniwach?

- Zgadza się, chłopcze. Skąd znasz historie Greków?

Zaschło mi w gardle.

- Matka mi opowiadała.

- Tak samo jak moja. Wszystkie dzieci urodzone w Slantos słuchają opowieści o żniwach i wypieku z wielu różnych krain. I często dziecku nadaje się imię z jednej z tych opowieści. - Spojrzał na mnie dwuznacznie. - Oczywiście to nie jest moje prawdziwe imię.

Wymieniliśmy z Rhią spojrzenia. Przypomniałem sobie komentarz Urnaldy o prawdziwych imionach i miałem ochotę podrażnić temat. Poza tym byłem zakłopotany, że nie widzę związku między techniką wypieku chleba a magiczną sztuką Nazywania. Ale trzymałem język za zębami. Sprawy przybrały pozytywny obrót, a ja nie chciałem tego zepsuć. Lepiej poczekać na inny moment, żeby dowiedzieć się czegoś o Nazywaniu.

Pluton podniósł zasuwę w drzwiach.

- Zapraszam was oboje.

Kiedy wchodziliśmy za nim do środka, nagle przypomniałem sobie o Bambulu.

Rozglądając się po tętniącym życiem błoniu, szybko go znalazłem. Nadal stał przy chlebowej fontannie. Opierał się o jej podstawę i spoglądał tęsknie na zbiornik złocistego płynu.

Zbierały się wokół niego dzieci, najprawdopodobniej zaintrygowane kapeluszem z dzwoneczkami. Chyba nic mu nie groziło, a ja nie chciałem nadużywać gościnności Plutona, więc uznałem, że go tam zostawię.

Kiedy weszliśmy do budynku, owiała nas nowa fala aromatów. Poczulem pieczony jęczmień, nektar

słodki jak kwitnące róże i zapachy kilku przypraw, których nie rozpoznałem.

Główna izba wyglądała jak kuchnia w tętniącej życiem karczmie: na paleniskach stały garnki, z sufitu zwisały suszone zioła, korzenie i skrawki kory, na półkach leżało w torbach zboże i mąka. W pomieszczeniu przebywało sześć albo siedem osób zajętych mieszaniem, wlewaniem, krojeniem, łączeniem składników, próbowaniem i pieczeniem. Z ich min wynikało, że czerpali przyjemność ze swojej pracy i traktowali ją poważnie.

Przez wąskie okna do izby wpadało słońce. Jednak głównym źródłem światła było samo palenisko - zajmujący prawie całą ścianę rząd kamiennych pieców. Zamiast drewnem ogień podsycano płaskimi szarymi ciasteczkami. Bez wątpienia była to kolejna tajemnicza receptura Slantos.

Wysoko nad paleniskiem, poza zasięgiem dłoni, wisiał olbrzymi miecz, którego rękojeść szerniała od palących się latami poniżej płomieni. Metalowa pochwa zardzewiała od swojego wieku, skórzany pas był przeżarty przez upływ czasu. Stary miecz zaintrygował

mnie i chciałem mu się lepiej przyjrzeć. Jednak wyleciało mi to z głowy w zamieszaniu, jakie panowało w izbie.

Do Plutona podeszła wysoka dziewczynka z policzkami jak jabłka i ciemnymi włosami, które spadały jej do ramion. Różniła się wyglądem od pozostałych mieszkańców wioski, częściowo przez czarne włosy, a częściowo za sprawą szczupłej figury. W jej oczach, tak czarnych jak moje, połyskiwała inteligencja. Dziewczynka sięgnęła po dzbanek złocistego płynu, po czym zamarła na widok stojącej u mojego boku Rhii.

Pluton wskazał nas gestem dłoni.

- To jest Merlin, a to Rhia. Przybyli, żeby dowiedzieć się czegoś o wypieku. -

Wskazując dziewczynkę, dodał szorstko albo od niechcienia: - To jest moja pomocnica, Vivian. Przyszła do mnie, kiedy jej rodzice, których poznałem podczas podróży na południe, zginęli w strasznej powodzi. Kiedy to było?

- Sześć lat temu, Mistrzu Plutonie - przypomniała Vivian, po czym wzięła dzbanek, obejmując go z czułością matki przytulającej niemowlę. Nadal przyglądając się nam nieufnie, zapytała: - Czy Mistrza nie martwi ich obecność?

- Czy mnie martwi? Owszem. - Pluton przyjrzał się jej nieprzeniknionym wzrokiem. -

Choć nie bardziej, niż zaniepokoiło mnie niegdyś twoje przybycie.

Dziewczynka zamarła, ale nie odezwała się.

- Tak z innej beczki - ciągnął Pluton. - Usłyszałem na błoniu opowieść o chłopcu, który pokonał wielkiego goblina wojownika swoją laską. I przy okazji uratował dziecko z wioski. - Wskazał na mnie skinieniem głowy. - Czy to przypadkiem nie byłeś ty?

Przytaknąłem nieco zawstydzony.

Pluton skierował swoją potężną dłoń na moją laskę.

- I czyżby to była twoja broń?

Przytaknąłem raz jeszcze.

- Nie zrobiłaby krzywdy goblinowi - dodał od niechcienia - gdyby nie posiadała magicznej mocy.

W tym momencie Vivian wciągnęła powietrze. Jej czarne jak węgle oczy nie odrywały się od mojej laski. Odruchowo odwróciłem trzon, żeby zasłonić symbole Pieśni.

Pluton sięgnął dłoń i wziął z niesionej przez jakiegoś mężczyznę tacy parujący bochenek chleba o żółtej skórce. Przełamał go na dwie części i wciągnął do płuc zapach świeżego wypieku. Potem podał obie połówki Rhii i mnie.

- Teraz jedzcie - zasugerował albo polecił. - Musicie mieć siłę.

Bez wahania wgryźliśmy się oboje w skórę. Kiedy nasze języki dotknęły ciepłego gliniastego chleba, który smakował zbożem, masłem, koprem i wieloma innymi składnikami, nasze spojrzenia skrzyżowały się. Oczy Rhii zaskrzyły się jak niebo nad oceanem o świcie.

Pluton odwrócił się do Vivian.

- Pokażemy im podstawowe rzeczy. Mieszanie, przyprawianie, krojenie. Żadnych przepisów.

Podniósł dwa przybrudzone mąką drewniane wiadra i wręczył je Rhii.

- Możesz napełnić je jęczmieniem i pszenicą z tamtych worków. Potem zanieś je do kamienia młyńskiego w izbie za wysokimi półkami. Tam nauczysz się nieco o mieleniu i przesiewaniu.

Strzepnął mąkę z tuniki.

- A ty, chłopcze, możesz się zająć siekaniem. Przy tamtym stole będziesz przygotowywał sercowy chleb.

Vivian wydała się zaniepokojona.

- Naprawdę, Mistrzu?

- Zgadza się - oznajmił Pluton. - Może posiekać trochę ziaren.

Nie zważając na zaskoczoną minę swojej pomocnicy, odwrócił się do mnie.

- Jeżeli dasz sobie radę, chłopcze, to pokażę ci coś więcej. Być może nawet dam ci spróbować sercowego chleba, który wypełni ci brzuch jedzeniem, a serce odwagą.

Przełykając resztkę mojej skórki, powiedziałem:

- Dziękuję, ale ten chleb, który dostałem, w zupełności mi wystarcza. Jest przepyszny.

Okrągła twarz mężczyzny rozpromieniła się.

- Jak mówiłem, wszystko zależy od składników - rzekł, a na jego ustach pojawił się, i zaraz zniknął, tajemniczy uśmiech. - Do ziaren będziesz potrzebował noża do siekania, a tych nam akurat brakuje. A, tam jest jeszcze jeden na stole. Vivian, mogłabyś go tam zaprowadzić i pokazać mu, jak to się robi? Niedługo wrócę, żeby przyjrzeć się jego postępowi.

Na te słowa dziewczynka rozpromieniła się. Z gracją wkroczyła między Rhię a mnie.

Tonem łagodniejszym niż poprzednio wyszeptała do mnie:

- Większość nazywa mnie Vivian, ale moi przyjaciele zwaą mnie Nimue. - Na jej pyzatyh policzkach pojawił się przyjazny uśmiech. - Z przyjemnością ci pomogę. We wszystkim, co będzie ci sprawiało kłopot.

- Dziękuję, Viv... to znaczy, Nimue - wymamrotałem. Czy tylko schlebiało mi jej zainteresowanie, czy w tej dziewczynce było coś więcej, co sprawiało, że serce biło mi mocniej?

Z oczu Rhi zniknął błysk i odsunęła Nimue na bok.

- Na początek możesz mu przynieść nóż - powiedziała i posłała mi surowe ostrzegawcze spojrzenie.

Zirytowała mnie tym. Przed czym chciała mnie ostrzec? Znow traktowała mnie jak dziecko.

- Chodź - poleciła Nimue, wymijając Rhię.

Wzięła mnie delikatnie za rękę i powoli przesunęła swoje palce po moim przedramieniu. Poczulem falę ciepła, kiedy zaprowadziła mnie do stołu z warzywami, nasionami, korzeniami i ziołami. Na jego jednym końcu siedziała starsza kobieta, która sprawnie sortowała składniki. Na drugim końcu stał młody mężczyzna z rzadką brodą i rozłupywał olbrzymi orzech, który wyglądał jak wielki żołądź.

- Zacznijmy tutaj - zaproponowała Nimue.

Poprowadziła mnie do połowy stołu. Przysunęła półmisek kwadratowych purpurowych warzyw, które parowały po ugotowaniu. Wyciągnęła z drewnianego kloca wysłużony nóż, sprawnie rozcięła warzywo i usunęła z niego płaskie nasiono, które połyskiwało ciemną czerwienią. Potem położyła swoją ciepłą dłoń na mojej i poprowadziła ją, ucząc mnie zdecydowanego ruchu, którym siekało się nasionko.

- Właśnie tak - powiedziała miłym głosem, nie zabierając swojej dłoni. - Wiesz, masz wyjątkowe szczęście. Sercowy chleb to jeden ze specjalów Mistrza Plutona. On nigdy nie zezwala, żeby przybysz pomagał w przygotowaniu go, a już z całą pewnością nie pozwala mu siekać nasion. - Uśmiechnęła się do mnie uroczo. - Musiał zobaczyć w tobie coś niezwykłego.

- Scisnęła lekko moją dłoń i odsunęła swoją rękę. - Za chwilę do ciebie wrócę.

Kiedy szykowała się do odejścia, wskazała na moją laskę, która stała oparta o krawędź stołu.

- Zaraz się przewróci. Może gdzieś ją schowam?

Przeszedł mnie dziwny dreszcz, choć nie wiedziałem dlaczego. W końcu dziewczynka chciała mi tylko pomóc.

- Nie, dziękuję - odparłem. - Tam, gdzie stoi, nic jej nie będzie.

- Ale nie chciałabym, żeby coś jej się stało. Jest taka... atrakcyjna.

Sięgnęła, żeby jej dotknąć. Właśnie wtedy starsza kobieta trąciła niechcący stół

kolanem. Laska przesunęła się na bok po krawędzi, po czym spadła mi na biodro. Złapałem ją i wsunąłem za pasek tuniki.

- O proszę - powiedziałem Nimue. - Teraz jest już bezpieczna.

Przez ułamek sekundy w jej oczach zabłysnął gniew, choć serdeczność wróciła na jej twarz tak szybko, że mogło mi się to tylko wydawać. Tak czy inaczej szybko odwróciła się i odeszła. Po kilku krokach spojrzała na mnie przez ramię, uśmiechając się.

Chcąc nie chcąc, odwzajemniłem uśmiech. Potem odwróciłem się do stołu i wziąłem jedno z fioletowych warzyw. Nadal parowało i rozciąłem je bez trudu. Ostrożnie wyjąłem lśniące nasiono. Kiedy przymierzałem się, żeby je posiekać, zużyte ostrze rozsypało się nagle na kawałki. Co za pech! Odrzuciłem bezużyteczny nóż.

Musiałem dobrze wykonać powierzone mi zadanie, nie wolno mi było spartaczyć roboty! Byłem pewien, że Pluton wystawia mnie na próbę. Bo dlaczego miałby mnie obarczyć tak niezwykłą odpowiedzialnością? Obiecał nawet, że pokaże mi jeszcze więcej, jeżeli sobie poradzę. A jeżeli mi się nie uda, to nigdy nie zdobędę jego zaufania. Omiotłem rozpaczliwie izbę magicznym wzrokiem, szukając innego ostrza, którego mógłbym użyć.

Nic. Nie było wolnego noża, wszystkie były w użyciu, kroiliły i siekały. Podniosłem się z laską za pasem i popatrzyłem ponownie. Rozejrzałem się po półkach. Spojrzałem na palenisko. Sprawdziłem pod stołem.

Nic.

Nie było żadnego ostrza.

Wtedy mój wzrok padł na wiszący nad paleniskiem zmatowiały miecz. Będzie ciężki i brudny. Ale to jednak ostrze.

Nie, powiedziałem sobie, ten pomysł jest nedoręczny. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś siekał nasiona mieczem. Zagryzłem wargę i ponownie rozejrzałem się po izbie. Nie było noża, a czas uciekał. Pluton niedługo będzie chciał zobaczyć, co zrobiłem. Znów spojrzałem na brudne ostrze.

Zobaczyłem małą drabinę opartą o najwyższe półki i postawiłem ją obok paleniska.

Wspiąłem się na najwyższy szczebel i wyciągnąłem rękę najwyżej, jak mogłem. Jednak nie sięgałem rękojeści miecza. Rozejrzałem się, szukając kogoś wyższego, kto mógłby mi pomóc, ale wszyscy w izbie byli pochłonięci swoimi zajęciami.

Wspiąłem się na palce i ponowiłem próbę. Byłem tuż-tuż! Sięgnąłem jeszcze wyżej.

Prawie... ale jednak był za daleko. Po prostu nie mogłem go dosięgnąć.

Spojrzałem na miecz nienawistnym wzrokiem, przeklinając w myślach. Dlaczego w ogóle wisiał tak wysoko? Aby mógł mi się do czegoś przydać, musiałem go najpierw dosięgnąć. A w tej chwili bez wątpienia przydałby mi się. Nie tylko do posiekania nasion na sercowy chleb. Stawka była znacznie wyższa. Jeżeli nie przekonam do siebie Plutona, nie uratuję Elen.

Skoncentrowałem się na starym mieczu, szukając jakiegoś sposobu, żeby go dosięgnąć. Gdybym tylko mógł sprawić, by do mnie przyleciał, tak jak kiedyś przyciągnąłem Głębotnija. Jednak, jak wyjaśniła mi Urnalda, to było możliwe tylko dzięki magii zawartej w samym mieczu.

Wtedy zobaczyłem jakieś symbole wyryte na rękojeści. Może to nieistotne. A może...

Znaki runiczne. Litery. Czy ten miecz, tak jak Głębotnij, mógł mieć magiczną moc? Jednak kiedy przyszło mi to do głowy, od razu wiedziałem, że szanse na to są znikome. Dlaczego magiczny miecz wisiałby zardzewiały i nieużywany w jakiejś wiosce na uboczu, której mieszkańcy zajmowali się wypiekiem chleba?

Ale znaki runiczne jakby mnie wzywały. Być może opisywały historię miecza. Albo, jeżeli istotnie były magiczne, zawierały instrukcje, jak go używać. Jak sprawić, żeby do mnie przyleciał!

Wyteżając magiczny wzrok, usiłowałem zrozumieć symbole. Pod warstwą kurzu i sadzy wychwyciłem pewien rytm, układ. Niektóre znaki miały proste linie. Inne były zakrzywione. Jeszcze inne opatrzone zygzakami. Skoncentrowałem się na zadaniu rozszyfrowania ukrytego napisu.

Zrozumiałem pierwszą literę. Odczytałem ją! Potem... drugą. I trzecią. Czwartą, piątą... aż do samego końca słowa. Gdyż na rękojeści nie było nic więcej. Było tylko to jedno niezwykle słowo.

Wymówiłem to słowo, nie na głos, lecz w myślach. Wymówiłem je powoli, ostrożnie, delektując się jego bogactwem. A miecz, w podzięcie, przemówił do mnie. Odślonił przede mną swoją wspaniałą historię i jeszcze wspanialszą przyszłość. *Jestem mieczem światła, minionego i obecnego. Jestem mieczem królów, obecnych i przyszłych.*

Nagle miecz odzepił się od ściany. W tej samej chwili z rękojeści zniknął brud, ukazując lśniące pod spodem srebro. Pochwa i pas odnowiły się, zamieniając w wyłożone fioletowymi klejnotami:

wypolerowany metal i solidną skórę. Z gracją liścia niesionego na wietrze miecz poszybował nad paleniskiem i trafił do moich rąk.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że w pomieszczeniu zapadła cisza. Nikt się nie ruszał. Nikt się nie odzywał. Wszystkie oczy zwróciły się na mnie.

Struchlałem, gdyż byłem pewien, że grozi mi oskarżenie o kradzież. Zostaniemy z Rhią wyrzuceni z wioski. Jeżeli nie spotka nas jeszcze gorszy los.

Pluton, który był albo zirytowany, albo zadziwiony, zrobił krok do przodu. Przyglądał mi się przez chwilę z rękami na szerokich biodrach.

- Na początku nie wydałeś mi się niezwykły. Bez dwóch zdań.

- Przepraszam za to, co się stało z mieczem.

Zignorował mnie i ciągnął myśl:

- A jednak, jak porządny kawałek ciasta, urosłeś, chłopcze. Bardziej, niż się tego po tobie spodziewałem. Potrzeba ci było tylko czasu, żeby urosnąć.

- To znaczy... że mogę go użyć?

- Możesz go zatrzymać! - zagrzemiał Pluton. - Miecz jest twój.

Zamrugalem, starając się to wszystko pojąć. Zobaczyłem Rhię, która przyglądała mi się z dumą. I Nimue, z dłońmi na biodrach, która patrzyła na mnie jakoś inaczej. Jakby z zazdrością.

- Ale ja tylko przeczytałem jego imię. Nazywa się...

- Cicho, chłopcze! - Pluton uniósł dłoń. - Prawdziwego imienia nigdy nie powinno się wymawiać na głos, chyba że to niezbędne. Zawładnąłeś mieczem, gdyż udało ci się poznać jego prawdziwe imię. Teraz musisz tego imienia pilnie strzec.

Rozejrzałem się po izbie mieniącej się światłem z paleniska, pełnej zapachów świeżo zmielonej mąki, pieczonego chleba i tysiąca przypraw.

- Chyba rozumiem - powiedziałem w końcu. - W tej wiosce poznajecie prawdziwe nazwy wszystkich składników przed ich użyciem. To pozwala wam zawładnąć ich mocami i natchnąć nimi wasz chleb. Dlatego jest taki magiczny.

Pluton przytaknął powoli.

- Wieki temu ten miecz przybył tutaj przyniesiony przez klucz zaczarowanych łabędzi

- wyjaśnił. - Zgodnie z przepowiednią pewnego dnia miał pofrunąć niczym łabędź w ręce jedynej

osoby, która odczyta jego prawdziwe imię. Ponieważ ze wszystkich ludów Fincayry to my najbardziej cenimy sobie moc prawdziwych imion, miecz powierzono nam. Aż do dziś.

Teraz my powierzamy go tobie.

Pluton sprawnie zapiął pas na moich biodrach i doczepił pochwę.

- Używaj tego miecza rozważnie i dobrze. I sprawuj nad nim opiekę. Gdyż przepowiednia głosi również, że pewnego dnia stanie się on własnością wielkiego króla, którego czeka tragiczny los - króla tak potężnego, że uda mu się wyciągnąć miecz z kamiennej pochwy.

Spojrzałem na twarz Plutona.

- W takim razie - powiedziałem - on także będzie znał prawdziwe imię miecza. *Gdyż w prawdziwym imieniu kryje się prawdziwa potęga.*

W tej chwili moja laska wybuchnęła niebieskim światłem. Pojawił się na niej kolejny symbol, o kształcie miecza. Miecza, którego imię było mi dobrze znane.

XXIV

BEZ SKRZYDEŁ, BEZ NADZIEI

Dopiero kiedy skosztowaliśmy z Rhią dziewięciu różnych rodzajów chleba (w tym chleba z ambrozji, który był jeszcze lepszy, niż pamiętałem), w końcu udało nam się wydostać z kuchni Plutona. Mistrz wypieków włożył kawałek świeżo upieczonego chleba do mojej torby i pozwolił nam odejść. Jak tylko przekroczyliśmy próg drzwi i znaleźliśmy się na tętniącym życiem błoni, ujrzelśmy opartego o podstawę wielkiej chlebowej fontanny Bambula.

Tyczkowaty błazen trzymał się za wzdęty brzuch i wydawał zbolące pojękiwania. Jego twarz, aż po ostatni podbródek, była niebieskozielona. Na płaszczu z kapturem, włosach, uszach, a nawet brwiach miał plamy złocistego ciasta. Trójgraniasty kapelusz uciszył się zaklejony ciastem.

- Ała - zajęczał Bambulo. - Umrę z przejedzenia. To taki bolesny koniec.

Miałem ochotę się zaśmiać. Przypomniałem sobie jednak obietnicę o zjedzeniu trzewików i w porę się powstrzymałem.

Bambulo, jak nam wyjaśnił w przerwach między pojękiwaniami, stał obok chlebowej fontanny, obserwował gęsty płyn wylewający się z otworu i wąchał jego intensywny aromat, aż już nie mógł tego znieść. Nachylił się, chłonąc woń. Potem nabrał dłońmi nieco wyborneho ciasta prosto ze zbiornika i włożył do ust. Smakowało mu, więc wziął więcej. A potem jeszcze więcej. Jednak dopiero później uświadomił sobie, że ciasto właśnie zaczynało rosnąć. Urosło mu więc w żołądku. Skończyło się tak straszliwym bólem brzucha, że nie umiał go nawet opisać.

Oparłem laskę o brzeg fontanny i usiadłem obok niego. Dołączyła do nas Rhia, która objęła sobie kolana rękami i przypominała teraz krzak zielonych i brązowych pnączy.

Mieszkańcy Slantos mijali nas szybkim krokiem, zajmując się swoimi sprawami z szybkością i determinacją dobrze zorganizowanej armii.

Westchnąłem, gdyż wiedziałem, że nam też nie brakuje determinacji. Brakuje nam tylko szybkości. A przed nami była jeszcze długa droga.

Rhia wyciągnęła do mnie udrapowaną liśćmi rękę.

- Martwisz się upływającym czasem, prawda? Księżycyca szybko ubywa. - Zawahała się. - Zostało nam nie więcej niż pięć dni, Merlinie.

- Wiem, wiem. Aby nauczyć się Skakania, będziemy musieli udać się aż do samego Varigalu. Będziemy musieli jeszcze raz przeprowić się przez Kanion Orłów, a na Mrocznych Wzgórzach pewnie znów czekają nas kłopoty. - Przebiegłem palcem po pochwie, którą nosiłem teraz przy pasie. - Kłopoty, z którymi może sobie nie poradzić nawet magia laski i miecza.

Rhia pokazała na Bambula.

- A co z nim? Nie może nawet usiąść, a co dopiero wędrować.

Przyjrzałem się jęczącej, poplamionej kawałkami ciasta postaci.

- Może cię to zaskoczy, ale nie czułbym się w porządku, gdybyśmy go zostawili.

Wtedy, na ścianie urwiska, bardzo się dla ciebie poświęcił.

Rhia uśmiechnęła się smutno.

- Wcale mnie to nie zaskoczyło.

- Czyli co mamy zrobić? - Przeciągnąłem obolałe ramiona. - Gdybyśmy tylko umieli latać.

Rhia przełknęła kawałek chleba z ambrozji.

- Jak dawni mieszkańcy Fincayry, zanim stracili skrzydła.

- Potrzeba mi nie tyle skrzydeł - oznajmił Bambulo, przewracając się na bok - ile nowego ciała.

Przyglądałem się opartej o podstawę fontanny lasce. Na trzonie wyryte były ciemne symbole: motyl, para szybujących sokołów, pęknięty kamień i teraz miecz. Zaszliśmy tak daleko, osiągnęliśmy tak wiele. Jednak to wszystko na nic, jeżeli nie uda nam się odkryć dusz pozostałych Pieśni, zanim będzie za późno.

Wyrecytowałem je w myślach, szukając w nich promyka nadziei.

Moc Skakania piątą jest częścią,

Varigal to kraju opoka.

Eliminowanie, czyli część szósta,

W kryjówce śpiącego smoka.

Dar Widzenia jest ostatni,

Zaginionej Wyspy atut.

I wtedy będziesz mógł poszukać

Studni do samych Zaświatów.

Zapał opuścił mnie, kiedy pomyślałem o olbrzymich odległościach, których wymagały Pieśni. Nawet gdybym miał skrzydła, jak przebyłbym taki dystans? Nie wspominając o pozostałych wyzwaniach: musiałem odnaleźć Studnię do Zaświata, wyminąć ogra Balora i dotrzeć do krainy Dagdy, żeby zdobyć cenny Elixir. I miałem na to wszystko...

pięć krótkich dni.

Gdybym tylko mógł znaleźć jakąś drogę na skróty! Pominąć którąś Pieśń. Udać się prosto do krainy duchów. Jednak na samą myśl o tym przypomniało mi się, jak Tuatha ostrzegął mnie przed takim brakiem rozważli. Uderzyłem pięścią o ziemię.

- Rhio, jak mamy tego wszystkiego dokonać?

Chciała mi odpowiedzieć, kiedy do fontanny zbliżyła się chwiejnym krokiem czwórka mężczyzn, uginając się pod ciężarem olbrzymiego czarnego kotła. Nie zważając na nikogo, kto mógłby stanąć im na drodze, przeciskali się i przepychali po błoni. Kiedy przechodzili między mną a Rhia, o mało nie nadepnęli na biednego Bambula. Ten zajęczał i przeturlał się na bok, a mężczyźni oparli kocioł o brzeg zbiornika fontanny i zaczęli go opróżniać. Do basenu wlała się, pluskając i bulgocząc, kremowa brązowa mikstura o goździkowej woni.

Kiedy mężczyźni odchodzili z pustym kotłem, podbiegł do mnie mały pyzaty chłopiec. Szarpnął mnie za tunikę podekscytowany.

- Galwy! - wykrzyknąłem. Potem zamarłem na widok troski na jego twarzy. - Co się stało?

- Zabrała go - wysapał. - Widziałem, jak go zabierała.

- Co zabrała?

- Zabójcę goblinów! Zabrała go.

Zaintrygowany potrząsnąłem go za krępe małe ramiona.

- Zabójcę goblinów? O czym ty...

Nagle spojrzałem na fontannę. Moja laska zniknęła!

- Kto ją zabrał?

- Ta dziewczynka, ta wysoka. - Galwy pokazał na bramy wioski. - Pobiegnij tędy.

Nimue! Skoczyłem na nogi, przepchnąłem się przez otaczającą fontannę gromadę mieszkańców wioski, przeskoczyłem śpiącego psa i pognałem przez drewnianą bramę.

Stałem pod jednym z wysokich świerków i rozejrzałem się po łąkach, choć wszystko zasłaniała gruba warstwa mgły.

Nie było śladu ani po Nimue. Ani po mojej lasce.

- Już nas opuszczasz?

Odwróciłem się na pięcie i zobaczyłem strażnika. Przyglądał mi się z cienia, nadal trzymając rękojeść miecza.

- Moja laska! - krzyknąłem. - Widziałeś przed chwilą dziewczynkę z moją laską?

Przytaknął powoli.

- Tę, którą zwą Vivian albo Nimue.

- Tak! Dokąd poszła?

Strażnik pociągnął za zwisające mu nad uszami włosy, po czym pomachał w kierunku kłębiącej się mgły.

- Gdzieś tam, za morze mgły. Może ku wybrzeżu, może na wzgórza. Nie mam pojęcia.

Zwracam uwagę na tych, którzy wchodzą, nie na tych, którzy wychodzą.

Kopnąłem ziemię.

- Nie widziałeś, że ma moją laskę?

- Owszem. Twoją laskę trudno przeoczyć. Ale to nie był pierwszy raz, kiedy omamiła mężczyznę i na coś go naciągnęła, więc specjalnie się tym nie przejąłem.

Oczy mi się zwęziły.

- Nie omamiła mnie, tylko okradła!

Strażnik uśmiechnął się znacząco.

- To też już słyszałem kilka razy.

Odwrociłem się zdegustowany ku zamglonej równinie. Wyteżyłem magiczny wzrok i usiłowałem znaleźć jakiś ślad złodziejki. Widziałem jednak tylko kłębiącą się bez końca mgłę. Moja laska. Moja cenna laska! Natchniona żywotnością Lasu Druma, tknięta dłonią Tuathy, naznaczona mocą Pieśni. Stracona! Bez laski i jej zdolności rozpoznania, kiedy znalazłem duszę każdej Pieśni, byłem bez szans.

Z opuszczoną głową podreptałem z powrotem przez bramę i udałem się na błonie.

Obładowany chlebem mężczyzna wpadł na mnie i upuścił kilka bochenków. Ale ja prawie tego nie zauważyłem. Myślałem tylko o lasce. Kiedy dotarłem do fontanny, usiadłem zrezygnowany obok Rhi.

Zahaczyła swoim palcem o mój palec i uważnie mi się przyjrzała.

- Straciłeś ją.

- To koniec.

- Prawda jak sto pięćdziesiąt - zajęczał Bambulo, rozcierając swój wzdęty brzuch.

Rhia sięgnęła po moją torbę i otworzyła ją. Wyciągnęła sercowy chleb Plutona, urwała kawałek i włożyła mi go w dłoń. Powietrze wypełnił intensywny zapach, mocny jak aromat pieczonej sarniny.

- Proszę. Pluton powiedział, że wypełni twoje serce odwagą.

- Aby uratować moją matkę, będzie trzeba czegoś więcej niż odwagi - wymamrotałem i odgryzłem mały kawałek chleba.

Kiedy przeżuwałem, kawałki nasion pękły mi w ustach, uwalniając silny smak. I coś jeszcze. Wyprostowałem się i wciągnąłem głęboki oddech, delektując się nową siłą, która rozchodziła się po moich kończynach. Jednak przy kolejnym kęsie nie mogłem zapomnieć o faktach. Straciłem laskę i poniosłem porażkę. Co mogłem teraz zrobić - bez laski, bez czasu, bez skrzydeł - żeby polecieć na drugi koniec Fincayry? Moje niewidzące oczy zaszczyły łzami.

- Nie dam rady. Nie uda mi się!

Rhia odsunęła leżące na ziemi twarde kawałki ciasta i zbliżyła się do mnie. Delikatnie dotknęła amuletu z dębu, jesionu i głogu, który dostała od Elen.

- Dopóki mamy nadzieję, zawsze jest jakaś szansa.

- Właśnie o to chodzi! - Dźgnąłem powietrze pięścią, prawie uderzając w podstawę chlebowej fontanny. - Nie ma już nadziei.

W tej chwili coś ciepłego musnęło mi policzek. To był delikatny dotyk, łagodniejszy od pieszczoty. Lżejszy od powietrza.

- Nadal jest nadzieja, Emrysie Merlinie - wyszeptał mi do ucha znajomy głos. - Nadal masz nadzieję.

- Aylah! - Skoczyłem na nogi, unosząc ręce ku niebu. - To ty.

- Widzisz? - powiedział smutnym tonem Bambulo. - Biedny chłopak nie wytrzymał presji. Postradał zmysły. Teraz rozmawia z powietrzem.

- Nie z powietrzem, z wiatrem!

Oczy Rhii rozblęły.

- Chcesz powiedzieć... z wietrzną siostrą?

- Tak, Rhiannon. - W powietrzu uniósł się cichy śmiech podobny do szeptu. -

Przybyłam, żeby zabrać was wszystkich do Varigalu.

- Och, Aylo! - krzyknąłem. - Czy zanim się tam udamy, mogłabyś nas najpierw przenieść w jedno miejsce?

- Aby odszukać twoją łaskę, Emrysie Merlinie?

- Skąd wiedziałaś?

Tak jak tryskające spod ziemi źródółko, które wylewa się na glebę, słowa wietrznej siostry pojawiały się i rozchodziły w powietrzu.

- Nic nie ukryje się długo przed wiatrem. Ani sprytna dziewczynka, ani tajna jaskinia, w której składowe swoje skarby, ani jej marzenie, żeby pewnego dnia władać wielką magiczną mocą.

Krew zawrzała mi w żyłach.

- Uda nam się ją złapać, zanim dotrze do jaskini?

Nagły podmuch wiatru rozszedł się po błoniu.

Kapelusze, płaszcze i fartuchy zawisły nad ziemią, trzepocząc jak jesienne liście.

Nagle i moje buty znalazły się nad ziemią. Za chwilę Rhia, Bambulo i ja unieśliśmy się w powietrzu.

XXV

WSZYSTKIE GŁOSY

Kiedy unieśliśmy się nad błonie, kilkoro ludzi stojących przy fontannie krzyknęło ze strachu - ale nie tak głośno jak biedaczysko Bambulo. Jeżeli o mnie chodzi, wymachiwałem swobodnie nogami w powietrzu, podekscytowany możliwością lotu. Podobny dreszcz poczułem wcześniej tylko raz, kiedy

siedziałem wtulony w skrzydła na grzbiecie Kłopoty.

Jednak tym razem uczucie było jeszcze silniejsze, choć zarazem bardziej przerażające. Bo tym razem niosło mnie nie inne ciało, lecz sam wiatr.

Aylah bez trudu poprowadziła nas wyżej na fali powietrza. Kiedy budowle w kształcie bochenków w Slantos rozplynęły się we mgle, złocisty zbiornik chlebowej fontanny zrobił się jasnobrazy, potem brązowy, w końcu biały. Otuliły nas chmury i widzieliśmy już tylko siebie nawzajem. Słyszałem świst powietrza dokoła, choć nie był on zbyt głośny, bo podróżowaliśmy z wiatrem, a nie pod wiatr.

- Aylo! - krzyknąłem. - Czy uda ci się ją odnaleźć we mgle?

- Cierpliwości - odparła, a jej powietrzny głos dochodził zarówno z góry, jak z dołu.

Chmury zgęstniały, kiedy opadliśmy i poszybowaliśmy w prawo. Rhia odwróciła się do mnie, na jej twarzy zobaczyłem wzmagającą się ekscytację. Zdawało się, jakbyśmy unosili się na chmurach, na wyciągnięcie ręki od siebie, ale zarazem na tyle daleko, że mieliśmy zupełną swobodę. Tymczasem Bambulo wyglądał jak ostatnie nieszczęście. Jego twarz, ciągle ubrudzona ciastem, zieleniała przy każdym szarpnięciu.

Nagle, tuż pod nami, z mgły wyłoniła się jakaś postać. Nimue!

Szła szybkim, zdecydowanym krokiem po łące, a długie czarne włosy spadały jej na ramiona. W dłoni trzymała moją laskę. Wyobraziłem sobie, jak cmoka z zadowolenia. Bez wątplenia szykowała w myślach honorowe miejsce dla mojej laski w jaskini skarbów. Albo zastanawiała się, jak ujarzmić ukryte w niej moce i podporządkować je sobie. Na mojej twarzy pojawił się zacięty uśmiech, kiedy nadlatywaliśmy, rzucając na ziemię trzy upiorne cienie.

Nimue coś wyczuła i odwróciła się. Krzyknęła, kiedy zobaczyła, jak ja i moi towarzysze spadamy na nią jak grom z jasnego nieba. Zanim zdążyła się odwrócić i uciec, sięgnąłem do dołu i złapałem dłońmi sękaty czubek laski.

- Złodziej! - zawołała, chwytając mocniej swoją zdobycz.

Szarpaliśmy się, usiłując wyrwać sobie nawzajem laskę. Kiedy Aylah znów mnie uniosła, Nimue poleciała ze mną, wymachując nogami. Bolały mnie plecy i ramiona, ale nie puszczałem. Dziewczyną targał wiatr, miotając ją na wszystkie strony. Jednak ona też nie chciała puścić laski. Obniżyliśmy lot i zobaczyliśmy krzak jeżyn. Nimue przeleciała przez sam środek, a kolce podrapały jej nogi i porwały szatę. Nadal jednak nie puszczała zdobyczy.

Poczułem, jak laska wyslizguje się z moich spoconych dłoni. Od ciężaru Nimue bolały mnie barki i zaczynały mi drętwieć ręce. Przez cały czas Nimue szarpała się i wiała, usiłując ze wszelką cenę się uwolnić.

Skręciliśmy gwałtownie w lewo i skierowaliśmy się w stronę rumowiska poszarpanych skał. Nimue zobaczyła zbliżającą się przeszkodę i w ostatniej chwili puściła laskę, krzycząc przeraźliwie.

Upadła z głuchym uderzeniem na ziemię i wylądowała na plecach obok skał.

Zmęczony podciągnąłem laskę, ponownie przyglądając się znajomym symbolom. Para sokołów lśniła od mojego potu. Znów czułem, że niczego mi nie brakuje - odzyskałem laskę i nadzieję.

Mgła zgęstniała, a ja spojrzałem w dół na Nimue. Dziewczynka usiadła, a w jej oczach pojawił się wściekły błysk. Kopnęła ziemię jak dziecko, pomachała zaciśniętymi pięściami, przeklinając i dysząc zemstą. Robiła się coraz mniejsza, coraz mniejsza. Za chwilę zniknęła w całunie mgły, a jej wrzaski utonęły w świszczącym wietrze. Obróciłem laskę w obolałych dłoniach.

- Dziękuję ci, Aylo.

- Nie ma za co, Emrysie Merlinie. Ooo, tak.

Wiatr uniósł nas wyżej, aż mgła zaczęła się rozstępować, dzieląc się na białe fale, które szybowały w górę i opadały jak kłębiące się morze. Statki z mgły z wydętymi żaglami zadzierały dzioby i roztrzaskiwały się na spowitych oparami brzegach. Fale z chmur obmywały nas, ochlapwały, nieustannie się burząc. Odwróciłem się do Rhii, w której oczach było tyle radości ile w oczach Nimue gniewu.

- Nie pomyliłaś się co do niej. Nie wiem, jak to się stało, ale na początku mnie omamiła. Chciałbym mieć twoje... jak to nazwała moja matka?

- Jagody - odparła ze śmiechem Rhia. - Zwane również instynktem. - Pomachała rękami we mgle, rozkładając je jak skrzydła. - Ach, czy to nie jest wspaniałe? Czuję się taka wolna! Jakbym sama była wiatrem.

- Jesteś wiatrem, Rhiannon. - Otoczyły nas strzępiaste ręce Ayli. - Masz w sobie wszystko, co żywe. To właśnie jest instynkt, głosy żywych stworzeń, które w sobie słyszycie.

Patrzyłem na rozchodzące się chmury, a głos Ayli szeptał mi do ucha:

- Ty też masz instynkt, Emrysie Merlinie. Tylko nie przysłuchujesz mu się. Masz w sobie wszystkie głosy, stare i młode, mężczyzn i kobiet.

- Kobiet? Ja? - prychnąłem, stukając w miecz, podczas gdy powietrze świstało mi koło głowy. - Jestem chłopcem!

- Aaach, owszem, Emrysie Merlinie, jesteś chłopcem. I cóż to za wspaniałe uczucie być chłopcem! Być może pewnego dnia dowiesz się, że możesz być czymś więcej. Że możesz nie tylko mówić, ale również słuchać, nie tylko zbierać plony, ale również siać, nie tylko konstruować, ale również tworzyć. I wtedy odkryjesz, że drzenie motyli skrzydeł może być tak potężne jak trzęsienie, które porusza góry.

Zaledwie Aylah wypowiedziała te słowa, kiedy szarpnął nami gwałtowny podmuch.

Rhia i ja wpadliśmy na siebie, a Bambulo wrzasnął, wymachując rękami i nogami. Jego obwieszony

dzwoneczkami kapelusz wyleciał w powietrze i pewnie odfrunąłby, gdyby Rhia go nie złapała. Kiedy uchwyciła kapelusz, odlepiło się od niego kilka kawałków ciasta, przez co znów hałaśliwie zabrzączał.

Nagle wylecieliśmy z chmur. Zwinnie niczym sokoły wzniesiliśmy się ponad ich puszyste kontury. Daleko w dole Fincayra odsłaniała się teraz jak gobelin, mieniąc się bogactwem barw i niesamowitych wzorów. Oto spowite cieniem Mroczne Wzgórza, których łańcuchy górskie były poprzecinane gdzieniegdzie zagajnikami drzew albo stosami skał. Oto wijący się na południu rdzawoczerwony wąwóz Kanionu Orłów. A tam skropiona słońcem falująca połać Rdzawych Pól.

Pochyliłem się do przodu i rozłożyłem na dywanie z wiatru. Szybując głową naprzód, czułem się przez chwilę, jakbym znów był rybą i ślizgał się przez ocean powietrza, a nie wody. Niesiony niewidzialnymi prądami, frunałem w stanie nieważkości, leciałem przez coś, co było istotą mojego oddechu.

Na północy dostrzegłem powykrzywiane wybrzeże ciemnego półwyspu, aż rozplynał

się we mgle. Podo mną kręte rzeki skrzyły się, a wzgórza wynurzały. Za nimi dojrzałem ponury profil Jeziora Twarzy. Poczulem na plecach lodowaty dreszcz, kiedy przypominałem sobie wizję, którą zobaczyłem w mrocznych wodach, śmiertcionośne oko Balora.

Wtedy ponad szumem pędzącego powietrza usłyszałem cichutkie dudnienie.

Dochodziło od strony wznoszących się przed nami zaśnieżonych gór, których granie połyskiwały w popołudniowym słońcu.

Dudnienie robiło się coraz głośniejsze jak schodząca po stokach lawina. Jakby sam grzmot był częścią tej ziemi.

I tak właśnie było, gdyż przybyliśmy do krainy olbrzymów. Dudnienie się wzmogło, a Aylah postawiła nas na pagórku, na którym jeżyła się krótka trawa. Pagórek, który wyrastał

ze stromeego skalistego pasma, stanowił jeden z nielicznych skrawków zieleni w okolicy.

Ziemia pod nami i otaczające nas górskie ściany drżały od hałasu. Albo od tego, co wywoływało ten hałas.

Jak tylko stopy Bambula dotknęły podłoża, błazen podszedł chwiejnym krokiem do olbrzymiej sterty liści, gałęzi i paproci, które z jakiegoś powodu zebrano na pagórku.

Zajmowały one prawie połowę wolnego miejsca, wznosząc się jak góra chrustu. Upadł na stertę, wdrapał się wyżej, po czym położył się na plecach. Zawołał, przekrzykując dudnienie:

- Jeżeli mam zginąć podczas trzęsienia ziemi, to przynajmniej tam, gdzie jest miękko!

- Ułożył sobie pod głową połamane gałęzie. - Poza tym muszę się zająć trawieniem. I dojść do siebie po tym locie. - Zamknął oczy, sadowiąc się głębiej w paprociach. - Nie do pomyślenia! Otrzeć się o

śmierć dwa razy tego samego dnia. - Ziewnął, potrząsając dzwoneczkami. - Gdybym nie był takim optymistą, powiedziałbym, że przed zachodem słońca spotka mnie coś jeszcze gorszego.

Chwilę później zaczął chrapać.

- Życzę ci powodzenia, Emrysie Merlinie. - Głos odezwał mi się do ucha głośniejszym niż zazwyczaj ze względu na hałas. - Chciałabym zostać z tobą dłużej, ale muszę lecieć.

- Szkoda, że nie możesz mi towarzyszyć.

- Wiem, Emrysie Merlinie, wiem. - Ciepły oddech Ayli popieścił mi policzek. - Być może pewnego dnia znów się spotkamy.

- I znów polecimy? - Rhia uniosła ręce, jakby to były skrzydła. - Jak wiatr?

- Być może, Rhiannon. Być może.

Nagle zawiąło i wietrzna siostra zniknęła.

XXVI

SKAKANIE

Z doliny o stromych zboczach pod pagórką doszedł nas potężny łomot. Ziemia znów się zatrzęsła, przewracając mnie i Rhię. Pulchny drozd o fioletowych skrzydłach z białymi plamkami krzyknął i odleciał z miejsca w szczeciniastej trawie, gdzie wcześniej przysiadł. Podniosłem się i spojrzałem na Bambula, który nadal chrapał błogo na stercie liści i gałęzi. Nie miałem pojęcia, co mogłoby go obudzić.

Wraz z Rhią podpełzłem na czworakach na skraj pagórka. Wyjrzelśmy na dolinę pod nami. W tej chwili część skały nad doliną pękła, zachybotła się, po czym runęła w dół, wznecając kłęby gruzu i kurzu. W powietrzu rozległ się kolejny huk, a ziemia znów zatrzęsła się gwałtownie.

Potem, kiedy kurz opadł, dostrzegłem w dole pracujące postacie. Nawet z tej odległości olbrzymi byli gigantyczni. I niewiarygodnie silni. Niektórzy rozłupywali głazy młotami wielkości sosen, inni przynosili na środek doliny odłamki skał. Podniesienie nawet jednego takiego kamienia wymagałoby pięćdziesiątki mężczyzn i kobiet, podczas gdy olbrzymi przerzucali je jak snopy siana.

Nieopodal pracowali olbrzymi ociosujący i formujący szare i białe kamienie. Jeszcze inni układali z nich starannie wieże i mosty powstającego miasta. Czyli to jest Varigal!

Kamień po kamieniu odbudowywano zniszczone przez armię goblinów Stangmara najstarsze miasto Fincayry. Jego grubo ociosane mury i iglice były odzwierciedleniem otaczających dolinę urwisk i ośnieżonych wierzchołków.

Podczas pracy olbrzymi nucili coś basowymi głosami. Ich słowa odbijały się echem od urwisk, trzaskały i dudniły jak same kamienie.

Hy gododin catann hue

Hud a lledrith mai wyddan

Gaunce ae bellawn wen cabri

Varigal don Fincayra

Dravia, dravia Fincayra.

Hudya vardann tendal fe

Roe samenya, llaren kai

Hosh waundi na mai storro

Varigal don Fincayra

Dravia, dravia Fincayra.

Przypomniałem sobie, jak - zdawałoby się wieki temu - słyszałem te same głosy śpiewające *Lledrę* podczas Tańca Olbrzymów, który skończył się zburzeniem Spowitego Zamku. I przypomniałem sobie, jak Elen śpiewała mi tę samą pieśń, kiedy byłem niemowlęciem na jej rękach.

Mowa drzew i kroki kamieni,

Olbrzymi będą solą tej ziemi.

Dopóki o tańcu się nie zapomni,

Varigal stolicą będzie Fincayry.

Niech żyje, niech żyje Fincayra.

Olbrzym dyszy, zagrzmie burza,

Fale biją, rzeka się wzburza.

Na stokach śnieżnej krainy

Varigal stolicą będzie Fincayry.

Niech żyje, niech żyje Fincayra.

Bambulo zachrapał, przewracając się na łożu z konarów. Gałązka paproci zaplątała się w jego włosy i wyglądała, jakby wyrastała mu prosto z ucha. Po każdym jego oddechu dzwoneczki brzęczały jak garnek kamiaków. Jednak błazen spał jak zabity.

Odwróciłem się i przyjrzałem olbrzymce o niesfornych włosach, która przepychała barkiem kamienną wieżę na samym końcu doliny. Z tej odległości była podobna do olbrzymki, na której gigantycznym ciele wylądował na początku Wielkiej Rady orzeł.

Podejrzewałem, że gdzieś w dole pracuje również mój przyjaciel Shim. Albo, co było bardziej prawdopodobne, robi, co w jego mocy, żeby wymigać się od pracy. Choć bardzo chciałem się z nim spotkać, nie miałem czasu, żeby go szukać.

- A więc - odezwał się za naszymi plecami melodyjny głos - co was sprowadza do krainy olbrzymów?

Odwróciliśmy się. Na zaokrąglonym omszałym kamieniu - który zaledwie kilka sekund temu był pusty - siedziała wysoka blada kobieta. Jej złote włosy, długie prawie do kolan, otaczały ją niczym promienie światła. Miała na sobie prostą jasnoniebieską szatę, jednak nosiła ją jak elegancką suknię. Jej oczy lśniły nienaturalnie, jakby w duszy kobiety szalały płomienie.

Choć była czarująca, zachowałem czujność. Może nie mam instynktu Rhii, ale nie pozwolę, żeby powtórzyła się historia z Nimue. Sięgnąłem po leżącą w trawie laskę i przysunąłem ją do siebie.

Kobieta o jaskrawych oczach zaśmiała się łagodnie.

- Widzę, że mi nie ufasz.

Nadal siedząca na trawie Rhia wyprostowała się i przez chwilę przyglądała się twarzy kobiety. Potem wzięła oddech.

- Ja ci ufam. Przybyliśmy tu poznać sekrety Skakania.

O mało mi buty z nóg nie pospadały.

- Rhio! Ty jej w ogóle nie znasz!

- Wiem, że jej nie znam. A mimo to... znam. Mam ochotę... jak by to powiedzieć, zaufać jagodom. Jest w niej coś, co... przypomina mi gwiazdy, które świecą, kiedy noc jest najczarniejsza.

Kobieta podniosła się powoli, a jej włosy zafalowały wokół talii.

- To dlatego, droga dziewczynko, że jestem duchem gwiazdy. W rzeczy samej znasz mnie, bo jestem jedną z twoich konstelacji.

Pomimo trzęsącej się ziemi Rhia stanęła na nogi.

- Gwri - powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszałem wśród bezustannego hałasu. -

Jesteś Gwri o Złotych Włosach.

- Tak. I mieszkam na zachodnim krańcu nieba. Obserwowałam cię, Rhio, i ciebie, Merlinie, w tym

samym czasie, kiedy wy obserwowaliście mnie.

Również się podniosłem osłupiały. Wydawało mi się, że Rhia pokazała mi Gwri o Złotych Włosach dawno temu. Nauczyła inaczej patrzeć na gwiazdozbiory. Wychwytywać kształty nie tylko samych gwiazd, ale przestrzeni między nimi.

Rhia przeszła po trawiastym pagórku.

- Dlaczego przebyłaś tak daleką drogę?

Gwri znów się zaśmiała, jeszcze serdeczniej. Tym razem otoczył ją krąg złotego światła.

- Przybyłam pomóc olbrzymom odbudować ich prastarą stolicę. Ponieważ byłam tu wiele wieków temu, kiedy wznoszono Varigal. Stałam obok Dagdy, świecąc mu tej nocy, kiedy wyciosał z kamienia tych gór pierwszego olbrzyma.

- Przybywasz z tak daleka.

- Tak, Merlinie. Znalazłam się tu dzięki Skakaniu.

Nogi ugięły się pode mną, choć nie z powodu trzęsącej się ziemi.

- Dzięki Skakaniu? Czy... mogłabyś podzielić się ze mną tym, co muszę o tym wiedzieć?

- Znasz już duszę tej Pieśni - oznajmiła gwiazda. - Musisz ją tylko w sobie odnaleźć.

- Mamy tak mało czasu! Została tylko jedna kwadra księżyca. A moja matka... - Głos uwiązł mi w krtani i wydobył się z niej tylko szept. - Ona umrze. Przeze mnie.

Gwri przyjrzała mi się uważnie. Wydawało się, że wsłuchuje się w moje najskrytsze myśli, nie zważając na dudnienie dochodzące z doliny.

- Co takiego zrobiłeś?

- Odnalazłem mówiącą muszlę, której moc sprowadziła mnie tutaj.

Gwri przechyliła głowę i po ręce spłynęła jej kaskada włosów.

- Nie, Merlinie. Dobrze się zastanów.

Potarłem podbródek zdziwiony.

- Ale muszla...

- Zastanów się.

Dostrzegłem spojrzenie Rhii.

- Czyli to była moja moc. Nie muszli.

- Muszla potrzebowała twojej mocy - przytaknęła Gwri - żeby to zrobić. Twojej, jeszcze nieujarzmionej, mocy Skakania. Być może pewnego dnia zapanujesz nad tą mocą.

Wtedy będziesz mógł wysyłać ludzi albo przedmioty, albo sny. Będziesz mógł podróżować między światami albo nawet w czasie, kiedy tylko sobie zażyczysz.

- W czasie? - W moim umyśle skryzystalizowało się odległe wspomnienie. - Kiedy byłem bardzo mały, marzyłem o tym, żeby żyć wstecz. Naprawdę! Żeby móc przeżyć raz jeszcze ulubione chwile.

Na twarzy kobiety pojawił się powściągliwy uśmiech.

- Być może kiedyś zdobędziesz i tę umiejętność. Wtedy każdego dnia będziesz coraz młodszy, a wszyscy dokoła coraz starsi.

Choć pomysł ten wydał mi się intrygujący, pokręciłem głową.

- To tylko marzenie. Boję się, że nigdy niczego się nie nauczę. Wystarczy spojrzeć, jaką katastrofą skończyło się sprowadzenie mojej matki do Fincayry.

- Powiedz mi - poprosiła Gwri - jakie wnioski z tego wyciągnąłeś?

Ziemia znów się zatrzęsała. Z pobliskiego urwiska odpadły skały, które potoczyły się w dolinę, wznecając kłęby kurzu. Chwyciłem laskę dla równowagi.

- Że Skakanie, pewnie tak jak magia w ogóle, ma swoje ograniczenia.

- To prawda. Nawet wielki duch Dagda nie jest wszechmocny! Pomimo olbrzymiej wiedzy o potędze wszechświata nie potrafi on wskrzesić umarłego. - Gwri nagle zrobiła zboląłą minę, jakby przypomniała sobie coś, co stało się dawno temu. Po dłuższej przerwie znów się odezwała: - Czy nauczyłeś się czegoś jeszcze?

Zawahałem się i przesunąłem na trawie.

- Że trzeba dobrze się zastanowić przed sprowadzeniem kogoś albo czegoś do nowego miejsca, gdyż może to mieć nieoczekiwane konsekwencje. I to poważne.

- Dlaczego myślisz, że tak jest?

Ściskając sękaty wierzchołek laski, pograżyłem się w myślach. Wiatr gwizdał po grani, dmuchając mi w twarz.

- Bo wydarzenia się ze sobą łączą. Rzucając w złym miejscu kamień, można wywołać lawinę. *Tak naprawdę wszystko łączy się ze wszystkim.*

Gwri wybuchła śmiechem, a moja laska zapłonęła na niebiesko. Żółty krąg światła rozświetlił

kobietę, a na lasce pojawiła się gwiazda wewnątrz koła. Pogładziłem ją palcami.

- Wyciągnąłeś właściwe wnioski, Merlinie. Wszystko odgrywa jakąś rolę w wielkiej i wspaniałej pieśni gwiazd.

Przypomniałem sobie zdanie ze ścian Arbassy i przytaknąłem.

- Żałuję tylko, że nie umiem teraz skorzystać ze zdolności Skakania. Bo muszę szybko odnaleźć drogę do kryjówki smoka i nie mam pojęcia, gdzie jej szukać.

Gwri zwróciła się na wschód, a jej długie włosy falowały.

- Smok, którego szukasz, to ten sam smok, którego dawno temu uśpił magią twój dziadek Tuatha. Jednak nawet moce twojego dziadka nie były na tyle potężne, żeby oprzeć się Balorowi, strażnikowi Studni do Zaświata. Jeżeli przeżyjesz konfrontację ze smokiem i tam dotrzesz, to czy spodziewasz się, że pójdzie ci łatwiej?

- Nie. Ale chcę spróbować.

Gwri przyglądała mi się przez chwilę.

- Kryjówka smoka znajduje się w Zaginionych Ziemiach, zaraz za pobliską wodą. Tak się składa, że nieopodal jest Studnia do Zaświata - choć nie ma to dla ciebie znaczenia, gdyż i tak najpierw będziesz musiał się udać na Zapomnianą Wyspę.

Powiodłem palcem po nowym symbolu na lasce.

- Czy mogłabyś wysłać nas do kryjówki smoka?

Oczy Gwri zaświeciły jaśniej.

- Mogłabym, owszem. Ale wolę, żeby zrobił to ktoś inny. Ktoś, kogo znacie i kto może was tam zabrać nie wolniej niż ja.

Wymieniliśmy z Rhią zdziwione spojrzenia.

Gwiazda wskazała na ponurego błazna, który leżał na olbrzymiej stercie chrustu.

- Wasz śpiący przyjaciel.

- Bambulo? To chyba żart.

Rozbrzmiał śmiech Gwri.

- Nie on, choć śmiem twierdzić, że on was kiedyś zaskoczy. - Pokazała jeszcze raz. -

Miałam na myśli waszego przyjaciela, który śpi pod nim.

Zanim zdążyłem zapytać, co ma na myśli, Gwri rozbłysnęła, aż świeciła tak mocno, że nawet mój magiczny wzrok nie mógł znieść natężenia blasku. Musiałem się odwrócić, tak jak Rhia. Chwilę później światło gwałtownie zgasło. Kiedy się odwróciliśmy, nie widzieliśmy już Gwri o Złotych Włosach.

W tej samej chwili sterta chrustu poruszyła się.

XXVII

KOLEJNA PRZEŁĘCZ

Sterna chrustu przesunęła się gwałtownie na bok, wyrzucając śpiącego Bambula w powietrze. Jego dzwoneczki zabręczały jak kowalski młot. A jego wrzask, który bez trudu można było słyszeć ponad dobiegającym z doliny hałasem, zmieszał się z naszymi okrzykami zdziwienia.

Sterna chrustu wygięła się, odwróciła i usiadła, rozrzucając na wszystkie strony gałęzie i liście. Dwie olbrzymie ręce rozłożyły się, podczas gdy para włochatych stóp uwolniła się z płataniny. Uniosła się głowa o wielkich różowych oczach i przepastnych ziewających ustach.

Tuż pod oczami jak napęczniały kartofel sterczał olbrzymi nos.

- Shim! - zawołaliśmy ja i Rhia jednocześnie.

Olbrzym skończył ziewać i spojrzał na nas zaskoczony. Przetarł oczy i spojrzał jeszcze raz.

- Czy wy jest snem? Czy wy jest prawdziwi?

- Jesteśmy prawdziwi - oznajmiłem.

Shim zmarszczył podejrzliwie nos.

- Najpewniej, najzdecydowaniej, najstuprocentowiej?

- Najpewniej, najzdecydowaniej, najstuprocentowiej. - Rhia podeszła i poklepała go po większej od niej stopie. - Dobrze znów cię widzieć, Shimie.

Olbrzym uśmiechnął się szeroko, wyciągnął rękę i delikatnie zgarnął nas na swoją dłoń.

- Myśli, że ciągle śni! Ale to wy, naprawdę wy. - Przysunął nos i powąchał. - Pachnie chlebem. Najlepszym chlebem.

Przytaknąłem.

- To chleb z ambrozji. Ten sam, który jedliśmy tamtej nocy u Cairprégo. Pamiętasz, dobry Shimie? Szkoda, że nie przynieśliśmy ci więcej! Widzisz, spieszy nam się. Bardzo nam się spieszy.

Olbrzymi nos znów się zmarszczył.

- Dalej jest zupełnie oszalały?

- Można by tak powiedzieć.

- Od kiedy najpierwszej się spotkali, ty jest zupełnie oszalały! - Olbrzym zatrzęsł się od ogłuszającego śmiechu, kiwając się na trawiastym pagórku, aż do doliny spadło kilka odłamków skalnych. - Tamtego dnia prawie pokuśił nas tysiąc pszczoł.

- A ty utyłałeś się miodem jak ostatnie nieszczęście.

Rhia, która podniosła się na mięsistej dłoni na kolana, dodała:

- Byłeś tak mały, że wzięłam cię za krasnoluda.

Różowe oczy Shima zalśniły z dumy.

- Ja już nie jest mały.

Z doliny doszedł nas kolejny ogłuszający huk, od którego zatrzęsała się grań. Nawet potężna ręka Shima zakołysała się jak drzewo podczas wichury. Złapaliśmy się z Rhią jego kciuka dla równowagi.

Shim spowaźniał.

- Oni tam ciężko pracuje. Ja ma przynosić gałęzie, żeby ugotować kolację. - Nagle się zmieszał. - Ja tylko chciał poturlać się w gałęziach, potem się trochę zdrzemnął! Najkrócej się zdrzemnął.

- Bardzo nas to cieszy - odparłem. - Potrzebujemy twojej pomocy.

Spomiędzy gałęzi na przeciwległym końcu przesmyku doszedł nas długi zbolaty jęk.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, Shim sięgnął wolną dłonią i podniósł Bambula za jego ciężki płaszcz. Cały w zwisających paprociach i połamanych gałązkach, ze zmarszczoną aż po wielowarstwowy podbródek twarzą, ponury błazen wyglądał jak półżywy.

Rhia przyglądała się z troską wiszącemu błaznowi.

- Widziałeś, jak skoczył, kiedy Shim się obudził?

Uśmiechnąłem się do niej szyderczo.

- Może to właśnie tym miał nas, wedle słów Gwri, zaskoczyć.

- Ała - zajęczał Bambulo, trzymając się za głowę. - Moja głowa jest jak skała, która spadając, obija się o ścianę! Musiałem się sturlać z tej sterty...

Nagle uświadomił sobie, że olbrzym niesie go nad pagórkiem. Zaczął się szarpać, uderzając bezradnie w wielki kciuk, na którym wisiał jak na haku jego płaszcz.

- Pomooooocy! Zaraz mnie zjedzą!

Shim mruknął i pokręcił głową, patrząc na błazna, który wyglądał jak ostatnie nieszczęście.

- Ty nie jest bardzo smaczny, to widać na najpierwszy rzut oka. Za żadne skarby nie włożyłby cię do buzi.

Pomachałem do Bambula.

- Nie martw się. Ten olbrzym to nasz przyjaciel.

Kołyszący się Shimowi przed nosem Bambulo nadal szarpał się zaciekle.

- Taka tragedia! - zajęczał. - Mój humor i moja mądrość znikną na zawsze w gardle olbrzyma.

Shim upuścił go na wewnętrzną stronę dłoni. Bambulo zwałił się jak kłoda obok Rhii i mnie. Chciał się podnieść, zamachnął się na nos Shima, potknął się i znów padł jak długi na twarz.

Na twarzy olbrzyma pojawił się wielki uśmiech.

- Przynajmniej jest zabawny.

Bambulo, który znowu próbował wstać, zamarł.

- Mówisz serio? Na tyle zabawny, żeby cię rozśmieszyć?

- Aż tak zabawny to nie - zagrzmiął Shim głosem tak potężnym, że prawie nas zdmuchnął z krawędzi dłoni. - Na tyle, żeby się uśmiechnął.

Błazen w końcu się podniósł, usiłując utrzymać równowagę, wyprostował ramiona i wygładził płaszcz.

- Dobry olbrzym. Jesteś inteligentniejszy, niż mi się wydawało. - Ukłonił się niezgrabnie. - Jestem Bambulo Radosny, błazen na usługach...

- Niczyich - dodałem.

Zignorowałem jego spojrzenie i zwróciłem się do Shima:

- Tak jak mówiłem, potrzebujemy twojej pomocy. Musimy dotrzeć do kryjówki śpiącego smoka, tego, z którym dawno temu walczył Tuatha. Jest gdzieś za morzem.

Uśmiech olbrzyma zniknął, a wzmagający się wiatr zawył między skalnymi ścianami.

- To chyba jakiś największejszy żart.

- Obawiam się, że nie - powiedział Bambulo, znów w ponurym nastroju. - Możesz równie dobrze zjeść nas teraz, zanim zrobi to smok.

- Jeżeli to naprawdę śpiący smok - zapytała Rhia - to czy będzie groźny?

- Najgroźniejszy - zagrzmiał Shim, a cała jego sylwetka zachwiała się jak wielkie drzewo podczas burzy. - Po pierwsze smok jest najgłodniejszy, nawet kiedy śpi. A po ostatnie w każdej chwili może się obudzi. - Urwał i przechylił zamyślony wielką głowę. - Nikt nie wie, kiedy czar usypiający Tuathy będzie się skończyć i smok będzie się obudzić. Choć według legend stanie się to najmroczniejszego dnia w historii Fincayry.

- Czyli dzień jak co dzień - westchnął Bambulo.

- Cicho! - powiedziałem i spojrzałem do góry na Shima. - Zabierzesz nas tam?

- W porządku. Ale to oszalałość! Najpewniej, najzdecydowaniej, najstuprocentowiej. -

Olbrzym rozejrzał się po pagórku pełnym krzaków i zagryzł wielką wargę. - Ale najpierw musi zanieść te gałęzie do Varigalu.

- Błagam, nie - poprosiłem, po czym rozejrzałem się po popołudniowym niebie, obawiając się, że zobaczę wznoszący się rąbek księżycy. - Każda minuta się liczy, Shimie.

Nie mam już czasu.

- W sumie i tak się spóźni z tymi sterczącymi gałęziami.

- Czyli pomożesz nam?

W odpowiedzi Shim wstał i zrobił olbrzymi krok po szczycie grani. Zatrzęsło nami i przewróciliśmy się na jego dłoni. Nie mogliśmy się podnieść, ale w końcu nam się udało, choć tylko mnie i Rhii, bo Bambulowi wokół głowy i ramion ciasno zawinął się płaszcz.

Kiedy chciał się wyplątać, dzwoneczki jego kapelusza pozostały litościwie ciche.

Tymczasem ja i Rhia podczołgaliśmy się do krawędzi dłoni Shima i wyjrzelśmy przez przerwy między jego palcami. Olbrzym szedł, a wiatr dmuchał nam w twarze, kiedy patrzyliśmy na zmieniający się krajobraz. Kroki Shima były tak wielkie, że śpiewy olbrzymów i dudnienie ich robót wkrótce zupełnie ucichły. Shim przeszedł nad polami kamieni, jakby to były kamyki, miażdżąc stopami skalne krawędzie. Przełęcz górskie, przez które przeprawialibyśmy się wiele dni, on

pokonywał w kilka minut. Przekraczał ziejące przepaście z łatwością królika, który przeskakuje patyk.

Niedługo potem teren zaczął się wyrównywać. Na miejscu zadrzewionych stoków pojawiły się ośnieżone granie, a doliny rozszerzyły się w pola przyozdobione fioletowymi i żółtymi kwiatami. Shim zatrzymał się tylko raz, żeby podmuchać na gałęzie jabłoni, z której spadł na nas deszcz owoców. W odróżnieniu od Bambula, który nie odzyskał jeszcze apetytu, Rhia i ja jedliśmy jabłka z wielkim zapałem.

Shim pędził przed siebie tak szybko, że ledwie zdążyłem zauważyć rozciągającą się przede mną połać błękitu, kiedy jego lewa stopa wpadła z pluskiem do wody. Za chwilę brnął

już przez kanał, otoczony przez stado skrzeczących mew. Jego głos zagrział, strasząc ptaki:

- Pamięta, kiedy ty mnie nosi przez szalejącą rzekę.

- Zgadza się! - Chciałem przekrzywić wiatr i pisk mew. - Prąd był tak wartki, że musiałem cię przenieść na ramieniu.

- Teraz to by było najtrudniejsze! Najpewniej, najzdecydowaniej, najstuprocentowiej.

Skierowałem swój magiczny wzrok na drugą stronę kanału i dostrzegłem na horyzoncie linię czarnych wzgórz, poszarpaną jak rząd krzywych zębów. Zaginione Ziemie.

Przypomniałem sobie, że Cairpré opisywał ten teren jako niezbadany. Biorąc pod uwagę, że gdzieś na tych wzgórzach spał smok morderca, nie było w tym nic dziwnego. Sięgnąłem odruchowo do rękojeści miecza.

Chwilę później Shim wyszedł z kanału, a jego włochate stopy plasnęły o brzeg.

Postawił nas na szerokiej płaskiej skale. Nie było tu kwiatów ani traw. Nawet blask nadchodzącego zachodu słońca nie przyozdabiał krajobrazu łagodniejszymi barwami. Skąły pokrywał tylko połyskliwy czarny popiół, który ciągnął się aż do wzgórz w głębi łądu.

Pachniało zwęglonym drewnem, jakby było tu opuszczone palenisko.

Dotarło do mnie, że całe wybrzeże i wszystko, co na nim rosnęło, musiało spłonąć w strasznym pożarze. Nawet skały były popękane i odkształcone, wyprażone od wielu uderzeń żaru. Potem rozejrzałem się po nierównych wzgórzach i znalazłem jego źródło: cienki kłęb dymu wydobywał się z położonej niedaleko od brzegu jamy.

- Tam zmierzamy - oznajmiłem.

Shim pochylił zatroskaną twarz tak nisko, że prawie dotykał podbródkiem wierzchołka mojej łaski.

- Jest najpewniejszy? Nikt nie chodzi w odwiedziny do smoka najświadomiej.

- Jestem.

- Jest najgłupszejszy! Wie to?

- Wiem. Aż za dobrze, możesz mi wierzyć.

Wilgotne oczy olbrzyma zamrugały.

- W takim razie powodzenia. Tęskni za tobą. I za tobą też, najśłodsza Rhio. Ma nadzieję, że kiedyś jeszcze będzie się z wami przeprawiał.

Dzwoneczki Bambula zabrzęczały, kiedy pokręcił głową.

- Jeżeli tam jest kryjówka smoka, to chyba nie będzie żadnego kiedyś.

Shim wyprostował się. Popatrzył na nas przez chwilę, po czym odwrócił się i poszedł

prosto w kierunku kanału. Poświata zachodzącego słońca, która malowała niebo lawendą i różem, podświetliła kontur jego potężnych ramion i wielkiej głowy. Wysoko nad nim na niebie unosił się blady sierp księżyca.

XXVIII

ELIMINOWANIE

Zamiast pójść jeszcze tej nocy do jamy smoka, postanowiłem poczekać do świtu.

Kiedy inni spali niespokojnie na szerniałych skałach, ja siedziałem i rozmyślałem. Gdyż szósta lekcja, lekcja Eliminowania, mogła oznaczać tylko jedno.

Muszę zgładzić smoka.

Na samą myśl poczułem ucisk w żołądku. Jak jeden chłopiec, nawet uzbrojony w magiczny miecz, mógł dokonać czegoś takiego? Smoki, jak wiedziałem z opowieści matki, były niewiarygodnie potężne, niesamowicie szybkie i wyjątkowo przebiegłe. Przypomniałem sobie tę noc, kiedy opowiadała mi z twarzą rozświetloną ogniem w naszej ziemiance, jak jeden smok zabił tuzin olbrzymów jednym machnięciem ogona, a potem zionął na nich ogniem i usmażył ich na kolację.

Jak w takim razie miałem odnieść sukces? W odróżnieniu od czarodzieja Tuathy nie znałem magii, która mogłaby mi pomóc. Wiedziałem tylko, że nawet do śpiącego smoka niełatwo się będzie zbliżyć, a jeszcze trudniej będzie go zabić.

Kiedy pierwsze promienie słońca musnęły spalony brzeg, rozchodząc się po falach jak ogień, podniosłem się niechętnie. Miałem zimne dłonie, a w moim sercu również zapanował

chłód. Wyjąłem z kieszeni tuniki jabłko od Shima i ugryzłem je. Choć było kruche i soczyste, nie zwracałem uwagi na smak. Kiedy został tylko ogryzek, wyrzuciłem go.

Rhia podniosła się.

- W ogóle nie spałeś, prawda?

Spojrzałem na postrzępione wzgórza, teraz przyozdobione różem.

- Nie. I nawet nie udało mi się w tym czasie opracować żadnego planu. Jeżeli masz choć odrobinę rozsądku, powinnaś tu zostać. Jeżeli przeżyję, to wrócę po ciebie.

Rhia pokręciła głową tak zaciekle, że kilka wplątanych w jej brązowe loki liści spadło na ziemię.

- Myślałam, że już to omówiliśmy. Nad Jeziorem Twarzy.

- Ale tym razem ryzyko jest zbyt duże. Rhio, od Mrocznych Wzgórz ostrzegałaś mnie, że mogę zablądzić. Ale tak naprawdę zablądzić można na wiele sposobów. I tak właśnie czuję się teraz. - Odetchnąłem długo i powoli. - Nie rozumiesz? Tylko czarodziej, prawdziwy czarodziej, mógłby pokonać smoka! Nie wiem tak naprawdę, co stanowi o potędze czarodzieja - jego siła, zdolności, duch? Zdaniem Cairprégo wszystkie te cechy, ale nie tylko.

Tak czy inaczej, cokolwiek by to było, ja tego nie mam.

Rhia skrzywiła się.

- To nieprawda. Tak myślę ja i tak myśli twoja matka.

- Pomimo twojego instynktu tym razem się mylisz. - Zerknąłem na skulonego pod grubym płaszczem Bambula. - Czy powinienem dać mu taki sam wybór, jaki dałem tobie?

Tyczkowaty błazen niespodziewanie się odwrócił.

- Idę z tobą, jeżeli o to ci chodzi. - Rozłożył długie ręce. - Jeżeli kiedyś było ci trzeba mojego ciętego języka i optymizmu, to przede wszystkim teraz, kiedy idziesz na pewną śmierć.

Z miną godną ponuractwa Bambula odwróciłem się do wzgórz. Z klinowatej jamy między nimi wznosił się czarny słup dymu. Wił się ku niebu, szpecąc wschód słońca.

Zrobiłem krok w jego stronę. Potem kolejny. I jeszcze jeden. Z każdym krokiem koniec mojej laski stukał o skały jak zatraskujące się drzwi.

I tak ruszyłem po spalonych ziemiach z Rhią u boku i Bambulem niedaleko z tyłu.

Świadomi, że ostrożność to podstawa, skradaliśmy się jak lisy. Nikt się nie odzywał. Oparłem laskę na ramieniu, żeby nie stukała o skały. Błazen przytrzymał kapelusz, żeby stłumić brzęczenie dzwonek. Kiedy zbliżaliśmy się do dymiącej kotliny, mój niepokój nasilał się.

Nawet jeżeli smok miał się obudzić dopiero w sądnym dniu Fincayry, mój sądny dzień właśnie nadszedł.

Od strony płyt skalnych doszedł nas niski ryk. Głęboki, jakby wydały go basowe struny harfy tytanów. Miarowy jak oddychanie. Wiedziałem, że to chrapanie smoka.

Wzmagало się stopniowo, kiedy podchodziliśmy bliżej.

Powietrze zrobiło się gorące, nieznośnie gorące, a skały ustąpiły osmalonym wzgórzom. Krok za krokiem bezgłośnie zbliżaliśmy się do kolumny dymu. Tutaj skały były nie tylko wypalone przez płomień, ale również zmiążdżone i zdeformowane przez wielki ciężar, a głązy pokruszone, zleby wyrównane. Wszystko, co żywe, zostało zgładzone.

Wyliminowane.

Bojąc się oddychać, przeszliśmy nad stertą zmiążdżonych kamieni. Nagle Bambulo poślizgnął się i upadł. Ze sterty posypały się kamienie, uderzając o gruz na dole. Na huk nałożyło się hałaśliwe brzęczenie dzwoneczków, które rozeszło się po wzgórzach echem jak grzmot.

Spiorunowałem błazna wzrokiem i wyszeptałem:

- Zdejmij ten przeklęty kapelusz, niezdarny durniu! Obudzisz smoka, jeszcze zanim tam dojdziemy!

Bambulo skrzywił się niezadowolony. Niechętnie zdjął trójgraniasty kapelusz i wcisnął go pod płaszcz.

Zmierałem do kotliny o stromych ścianach, pocierając spoconą od upału brew.

Nawet przez trzewiki piekły mnie podeszwy stóp. Parne powietrze falowało jak woda, drżąc od chrapania. Wszystko cuchnęło zwęglonym drewnem. Z każdym krokiem skalne ściany zbliżały się do siebie, pogrążając mnie w mroku.

Nagle się zatrzymałem. Oto, częściowo ukryty w cieniu, leżał smok. Był nawet większy, niż się obawiałem, olbrzymi jak wzgórze. Jego zwinięte jak wielki wąż pokryte łuskami pancerza zielono-pomarańczowe cielsko mogłoby wypełnić Jezioro Twarzy. Głowę wsparł na przedniej lewej łapie, a z jego nozdrzy wydobywał się dym. Pod nosem miał rząd łusek tak szerniałych, że przypominały wielkie wąsy. Przy każdym wydechu odsłaniał rzędy ostrych zębów, przy każdym wdechu napinały mu się potężne mięśnie grzbietu i trzęsły złożone z tyłu skrzydła. Pazury, ostre jak mój miecz, ale dziesięciokrotnie od niego dłuższe, połyskiwały w blasku poranka. W połowie jednego pazura, niczym przesadnie wielki pierścień, tkwiła nabita czaszka, na tyle duża, że mogłaby należeć do Shima.

Pod pokrytym łuskami brzuchem skrzyły się i połyskiwały skarby. Korony i naszyjniki, miecze i tarcze, trąbki i flety - wszystkie wykonane ze złota albo srebra i wysadzone klejnotami. Wszędzie leżały porozrzucone rubiny, ametysty, jadeity, szmaragdy, szafiry i wielkie perły. Nigdy w życiu nie wyobrażałem sobie, że taki skarb w ogóle istnieje.

Jednak nie miałem ochoty go przeglądać, gdyż między klejnotami widziałem porozrzucone czaszki wszelakich rozmiarów i kształtów, niektóre lśniące bielą, inne osmalone.

Zakradłem się głębiej w kotlinę, a Rhia i Bambulo tuż za mną. Wzdrygnęliśmy się jak jeden mąż na dźwięk powolnego basowego oddechu smoka. Jego olbrzymie oczy pozostawały zamknięte, choć nie do końca, gdyż widać było tłące się żółte szczeliny. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że bestia pogrążona jest tylko w półśnie.

Wtedy szczęki smoka rozchyliły się nieznacznie. Z paszczy wyleciał cienki język płomieni, osmalając czarne skały i zabłąkane czaszki. Bambulo odskoczył do tyłu, upuszczając schowany za pazuchą kapelusz z dzwoneczkami, który upadł na skały z przeszywającym brzękiem.

Smok nagle prychnął i nieznacznie przesunął swoje gigantyczne cielsko. Powieki mu zadrżały, uchylając się nieco bardziej. Przestraszony Bambulo wciągnął głośno powietrze.

Nogi ugięły się pod nim. Widząc, że wygląda, jakby miał zaraz zemdleć, Rhia przytrzymała go za rękę.

Wtedy, z powolnym okrucieństwem, smok uniósł pazur z olbrzymią czaszką. Jak ktoś, kto szykuje się do zjedzenia rzadkiego przysmaku, przysunął ją sobie do nozdrzy, delektując się jej zapachem. Powieki mu zadrżały, ale się nie otworzyły, kiedy zionął płomieniami. Gdy czaszka była upieczona, purpurowe wargi smoka chwyciły ją i zerwały z pazura. W kotlinie rozległ się głośny chrzęst - olbrzymie zęby roztarły czaszkę na kawałki. Smok prychnął

dymem i zaczął znowu chrapać.

Cała nasza trójka zadrżała. Zerkając ponuro na Rhię, wręczyłem jej laskę. W tym samym czasie położyłem prawą dłoń na srebrnej rękojeści miecza. Powoli, niezwykle powoli, wyciągnąłem go z pochwy. Kiedy wychodził, klinga cicho zadźwięczała, jakby w oddali bił dzwon. Śpiący smok nagle wydał groźny pomruk i wypuścił z nozdrzy obłok gęstego dymu. Nadstawił spiczastych uszu, nasłuchując dzwonienia. Coś musiało się wydarzyć w jego śnie. Smok zamruczał wściekle, obnażył zęby i przeciął powietrze pazurami.

Znieruchomiałem jak statua. Ręka zaczęła mnie boleć od trzymania nad głową ciężkiego miecza, ale nie śmiałem jej opuścić, żeby nie hałasować. Kilka minut potem smok odprężył się nieco. Warczenie ucichło i pazury przestały się ruszać.

Ostrożnie, małymi kroczkami zakradłem się do skał. Smok był olbrzymi, każda jego łuska miała rozmiar mojego ciała. Pot szczypał mnie w oczy. Jeżeli będę miał tylko jedną okazję do zadania ciosu, to gdzie uderzyć? Łuski pancerza pokrywały tors, nogi, grzbiet, ogon i nawet pomarańczowe uszy.

Być może wystarczyłby cios w jedno zamknięte oko.

Podchodziłem coraz bliżej. Dym w powietrzu gryzł mnie w gardło, ale robiłem, co mogłem, żeby powstrzymać kaszel. Zacisnąłem dłoń na rękojeści.

Nagle ogon machnął jak potężny bat. Nie miałem nawet czasu się poruszyć, nie mówiąc o ucieczce. Kiedy ogon zupełnie się wyprostował, jeden z zadziarów na jego końcu owinał się mocno wokół

mojej piersi, uniemożliwiając mi oddychanie. W tej samej chwili drugi zadziór zawinał się wokół ręki, w której trzymałem miecz, tak więc w ogóle nie mogłem się już ruszyć.

Byłem zupełnie bezbronny.

Rhia wydała zdławiony okrzyk. Poczułem, jak smok znów się napina, ściskając mnie jeszcze mocniej. Jednak żółte szczeliny oczu się nie otworzyły. Wyglądało, jakby był

pograżony we śnie albo w półśnie. Sądząc po grymasie warg, ten niesłychanie realistyczny sen o połykaniu chłopca z mieczem sprawiał mu wielką przyjemność.

Magicznym wzrokiem wychwyciłem, że Rhia osunęła się na kolana. Bambulo ukląkł

niezdarnie obok niej. Jego głowa zwisała na wydatnych podbródkach.

Potem, ni stąd, ni zowąd, zaczął śpiewać. Szybko dotarło do mnie, że to pieśń żałobna, którą nucił basowym, jęklwym tonem. Choć wiłem się w uścisku smoka, jeszcze bardziej skręcałem się, słysząc słowa błazna:

Smok to się lubi żywić wszystkim,

A tym, co żywe, przede wszystkim,

To, co się wije i się szarpie,

W sam raz jest na smocze śniadanie.

O, smoku, jesz mi przyjaciela!

Szaszłyk z człowieka co niedziela.

Smok lubi chrupać sobie kości,

Uwielbia wrzaski, nigdy nie pości,

Gdyż ludzi połknął iście moc,

W żołądku trwa ich ostatnia noc.

O, smoku, jesz mi przyjaciela!

Szaszłyk z człowieka co niedziela.

Przyjaciel mój, co do paszczy zmierza,

Żegnać się z nikim nie zamierza,

Gdyż przetyk smoka tylko czeka,

Przed śmiercią nikt mu nie ucieka.

O, smoku, jesz mi przyjaciela!

Szaszłyk z człowieka co niedziela.

Jeszcze zanim Bambulo skończył, smok rozwarł szczęki. Patrzyłem oniemiały, jak odsłania rzędy nierównych, osmalonych płomieniami zębów. Ze wszystkich sił chciałem się wyrwać. Ale ogon ścisnął mnie jeszcze mocniej. Tymczasem szczęki rozwarły się szerzej.

Nagle z głębi rozwartej paszczy wydobył się szorstki, chrapliwy głos, który mógł być tylko jednym. Śmiechem. Gardłowym, donośnym śmiechem. Z paszczy wydobył się również kłęb dymu, aż powietrze dokoła zrobiło się czarne. Śmiech nie cichnął, rozchodząc się po węzowym ciele smoka, wstrząsając najpierw jego głową, potem szyją, gigantycznym brzuchem, a w końcu ogonem. Za chwilę cały potwór dygotał od rechotliwego śmiechu, kołyszając się nad stertą skarbów.

Ogon mnie wypuścił. Upadłem na ziemię bez tchu, oszołomiony, ale żywy. Szybko przepelzłem przez czarną chmurę, wlokąc za sobą miecz. Chwilę później podbiegła do mnie Rhia i pomogła mi wstać.

Kaszłąc od dymu, wyszliśmy chwiejnym krokiem z kotliny. Za nami chrapliwy śmiech smoka cichł. Po kilku sekundach znów usłyszeliśmy chrapanie. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem, jak w cieniu świecą szczeliny oczu potwora. Kiedy w końcu znaleźliśmy się daleko od smoczej jamy, padliśmy na ławę z czarnej skały. Rhia zarzuciła mi ręce na szyję. Jej uścisk tak się różnił od uścisku smoka!

Ja też ją wyściskałem. Potem odwróciłem się do Bambula i oznajmiłem chrapliwym głosem:

- Udało ci się. Rozśmieszyleś smoka.

Bambulo opuścił głowę.

- Wiem. To straszne, takie straszne. Jestem upokorzony. Załamany.

- O czym ty mówisz? - Potrząsnąłem go za ramiona. - Uratowałeś mi życie!

- Straszne - powtórzył ponury błazen. - Po prostu straszne. Kolejny raz sknociłem występ! Śpiewałem jedną z najsmutniejszych, najpoważniejszych pieśni, która powinna złamać każdemu serce. - Zagryzł wargę. - Tymczasem co się stało? Rozśmieszyło go to.

Rozbawiło. Kiedy chcę kogoś rozśmieszyć, to go zasmucam, a kiedy chcę zasmucić, rozśmieszam! Och, jestem beznadziejny. Kompletnie beznadziejny. - Westchnął ponuro. - A co gorsza, zgubiłem kapelusz. Mój kapelusz błazna! Czyli nie dość, że nie brzmiałem jak błazen, to teraz nawet na niego nie wyglądam.

Wymieniłem z Rhią rozbawione spojrzenia. Potem, nie ociągając się, ściągnąłem jeden trzewik.

Bambulo przyglądał mi się ponuro.

- Zraniłeś się w stopę?

- Nie. Muszę dotrzymać obietnicy.

Zatopiłem zęby w skórzanym języku buta. Oderwałem kawałek i przeżuwałem energicznie. Samo żucie nie zmiękczyło skóry, ale poczułem w ustach smak piachu, trawy i potu. Przełknąłem z wielkim trudem.

Bambulo nagle wciągnął powietrze. Wyprostował się nieznacznie. Jego zwisające podbródki uniosły się nieco. Nie uśmiechał się, nawet półgębkiem. Ale przynajmniej przez chwilę się nie smucił. Kiedy wgryzałem się ponownie, położył mi dłoń na plecach.

- Jeden gryz wystarczy. But może ci się jeszcze przydać. - Z krtani wydobył mu się dziwny, przytłumiony odgłos, prawie jak chichot. - Ja go naprawdę rozśmieszyłem. -

Zmarszczki wróciły. - Ale nie udałoby mi się tego powtórzyć. To był szczęśliwy traf.

Wsuwając but na stopę, pokręciłem głową.

- To nie był przypadek. Mógłbyś to zrobić jeszcze raz.

Wypinając pierś, Bambulo stanął przede mną.

- W takim razie kiedy wrócisz do tego zadymionego piekarnika, żeby zglądzić potwora, będę ci towarzyszył.

- Ja również - oznajmiła Rhia.

Popatrzyłem przez chwilę na ich wierne twarze, potem wsunąłem miecz z powrotem do pochwy.

- Nie będziecie musieli - powiedziałem i oparłem się o osmoloną skałę. - Nie zamierzam zglądzić smoka.

Oboje patrzyli na mnie. Unosząc laskę, Rhia zapytała:

- Przecież musisz to zrobić? Jak inaczej opanujesz pierwszą lekcję Eliminowania?

Sięgnąłem po sękatą gałąź cykuty i obracałem ją powoli w dłoni.

- Wydaje mi się, że już ją opanowałem.

- Co?

Przebiegając palcami po wierzchołku laski, zerknąłem w stronę ocienionej kryjówki.

- Kiedy smok się roześmiał, coś się ze mną stało.

- Zgadza się - potwierdził Bambulo. - Uwolniłeś się z uścisku ogona.

- Nie, mam na myśli coś innego. Słyszeliście, jak serdeczny i donośny był jego śmiech? Poczulem wtedy, że smok, choć krwiożerczy i bezwzględny, nie może być do cna zły. W przeciwnym wypadku... nie mógłby się tak śmiać.

Bambulo spojrzał na mnie, jakbym postradał zmysły.

- Założę się, że smok śmiał się tak za każdym razem, kiedy niszczył wioskę.

- Niewykluczone - przytaknąłem. - Ale kiedy usłyszałem jego śmiech, zrozumiałem, że smok nie różni się bardzo od ciebie i ode mnie. Że jest coś wart. Nawet jeżeli tego nie rozumiemy.

Rhia uśmiechnęła się lekko.

Jednak Bambulo zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z Eliminowaniem.

Podniosłem ubrudzoną sadzą prawą dłoń i dotknąłem powiek moich niewidzących oczu.

- Widzicie te oczy? Bezużyteczne. Na zawsze poranione, tak jak policzki. A wiecie dlaczego? Bo chciałem odebrać życie drugiemu chłopcu! Nie wiem, czy przeżył, choć w to wątpię. Chciałem go wyeliminować.

Czoło Bambula pozostawało zmarszczone.

- Nadal nie rozumiem.

- Chodzi właśnie o to. Eliminowanie bywa konieczne. Ale zawsze ma swoją cenę. Być może zapłaci ją twoje ciało. Albo dusza. Zawsze zapłacisz jakąś cenę. *Bo każde żywe stworzenie jest w jakimś sensie wartościowe.*

Trzon mojej laski zaskwierczał od eksplozji niebieskiego światła. Tam, gdzie przed chwilą było tylko nagie drewno, teraz pojawił się symbol smoczego ogona.

- Poznałeś Szóstą Pieśń! - wykrzyknęła Rhia. - Pozostała ci już tylko jedna, Pieśń Widzenia.

Stukając w czubek laski, przyjrzałem się wrytemu w okręgu nieopodal świecącej gwiazdy ogonowi smoka. Przeniosłem wzrok na wyzutą z życia połąć wybrzeża, szerniałą i wypaloną jak palenisko, popatrzyłem na granatowy kanał i wznoszące się po drugiej stronie odległe wierzchołki Varigalu.

- Może została tylko jedna Pieśń, ale mam też na to tylko kilka dni.

Bambulo zgarbił się.

- Nie więcej niż trzy, sądząc po księżycu zeszłej nocy.

- I musimy pokonać drogę na Zapomnianą Wyspę i z powrotem.

- To niemożliwe - oznajmił błazen. Pokręcił z powagą głową, aż przypomniał sobie, że już nie ma kapelusza z dzwoneczkami. - Merlinie, poszło ci tak wspaniale, że wprost trudno w to uwierzyć, i zaszedłeś tak daleko. Ale, tak jak i my, zobaczyłeś tę wyspę, kiedy byliśmy w krainie drzewołąków. Nikt nie pamięta, aby ktokolwiek kiedykolwiek udał się na Zapomnianą Wyspę. Jak chcesz tam trafić i potem wrócić, mając na to zaledwie trzy dni?

Spróbowałem wyobrazić sobie trasę, która nas czekała - przez wodę, nad szczytami, przez lasy i zaczarowane przeszkody, które chroniły Zapomnianą Wyspę. Całą szerokość Fincayry pełną niezliczonych niebezpieczeństw. Odwróciłem się ze smutkiem do Rhii.

- Obawiam się, że tym razem Bambulo ma rację. Nie mamy wiatru ani olbrzyma, którzy by nam pomogli.

Rhia tupnęła nogą o spaloną skałę.

- Ja się nie poddam. Zaszliśmy za daleko! Poznałeś sześć z siedmiu Pieśni. A ja znam położenie Studni do Zaświata.

Skoczyłem na nogi.

- Co znasz?

- Położenie Studni, której strzeże Balor. - Przebiegła dłonią po włosach, zawijając loki na palce. - Przekazała mi je Gwri o Złotych Włosach. Wysłała wizję prosto do mojego umysłu, kiedy powiedziała nam, że Studnia do Zaświata nie leży daleko od kryjówki smoka.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo mi zabroniła! Myślała, że będzie cię korciło, aby pominąć Zaginioną Wyspę.

Powoli usiadłem z powrotem na ławce z czarnej skały. Przysunąłem się do niej tak, że czubki naszych nosów prawie się stykały, i powiedziałem cicho, ale stanowczo:

- I tak właśnie zrobimy.

- Nie możesz! - zaprotestowała. - Musisz odnaleźć dar Widzenia, jeżeli chcesz mieć choćby najmniejszą szansę na pokonanie Balora. Nie pamiętasz słów, które przeczytałeś w Arbassie?

Uważaj jednak! Do Studni nie zerkaj

Bez Pieśni zbioru całego,

Gdyż groźba wielka może czyhać,

Oko Balora niecnego.

- Grozi ci niechybna śmierć, jeżeli podejmiesz walkę z Balorem bez wszystkich siedmiu Pieśni.

Poczułem ucisk w żołądku, kiedy przypomniałem sobie ostrzeżenie Tuathy.

Przestrzegaj moich zaleceń. Bez wszystkich siedmiu nie dość, że poniesiesz porażkę, ale stracisz życie.

Odchrząknąłem.

- Ale, Rhio, jeżeli nie opuszczę siódmej Pieśni, moją matkę czeka pewna śmierć! Czy ty tego nie widzisz? To nasza jedyna nadzieja. Nasza jedyna szansa.

Jej oczy zwęziły się.

- Jest coś jeszcze, prawda? Czuję to.

- Nie. Mylisz się.

- Boisz się czegoś, prawda?

- I znowu ten instykt! - Dłonie zacisnęły mi się w pięści. - Owszem, boję się. Boję się lekcji Widzenia. Przeraza mnie bardziej niż wszystkie inne razem wzięte. Nie wiem dlaczego, Rhio.

Pokręciła głową i oparła się plecami o spaloną skałę.

- W takim razie to, co cię czeka na Zaginionej Wyspie, jest ważne. Musisz udać się tam, Merlinie. Musisz to zrobić dla siebie i dla Elen! A oprócz tego jest też inny powód.

- Inny?

- Gwri powiedziała mi coś jeszcze. Powiedziała, że kiedy będziesz na Zapomnianej Wyspie, musisz znaleźć gałązkę jemioly. Musisz mieć ją na sobie przed wejściem do Studni do Zaświata. Pomoże ci ona przedostać się bezpiecznie do krainy Dagdy. Bez niej twoja wyprawa będzie dużo trudniejsza.

- Moja wyprawa nie może być trudniejsza, niż jest! Proszę cię, Rhio. Gałązka jemioly nie robi tu żadnej różnicy, a stracę tylko czas, którego i tak nie zostało dużo. Musisz mi pomóc. Wskaż mi drogę do Studni do Zaświata.

Potarła trzewikiem ze splecionych kawałków kory o szerniałą skałę.

- Jeżeli ci ją wskażę i wyjdiesz z tego żywy, czy możesz mi coś obiecać? - Jej oczy nagle zrobiły się wilgotne. - Nawet jeżeli mnie nie będzie i nie będę mogła przypilnować tego, czy dotrzymałeś danego słowa?

Przełknąłem ślinę.

- Oczywiście, że tak. A dlaczego miałoby cię nie być?

- Nieważne. - Zamrugła powiekami, żeby osuszyć oczy. - Obiecay mi, że jeżeli przeżyjesz, udasz się

pewnego dnia na Zapomnianą Wyspę i dowiesz się tego, czego masz się tam dowiedzieć.

- Obiecuję. I zabiorę cię ze sobą.

Wstała gwałtownie, przyglądając się ponurym graniom.

- W takim razie chodźmy. Czeka nas nie lada przeprawa.

CZEŚĆ TRZECIA

XXIX

OSTATNIA PODRÓŻ

Rhia bez słowa prowadziła nas coraz dalej na skalne pustkowia. Gdzieś wśród tych grani znajdowało się wejście do świata duchów - i ogr morderca, który go pilnował. Jeżeli jednak Balor naprawdę tu żył, to żył sam, gdyż nic innego tu nie oddychało ani nie rosło, ani się nie ruszało. Już Mroczne Wzgórza wydawały się, pomijając nieliczne drzewa, zupełnie martwe, ale te wzgórza były wrogię wszelkiemu życiu. Ogień smoka nie oszczędził żadnego drzewa czy choćby krzaka lub kępki mchu. Wszędzie spalenizna. Żałowałem, że nie mam na ramieniu Harfy Kwitnienia i nie mogę użyć jej magii, aby użyźnić te stoki przynajmniej kilkoma źdźbłami trawy.

Krajobraz wokół był całkowitym przeciwieństwem ojczyzny Rhii - bujnych łąk Lasu Druma. Niemniej dziewczynka pokonywała rumowiska spalonych skał z taką pewnością siebie i gracją, jakby przemierzała zagajniki wonnych paproci. Kierowała się na wschód, nie zbacając z drogi. Jeżeli trzymanie się trasy oznaczało konieczność wdrapania się po osuwisku albo przeskoczenia głębokiej szczeliny, to tamtędy nas prowadziła. Już od wielu godzin.

Podziwiałem wytrzymałość Rhii, ale jeszcze bardziej ceniłem inne jej cechy. To, że kochała życie i wszystkie żywe stworzenia, że była wierna ideałom wyniesionym z dzieciństwa, które spędziła na konarach wielkiego dębu. Miała w sobie cichą, smutną mądrość, która kojarzyła mi się z opowieściami o greckiej bogini Atenie. A jeszcze bardziej z moją matką.

Poczułem falę wdzięczności dla Rhii, że pozwoliła, by jej życie splotło się z moim tak mocno, jakby owinięły nas leśne pnącza jej stroju. Nauczyłem się doceniać zalety jej ubioru.

Obcisłego, lecz elastycznego splotu wokół łokci. Szerokich zielonych liści na ramionach.

Zawadiackich wzorów wzdłuż kołnierza.

Kiedy wędrowaliśmy przez opustoszałe granie, jej odzienie z pnączy dodawało mi otuchy, choćby odrobinę. Jego zieleń napełniała mnie nadzieją, że nawet najbardziej spustoszone ziemie można znów ożywić, że nawet największe błędy da się wybaczyć. W

pnączach, o czym Rhia dobrze wiedziała, kryła się zaskakująca prawda. Żadna czarodziejska moc, nawet niezwykle imponująca, nie mogła się równać z magią Natury. Jak inaczej bowiem nowe drzewo mogło wyrosnąć z martwej ziemi? I czy było możliwe, żebym także ja, tak jak każde żywe

stworzenie, mógł skorzystać z tej ozywającej na nowo magii?

Ponieważ łańcuchy górskie biegły równolegle do siebie na północ i południe, jeżeli nie chcieliśmy zbiec z drogi, nie mogliśmy skręcić w żadną dolinę. Wspinaliśmy się zatem po stromych stokach, by po ich drugiej stronie zejść w dół, po czym podejmowaliśmy kolejną wspinaczkę. Kiedy słońce było nisko na niebie za naszymi plecami, a szerniałe skały rzucały podłużne cienie, moje kolana i uda dygotały od wysiłku. Nawet laska mi nie pomagała. Z

ciągłego potykania się Bambula, często o rąbek własnego płaszcza, wywnioskowałem, że i on tracił siły.

Co gorsza, nie znaleźliśmy nigdzie ani kropli wody. Język wysechł mi na wiór. Być może po spożyciu kawałka buta byłem bardziej spragniony od reszty, ale na pewno niewiele bardziej. Po całym dniu marszu po skałach wszystkim nam chciało się pić.

Mimo to Rhia nie zwolniła. Choć nic nie mówiła, sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zdeterminowanej niż zwykle. Może mobilizowała ją świadomość uciekającego czasu. A może chodziło o coś innego, coś, o czym wiedziała tylko ona. W każdym razie ja byłem w kiepskim nastroju. Głos Tuathy nadal grzmiał mi w uszach, podsycając moje lęki tak samo, jak podsycił światło w otaczających grób niebieskich kamieniach. Choć czarodziej był

nieskończenie mądry i potężny, zabiło go śmiertelne spojrzenie Balora. A dlaczego? Z

powodu jego pychy. Czy ja również nie popełniłem tego samego błędu, wybierając się na spotkanie z Balorem, poznawszy zaledwie sześć Pieśni?

Tak - i nie. Moja pycha wywołała całe to zamieszanie. Jednak teraz za moimi czynami stała desperacja. I strach. Rhia miała rację, poczułem ulgę, kiedy uznałem, że nie muszę iść na Zaginioną Wyspę i stawić czoło temu, co składało się na Pieśń Widzenia. Ta Pieśń dręczyła mnie jak zły sen, tak straszny jak ten, w którym chciałem wydrapać sobie twarz na Rdzawych Polach. Wątpiłem, czy uda mi się znaleźć duszę Widzenia przy moich bezużytecznych oczach i ograniczeniach magicznego wzroku. W dodatku podejrzewałem, że aby widzieć rzeczywistość tak, jak postrzega ją czarodziej, potrzeba czegoś zupełnie innego, czego mi brakowało.

A to był zaledwie początek moich lęków. Bo jeżeli przepowiednia o tym, że Rhitę Gawra i jego sługę Balora może zabić tylko dziecko spłodzone przez człowieka, jest nieprawdziwa? Sam Tuatha to sugerował. *Przepowiednia może być prawdziwa, ale nie musi.*

Jednak nawet jeżeli miałyby się spełnić, to prawda nierzadko ma wiele twarzy. Cokolwiek znaczącyby przepowiednia, z pewnością nie mogłem na niej polegać. Smutna prawda była taka, że nie mogłem polegać nawet na sobie.

Ze stoku sturlała się skała i niewiele brakowało, a uderzyłaby mnie w stopę.

Podniosłem głowę i zobaczyłem, że Rhia znikła za krawędzią występu, który sterczał na grani jak wyrzeźbiony nos. Dziwne, pomyślałem. Byliśmy jeszcze tak daleko od wierzchołka, a ona

postanowiła przejść nad występem, zamiast go ominąć?

Zagadka rozwiązała się, kiedy zobaczyłem na skałach ślady wilgoci. Woda! Ale skąd?

Im wyżej się wspinałem na występ, tym więcej zacieków widziałem. W szczelinie między kamieniami zagnieździł się nawet wystrzępiony kawałek mchu, zielonego i żywego.

Kiedy w końcu dotarłem na szczyt, zamarłem. Niecałe dziesięć kroków ode mnie wypływało małe źródółko, tworząc zbiornik przejrzystej wody. Rhia już z niego piła.

Podbiegłem do niej i zatopiłem w wodzie całą twarz. Kiedy upiłem pierwszy łyk, poczułem łaskotanie w ustach. Po następnym łyku mój język ożył, podrażniony szczypiącym chłodem.

Tak jak Rhia piłem i piłem, napełniając się wodą. Bambulo również się położył obok źródła, by tak samo jak my ugasić pragnienie, siorbiąc i sapiąc.

Kiedy już nie mogłem więcej pić, odwróciłem się do Rhii. Siedziała z kolanami przy piersi i przyglądała się, jak zachodzące słońce maluje na zachodniej części nieba plamy czerwieni i purpury. Woda ściekała jej z włosów na ramiona. Wytarłem struzkę ze swojej brody i przysunąłem się do niej.

- Rhio, czy myślisz o Balorze?

Przytaknęła.

- Widziałem go w Jeziorze Twarzy - powiedziałem. - Zobaczyłem, jak mnie... zabija.

Zmusza, żebym spojrzał w jego oko.

Odwróciła się do mnie. Choć w jej włosach lśnił róż zachodu słońca, wzrok miała poważny.

- Ja też zobaczyłam w Jeziorze Twarzy Balora. - Chciała powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymała.

Poczułem ucisk w krtani.

- Czy... czy jesteśmy już blisko?

- Bardzo blisko.

- Powinniśmy ruszyć teraz i dotrzeć tam jeszcze tej nocy?

Bambulo, który układał kamienie, żeby położyć się obok źródółka, podskoczył.

- Nie!

Rhia westchnęła.

- Księżyc prawie zupełnie zniknął, a my musimy się wyspać. Właściwie możemy zostać tu na noc.

Pomacała szorstkie kontury spalonych skał, potem odnalazła moją dłoń i zahaczyła swój palec o mój.

- Merlinie, boję się.

- Ja też.

Powiodłem spojrzeniem za jej wzrokiem, na horyzont. Nad postrzępionymi wzgórzami niebo rozciągało się teraz czerwone jak krew.

- Kiedy byłem mały - powiedziałem cicho - czasami tak się bałem, że nie mogłem spać. I wtedy matka zawsze robiła to samo, żebym poczuł się lepiej. Opowiadała mi historię.

Palec Rhii mocniej ścisnął mój.

- Naprawdę? Co za wspaniały pomysł uśmierzyć lęki opowieściami. - Westchnęła. -

Czy takie rzeczy robią matki?

- Tak - odparłem cicho. - Przynajmniej takie jak ona.

Mieniąca się czerwienią zachodu słońca głowa dziewczynki opadła niżej.

- Żałuję, że nie poznałam... swojej matki. I że nie słyszałam żadnych jej opowieści, które teraz bym pamiętała.

- Przykro mi, że nie miałaś tej okazji, Rhio. - Chciałem przełknąć ślinę, ale nie mogłem. - Ale jest pewna rzecz, która jest prawie tak wspaniała jak słuchanie opowieści matki.

- Tak?

- Słuchanie opowieści przyjaciela.

Rhia uśmiechnęła się lekko.

- Mam na to wielką ochotę.

Zerknąłem na pierwszą gwiazdę, która zaśniła nad naszymi głowami. Potem odchrząknąłem i zacząłem opowieść:

- Dawno, dawno temu żyła pewna mądra i potężna bogini o imieniu Atena...

XXX

BALOR

Zapadła noc, zimna i mroczna. Choć po mojej opowieści Rhia zasnęła, ja leżałem z otwartymi oczami, przewracając się na skałach. Przez chwilę patrzyłem na zachodnią stronę nieba, wspominając Gwri o Złotych Włosach, ale przede wszystkim wpatrywałem się w upiorne resztki

ubywającego księżycyca nad naszymi głowami. Rano zostaną nam najwyżej dwa dni.

Przez noc dygotałem od chłodnego powietrza na wzgórzach bez drzew. Drżałem też na myśl o bezlitosnym oku, którego spojrzenie równało się śmierci. Prześladowało mnie to, co zobaczyłem w Jeziorze Twarzy. Kiedy momentami udało mi się zapaść w drzemkę, rzucałem się i wierciłem.

Obudziły mnie pierwsze promienie światła, które padły na skaliste zbocze. Świtu nie witały ćwierkające ptaki ani przemykające zwierzęta. Słysząc było tylko długie samotne porywy wiatru wyjącego między graniami. Przeciągnąłem się z trudem, a między łopatkami poczułem bolesne pulsowanie.

Nachyliłem się do przejrzystego, otoczonego pierścieniem lodu źródła i napiłem się ostatni raz.

Wyruszyliśmy zziębnięci, głodni i osowiali. Rhia maszerowała przez ostre skały, a jej buty z kory były czarne od sadzy. Bez słowa prowadziła nas w kierunku wschodu słońca.

Jednak żadne z nas nie zatrzymywało się, żeby podziwiać wstęgi pomarańcza i różu, które rozciągały się na horyzoncie. Pograżeni we własnych myślach, wędrowaliśmy w milczeniu.

Kilka razy poluzowane skały uciekły mi spod stóp i obsunąłem się do tyłu. Raz się przewróciłem i rozciąłem sobie kolano.

Późno tego ranka, kiedy dotarliśmy do szczytu kolejnego wzgórza, Rhia zwolniła.

Zatrzymała się i posłała mi zmartwione spojrzenie. Bez słowa wskazała ręką na kolejny łańcuch. Grań przecinał wielki żleb przypominający ślad po szczękach mitycznej bestii, która wpiła się zębami w skały i wyrwała je. Kiedy wpatrywałem się w żleb, czułem, jak on wpatruje się we mnie.

Zagryzłem wargę, pewien, że tam znajduje się Studnia do Zaświata. Dlaczego potężny Dagda nie zstąpił z niebios i nie zglądził Balora? Z pewnością jako najpotężniejszy z wojowników mógł uczynić to bez trudu. Być może Dagda był zajęty walką z samym Rhitą Gawrem. Albo może nie chciał, żeby śmiertelnicy wchodzili do Zaświata.

Przejąłem prowadzenie. Rhia trzymała się za mną tak blisko, że słyszałem jej podszyty niepokojem oddech. Kiedy zeszliśmy do kolejnej spalonej doliny, zacząłem się rozglądać, szukając śladów zieleni, śladów życia. Lecz nie było tu źródełek, szczelin nie wypełniał mech. Skały, tak samo jak moje nadzieje, pozostawały bez życia.

Powoli wspinaliśmy się ku wielkiemu żlebowi. Kiedy w końcu dotarliśmy na jego krawędź, Rhia złapała mnie za rękaw tuniki. Przez kilka sekund przyglądała mi się uważnie.

Potem wyszeptała pierwsze słowa tego dnia:

- Oko. Nie wolno ci spojrzeć w oko.

Ścisnąłem rękojeść miecza.

- Postaram się.

- Merlinie, załuję, że nie mamy więcej... czasu. Na wspólne spędzanie dni. Na dzielenie się tajemnicami.

Zmarszczyłem czoło, zastanawiając się, co ma na myśli. Ale nie był to odpowiedni moment, żeby to roztrząsać. Z zaciśniętymi zębami wręczyłem jej laskę. Potem pomaszerowałem w stronę żlebu.

Kiedy wkroczyłem między mroczne ściany skalne, które wznosiły się po obu stronach, poczułem, jakbym wchodził w otwartą paszczę potwora. Szczyty, powykrzywiane jak zęby smoka, sterczały z krawędzi urwisk. Lodowaty wiatr smagał mnie po twarzy, gwizdał mi w uszach. Kiedy wszedłem głębiej, powietrze zadrżało złowieszczo, jakby wstrząsane krokami, których nie widziałem ani nie słyszałem.

Nie znalazłem jednak nic więcej oprócz postrzępionych, lśniących w porannym świetle czarnych skał. Nie było Balora. Nie było schodów. Nie było śladu niczego żywego -

ani martwego.

Pomyślałem, że coś musiało mi umknąć, i zacząłem się odwracać, kiedy znienacka znów poczułem smagnięcie wiatru. Powietrze przede mną pociemniało, po czym zadrżało.

Tym razem rozeszło się jak niewidzialna zasłona. Znikąd pojawił się olbrzymi umięśniony wojownik, przynajmniej dwa razy większy ode mnie.

Balor! Górował nade mną i wydawał się potężny jak urwiska. Jego głęboki gniewny ryk rozszedł się echem po wielkim żlebie, a ciężkie buty tupnęły o skały. Powoli podniósł

lśniący miecz. Zanim skierowałem magiczny wzrok gdzie indziej, zdążyłem dostrzec rogi nad jego uszami i ciemną brew nad jednym wielkim okiem.

Muszę patrzeć gdzie indziej. Nie na jego głowę! Na miecz. Spróbuję patrzeć na miecz.

Ledwie zdążyłem skoncentrować się na szerokim lśniącym ostrzu, kiedy uderzyło w moją klingę. Ręka poleciała mi do tyłu od potężnego ciosu. Ku mojemu zdziwieniu ogr stęknął, jakby zaskoczyła go magia mojego miecza. Znów zaryczał, po czym zamachnął się z jeszcze większą siłą.

Odskoczyłem w chwili, kiedy ostrze uderzyło o skały w miejscu, gdzie stałem zaledwie przed ułamkiem sekundy. W powietrze wzbiły się iskry, przypalając mi tunikę. Nie dość, że ograniczał mi pole widzenia mój magiczny wzrok, to nie mogłem spojrzeć na swojego przeciwnika ze strachu, że zobaczę jego oko. Kiedy ogr uniósł rękę, żeby wykonać kolejny cios, wyprowadziłem pchnięcie. Ale on w porę się uchylił. Obracając się z niesamowitą prędkością, natarł prosto na mnie, tnąc powietrze mieczem.

Zaatakowany z zaskoczenia, cofnąłem się. Nagle zahaczyłem piętą o skałę.

Odskoczyłem do tyłu, starając się za wszelką cenę utrzymać równowagę, ale padłem jak długi. Balor

zaryczał mściwie i ruszył na mnie, unosząc wysoko miecz. Mogłem tylko uciekać wzrokiem, by nie spojrzeć w jego twarz, w jego oko.

W tej chwili z cienia wybiegła Rhia i rzuciła się na ogra. Skoczyła mu na nogę, czepiając się z całej siły jego uda. Chciał ją z siebie strząsnąć, ale ona nie puszczała. To odwróciło jego uwagę - zdążyłem przeturlać się na bok i skoczyć na nogi.

Zanim jednak zdołałem ponowić atak, Balor ryknął wściekle na Rhię. Złapał ją za rękę i zrzucił z siebie. Potem, znów rycząc, zamachnął się i cisnął ją głową o ścianę. Rhia uderzyła twarzą o skały. Zatoczyła się do tyłu, po czym osunęła się bezwładnie na ziemię.

Na ten widok niemal pękło mi serce. Wtedy z kryjówki wyłonił się Bambulo i podbiegł do Rhi, machając szaleńczo rękami. Wiedziony furją, natarłem na ogra, wymachując mieczem i przez cały czas unikając jego spojrzenia. Balor odsunął się jednak bez trudu. Jego pięść trafiła mnie w ramię i upadłem na ziemię. Miecz wypadł mi z dłoni i potoczył się z brzękiem po skałach. Zacząłem rozpaczliwie pełznąć po niego.

Wielki but kopnął mnie w tors. Wzleciałem w powietrze i wylądowałem z hukiem na plecach. Nieznośnie bolały mnie żebra. Wydawało mi się, że krawędzie urwiska kołyszają się i wirują dokoła.

Zanim zdążyłem się podnieść, olbrzymia ręka Balora zacisnęła się wokół mojego gardła, aż zacząłem się dusić. Potem uniósł mnie szarpnięciem wysoko. Zakręciło mi się w głowie. Wymachiwałem rękami i nogami, kołyszając się bezradnie. Ale on tylko ścisnął

mocniej, dławiąc mnie. Biłem go w rękę, rozpaczliwie łapiąc oddech.

Powoli mnie opuścił, aż nasze twarze prawie się dotknęły. Ścisnął mnie mocniej.

Ryknął, aż zabolowały mnie uszy. Wtedy, wiedziony urokiem, któremu nie umiałem się oprzeć, spojrzałem w jego mroczne oko. Wciągnęło mnie jak ruchome piaski.

Resztką sił usiłowałem się uwolnić. Ale nie mogłem się oprzeć oku. Wciągało mnie głębiej, wysysało ze mnie siłę. Pograżałem się w ciemnościach. Poczułem, jak opadam z sił.

Powinienem się poddać, zamiast się zmagać. Przestałem się szarpać, przestałem walczyć o oddech.

Nagle usłyszałem, jak Balor zaryczał z bólu. Puścił moje gardło. Upadłem na skały, dysząc i kaszląc. Powietrze znów napełniło mi płuca. Jeszcze przez chwilę miałem ciemność przed oczami, po czym odzyskałem wzrok.

Podniosłem się z trudem na łokciu i zobaczyłem, że Balor osuwa się na skały. Upadł z impetem ściętego drzewa. Z pleców wystawał mu miecz. Mój miecz. A za nim stała Rhia z zakrwawioną połówką twarzy. Miała dziwnie wygiętą szyję, jakby nie mogła jej wyprostować.

Potem pod nią też ugięły się nogi i upadła na ziemię obok powalonego ogra.

- Rhio! - zawołałem chrapliwie, czołgając się do niej.

Pojawił się Bambulo z miną bardziej ponurą niż zazwyczaj. Pomógł mi wstać, podpierając moje ramię. Kiedy podchodziłem do Rhii chwiejnym krokiem, usłyszałem jęk błazna.

- Mówiłem jej, że jak się poruszy, to zginie, ale mnie nie posłuchała.

Ukląknęłam przy jej boku. Delikatnie uniosłam jej głowę w swoich dłoniach i próbowałam wyprostować jej szyję. Nad uchem miała głęboką ranę. Krwawiła obficie, plamiąc i skały, i strój ze splecionych pnączy. Ostrożnie posypałam ranę ziołami z torby.

- Rhio. Pomogę ci.

Jej szaroniebieskie oczy otworzyły się.

- Merlinie - wyszeptała. - Tym razem... nie możesz... nic zrobić.

- Nie. - Pokręciłam energicznie głową. - Nic ci nie będzie.

Przełknęła z wysiłkiem.

- Nadszedł czas... mojej śmierci. Jestem tego pewna. Kiedy popatrzyłam... w Jezioro Twarzy... zobaczyłam, jak walczysz z Balorem... i przegrywasz. Ale... zobaczyłam też... jak jedno z nas umiera. To... nie byłeś... ty. To byłam... ja.

Trzymając ją, usiłowałam wzmocnić jej głowę i szyję. Oderwałam rąbek rękawa i przycisnąłam go jej do skóry, starając się wyleczyć ranę siłą umysłu, tak jak scalałam jej kość w Kanionie Orłów. Jednak wiedziałam, że te obrażenia były dużo poważniejsze niż złamana ręka. Nawet porwane pnącza jej stroju jakby blakły z każdą upływającą sekundą, a ich żywa zieleń pokryła się cieniem.

- Rhio, to nie musi się tak skończyć.

- O tak... musi. Nigdy ci nie mówiłam... ale przepowiedziano mi kiedyś... dawno temu... że zginę... ratując ci życie. Że jeżeli z tobą zostanę... to czeka mnie śmierć. Nie byłam pewna, czy w to wierzyć... aż do dzisiaj.

- Co za bzdury! - Skoncentrowałam się mocniej na jej ranach, ale krew nadal ciekła, nasączając ubranie i przepływając mi między palcami. - Co za głupiec mógł ci coś takiego powiedzieć?

- To nie był głupiec. To Arb... assa. Dlatego... nigdy... nie chciała cię wypuścić.

Skrzywiłam się.

- Nie możesz teraz umrzeć! Nie z powodu jakiejś idiotycznej przepowiedni! -

Pochyliłam się niżej. - Rhio, posłuchaj mnie. Te przepowiednie są bezwartościowe.

Bezwartościowe! Przepowiednia głosiła, że tylko dziecko zrodzone z człowieka może zabić Balora, zgadza się? I widziałaś, co się stało. Balor prawie mnie zjadł. Byłam bezbronny -

ja, dziecko zrodzone z człowieka! To ty go zabiłaś, nie ja.

- To dlatego, że... ja... we mnie też... płynie krew człowieka.

- Co? Jesteś mieszkanką Fincayry! Jesteś...

- Merlinie. - Powieki Rhii zdrząły, kiedy wiatr gwizdał wśród urwisk. - Jestem...
twoją siostrą.

Poczułem się, jakby but Balora raz jeszcze kopnął mnie w żebra.

- Kim?

- Twoją siostrą. - Rhia wciągnęła z trudem powietrze. - Elen to... także moja matka.

To był kolejny powód, dla którego... musiałam iść z tobą.

Uderzyłem pięścią w czarne skały.

- To nie może być prawda.

- To jest prawda - oznajmił Bambulo. Tyczkowata postać pochyliła się i uklękła obok mnie. - Kiedy Elen o Szafirowym Spojrzeniu urodziła cię na rozbitym statku gdzieś na naszym wybrzeżu, urodziła również, kilka minut później, córkę. Chłopca nazwała Emrys, a dziewczynkę Rhiannon. Wszyscy bardowie Fincayry znają tę historię.

Wiatr porwał jego ponure westchnienie.

- I również historię o tym, jak córka zaginęła, kiedy była niemowlęciem. Jej rodzice podróżowali przez Las Druma, kiedy zaatakowała ich szajka goblinów, żołnierzy Rhity Gawra. Rozpętała się zaciekle bitwa. Gobliny w końcu udało się rozproszyć. Ale w ferworze walki zagubiło się jedno z bliźniąt Elen, dziewczynka. Setki ludzi szukało jej tygodniami, bez skutku, aż w końcu nawet Elen zaniechała poszukiwań. Zrozpaczona modliła się tylko do Dagdy, żeby pewnego dnia jej córka się odnalazła.

- I tak się stało... - Przytaknęła z trudem Rhia. - Odnalazł mnie... drzewołak. Cwen. To ona... zaniósła mnie... do Arbassy.

- Moja siostra! - W niewidzących oczach wezbrały mi łzy. - Jesteś moją siostrą.

- Tak... Merlinie.

Gdyby wielkie urwiska zawaliły się i zmiażdżyły mnie, nie poczułbym silniejszego cierpienia. Odnalazłem swoją jedyną siostrę. A mimo to, tak jak stało się to już wiele razy wcześniej, miałem utracić to, co właśnie zyskałem.

Przypomniałem sobie, jak Tuatha ostrzegął mnie, że przepowiednia o dziecku zrodzonym z człowieka może mieć nieoczekiwany sens. *Przepowiednia może być prawdziwa, ale nie musi. Jednak nawet jeżeli miałyby się spełnić, to prawda nierzadko ma wiele twarzy.*

Skąd mogłem wiedzieć, że będzie miała twarz Rhii?

- Dlaczego - zapytałem łamiącym się głosem - wcześniej mi nie powiedziałaś?

- Nie chciałam... byś zmieniał... plany, żeby... mnie chronić. Ważne jest tylko... co zrobisz... ze swoim życiem.

- Twoje życie jest tak samo ważne!

Wyrzuciłem zakrwawioną szmatę i oderwałem nowy kawałek rękawa. Kiedy usiłowałem zatamować krwotok, przypomniałem sobie wieczór dawno temu w pełnym księżek pokoju Cairprégo. To dlatego tak dziwnie się wahał, czy opowiedzieć mi historię moich narodzin! Podejrzewałem wtedy, a teraz miałem pewność, że chciał wyjawić mi coś więcej. Że tej samej nocy urodziła się także moja siostra.

Trzymałem głowę Rhii na kolanach i czułem na ręku ciepło jej oddechu. Miała prawie zamknięte powieki. Cienie na jej ubraniu pogłębiły się. Po policzku spłynęła mi łza i powiedziałem:

- Gdybym tylko widział.

Jej powieki zatrzepotały.

- Widział? Czy mówisz o... swoich oczach?

- Nie, nie. - Patrzyłem na ściekającą z brązowych loków krew. - Nie chodzi o moje oczy. Chodzi o coś innego, coś, co w głębi duszy wiedziałem od zawsze. Że jesteś, no cóż, że jesteś kimś więcej niż tylko osobą spotkaną przypadkowo tamtego dnia w Lesie Druma. W

głębi duszy wiedziałem to od samego początku.

Wykrzywiła nieznacznie usta, jakby próbowała się uśmiechnąć.

- Nawet kiedy cię... powiesiłam... na drzewie?

- Nawet wtedy! Rhio, moje serce to widziało, ale moja głowa nie mogła tego pojąć.

Powinienem był zwracać większą uwagę na moje serce! Serce widzi rzeczy, których nie widzi oko.

Niebieskie światło błysnęło od strony skał, z miejsca, gdzie Rhia zostawiła moją laskę. Nawet bez patrzenia wiedziałem, że pojawił się na niej nowy symbol w kształcie oka.

Gdyż jakimś sposobem udało mi się odkryć esencję Widzenia. Jednak to, co zyskałem, blakło na tle mojej straty.

W tej samej chwili powietrze zaczęło drżeć nieopodal wyciągniętej ręki pokonanego ogra. Rozchyliła się niewidzialna zasłona, odsłaniając niski krąg gładkich białych kamieni.

Studnia. To nie były schody, które wiodły do góry, lecz głęboka studnia prowadząca w dół.

Zobaczyłem ją! I również po raz pierwszy zrozumiałem, że droga do Zaświata - do Nieba i również do Piekła - oznaczała podróż w dół, nie do góry. Na sam dół, do najgłębszych zakamarków, nie ku górze, do odległego wszechświata.

Owiał nas przenikliwy, wyjący wiatr. Rhia mówiła tak cicho, że prawie jej nie słyszałem:

- Będiesz... czarodziejem, Merlinie. I... to... dobrym.

Uniosłem jej głowę do swojej piersi.

- Nie umieraj, Rhio. Nie umieraj.

Zadrżała. Jej oczy w końcu się zamknęły.

Tuliłem ją mocno, cicho szlochając.

Wtedy, jak gdyby w moich ramionach świtał nowy dzień, wyczułem obecność czegoś, czego wcześniej nie zauważyłem. Czegoś wewnątrz ciała Rhii, jednak z nim nie tożsamego.

To coś przeleciało przez moje palce jak powiew światła. To był jej duch. Opuścił jej ciało i szykował się, żeby ulecieć. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Zawołałem do jej ducha.

- *Proszę cię, Rhio. Nie zostawiaj mnie. Jeszcze nie teraz.*

Przycisnąłem jej głowę do swojej piersi.

- *Chodź ze mną. Zostań ze mną. Choćby na chwilę.*

Zerknąłem na krąg białych kamieni - wejście do Zaświata. Drogę do Dagdy. Nawet jeżeli było za późno, żeby uratował Elen, to może - może - ocaliłby Rhię. A przynajmniej pobylibyśmy ze sobą trochę dłużej.

- *Chodź ze mną. Proszę.*

Wraz z głębokim oddechem wciągnąłem nie tylko powietrze. Kiedy wziąłem wddech, natchnęła mnie nowa, potężna istota. Tryskała życiem. Zdrowiem i siłą. To była Rhia.

Odwrociłem się do Bambula i zobaczyłem jego opadające policzki wilgotne od śladów łez.

- Pomożesz mi? - spytałem.

Spojrzał na mnie posępnym wzrokiem.

- Ona nie żyje.

- Nie żyje. - Poczulem w sobie nową siłę życia. - Ale nie odeszła, mój drogi błaznie.

Bambulo z wysiłkiem pomógł mi wstać. Na rękach trzymałem puste ciało Rhi; jej głowa zwisała bezwładnie.

- Teraz przynieś mi miecz. I laskę.

Kręcąc głową, posępny błazen wyciągnął miecz z cielska Balora. Oczyszczył ostrze butami. Potem wziął moją laskę leżącą na skałach. Wrócił do mnie, wsunął miecz do pochwy, a laskę wcisnął za mój przesiąknięty krwią pas.

Przyjrzał mi się ponuro.

- Dokąd ją zabierasz?

- Do Zaświata.

Uniósł brwi.

- W takim razie zaczekam tu na ciebie. Choć być może nigdy nie wrócisz.

Ruszyłem w stronę kręgu białych kamieni, lecz zatrzymałem się i jeszcze raz spojrzałem na błazna.

- Bambulo, jeżeli nie wrócę, chcę, żebyś coś wiedział.

Przyjrzał mi się z wieloma warstwami troski na twarzy.

- Co takiego?

- Jesteś beznadziejnym błaznem. Ale też wiernym przyjacielem.

Po tych słowach skierowałem się ku Studni. Ruszyłem szybkim krokiem po skałach, a ciężar na moich rękach dorównywał temu, które miałem na swoim sercu.

XXXI

WE MGŁĘ

Kiedy zajrzałem w Studnię do Zaświata, poczułem na twarzy powiew ciepłego powietrza. Ze środka kręgu prowadziły w dół spiralne schody zrobione z tego samego wypolerowanego białego kamienia co wejście. Nie potrafiłem stwierdzić, jak głęboko w dół

prowadzą, choć podejrzewałem, że bardzo głęboko.

Z bezwładnym ciałem Rhii na rękach wszedłem ostrożnie na pierwszy stopień.

Wzięłem głęboki oddech i zaczerpnąłem być może ostatni haust powietrza Fincayry, po czym ruszyłem w dół. Schodziłem, uważając, żeby się nie potknąć. Choć po pojedynku z Balorem bolały mnie żebra, gardło i ramiona, o wiele bardziej bolało mnie serce na myśl, że niosę ciało mojej przyjaciółki. Mojej siostry.

Kiedy zszedłem po ponad setce stopni, zauważyłem dwie zaskakujące rzeczy. Po pierwsze Studnia nie robiła się ciemniejsza. W zwykłej studni albo wydrążonym w ziemi tunelu byłoby ciemno, a tutaj światło nie słabło w miarę schodzenia. Właściwie było coraz jaśniej. Wkrótce białe kamienie schodów lśniły blaskiem pereł.

Po drugie spiralne zejście nie potrzebowało ścian. Schody otaczała wyłącznie kłębiąca się i mieniąca mgła. Im głębiej schodziłem, tym bardziej robiła się misterna i pogmatwana.

Czasami wiła się wokół moich nóg albo loków Rhii. Kiedy indziej gęstniała i zwijała się w dziwne kształty, których nie umiałem rozpoznać.

Mgła Studni przypominała mi mgłę otaczającą wybrzeże Fincayry. Była to nie tyle granica czy przeszkoda, ile żywa substancja poruszająca się we własnym tajemniczym rytmie.

Elen często mówiła o miejscach z pogranicza, jak Olimp, Y Wyddfa czy Fincayra. Miejscach niezupełnie z tego świata, ale też nie do końca z Zaświata, leżących na granicy. Podobnie mgła nie była ani powietrzem, ani wodą, lecz czymś pomiędzy.

I przypomniałem sobie ten dzień, kiedy leżałem na klepisku naszej chatki w Gwynedd, a ona opisała mi pierwszy raz Fincayrę. Nazwała ją cudownym miejscem. *Nie należy ani do Ziemi, ani do Nieba, to most łączący oba te światy.*

Kiedy schodziłem coraz niżej we mgłę, z każdym krokiem zbliżając się do Zaświata, zastanawiałem się, jaki to będzie świat. Jeżeli Fincayra istotnie była pomostem, to dokąd on prowadził? Żyły tu duchy, tyle wiedziałem. Potężne duchy, jak Dagda i Rhita Gawr. Ale co ze zwykłymi, spokojniejszymi duchami, jak mój dzielny przyjaciel Kłopot? Czy przebywały one w tej samej przestrzeni, czy gdzie indziej?

Kręcące się w nieskończoność schody wiodły mnie coraz niżej. Przyszło mi do głowy, że w tym świecie mogło nie być różnicy między dniem a nocą. Bez wschodu i zachodu słońca oraz wędrującego po niebie księżycy trudno określić porę dnia. Przypomniałem sobie, jak Elen opowiadała mi o dwóch rodzajach czasu: czasie historycznym, biegnącym po linii, po której wszystkie śmiertelne istoty wędrują przez życie, i czasie świętym, biegnącym po okręgu. Czy Zaświat mógł być miejscem czasu świętego? A jeżeli tak, to czy czas się tam zapętlał, kręcąc się w koło jak te spiralne schody?

Zatrzymałem się i postukałem butem o jeden ze schodków. Jeżeli w tym świecie płynął inny czas, to mogłem wrócić na powierzchnię - jeżeli w ogóle kiedyś mi się to uda -

zbyt późno, żeby uratować Elen! Mógłbym bez trudu spędzić tu ostatnie dwa dni, które mi pozostały, a potem miesiące, i nawet tego nie zauważyć. Wyprostowałem plecy, podnosząc Rhię wyżej na rękach. I jej ciało, i moja misja coraz bardziej mi ciążyły.

Musiałem jak najszybciej odnaleźć Dagdę. Oby tylko nic mnie nie opóźniło ani nie stanęło mi na drodze. Znów ruszyłem w dół.

W miarę jak schodziłem coraz głębiej do Studni, mgła zaczęła się zmieniać. Nie unosiła się już blisko schodów tak jak przy wejściu, lecz się odsunęła, odsłaniając kieszenie o zmieniających się bez przerwy kształtach. Kieszenie niedługo potem przeobraziły się w komory, a komory rozszerzały się i tworzyły wgłębienia. Z każdym moim krokiem w dół

mgliste przestrzenie robiły się coraz szersze, aż znalazłem się na środku niezwykle różnorodnego, nieustannie przekształcającego się krajobrazu.

Panorama mgły.

Dokoła wirowały strzępiaste smugi i kłębiaste wzgórza, rozległe przestrzenie i spiczaste wierzchołki uformowane z oparów. W pewnej chwili natrafiłem na kaniony wrzynające się w teren z chmur, które ciągnęły się dalej i głębiej, niż mogłem to sobie wyobrazić. W innych miejscach widziałem wznoszące się w oddali kontury gór, przesuwane się to wyżej, to niżej albo w obu kierunkach naraz. Widziałem mgliste doliny, stoki, urwiska i jaskinie. Porozrzucane po nich były - choć nie miałem co do tego pewności - ruchome kształty lub półkształty, pełzające, maszerujące bądź unoszące się. I przez cały czas mgła kłębiła się i wirowała, ciągle się przeobrażała i ciągle pozostawała taka sama.

Z czasem odkryłem, że same schody zmieniły postać. Nie były już twarde i wytrzymałe jak kamień, lecz zaczęły się marszczyć i falować wraz ze wszystkim dokoła.

Choć dało się po nich cały czas schodzić, tworzyła je ta sama ulotna tkanka, która składała się na krajobraz.

Wezbrał we mnie niepokój. To, co mnie otaczało, nie było wcale mgłą. To nie była substancja powstała z wody lub powietrza, lecz coś... innego. Budulcem tego czegoś było światło lub idee, lub uczucia. Ta mgła więcej odsłaniała, niż zakrywała. Potrzeba by życia wielu istnień, by zbadać jej prawdziwą naturę.

Czyli tak wyglądał Zaświat! Niekończące się warstwy przeobrażających się, wędrujących światów. Mogłem w nieskończoność wędrować w dół po schodach, bez końca przemieszczać się w bok po kłębach lub też podróżować przez wieczność w głąb samej mgły.

Była ponadczasowa. Bezgraniczna. Nieskończona.

Wtedy z płynnego krajobrazu wyłonił się jakiś kształt.

ZŁOTA GAŁĄŻ

Mały i szary kształt podniósł się z uformowanego z kłębow oparów wzgórza.

Patrzyłem, jak rozkłada skrzydła z mgły. Poszybował w moją stronę wraz z prądem powietrza, potem nagle zmienił kierunek, wzbijając się tak szybko, że prawie straciłem go z oczu. Skręcił gwałtownie i poleciał prosto w dół, po czym wykonał serię pętli i obrotów świadczących o ogromnej radości z latania.

Kłopot!

Na widok sokoła podskoczyło mi serce. Choć na rękach trzymałem Rhię, czułem na biodrze ciężar skórzanej torby. W niej, wraz z ziołami mojej matki, spoczywało pióro w brązowe paski ze skrzydła Kłopoty. Nic więcej nie zostało po jego walce z Rhitą Gawrem.

Nic oprócz jego ducha.

Wyłonił się ponownie z kłębiących się mgieł wprost na mnie. Usłyszałem jego pisk, jak zwykle zadziorny i pełen życia. Przyglądałem się, jak szybuje i ląduje. Potem poczułem powiew ciepłego powietrza, a szpony ptaka uchwyciły mnie za lewe ramię.

Kłopot zwinął skrzydła na grzbiecie i zaczął przechadzać się po moim ramieniu. Choć pióra z mgły zmieniły kolor z brązowego na srebrnoszary z pasmami bieli, wokół oczu nadal miał żółte obwódki. Przechylił głowę i zaskrzeczał z zadowolenia.

- Tak, Kłopotcie! Ja też się cieszę na twój widok. - Wtedy moja radość minęła i podniosłem bezwładne zakrwawione ciało, które miałem na rękach. - Szkoda, że Rhia nie mogła cię zobaczyć.

Sokół przeleciał z trzepotem nad kolano przyozdobionej liśćmi dziewczynki.

Przyglądał jej się przez chwilę, po czym wydał cichy i ponury świst. Pokręcił głową i wskoczył z powrotem na moje ramię.

- Niosę w sobie jej ducha, Kłopotcie. Mam nadzieję, że Dagda będzie mógł ją uratować. - Przełknąłem ślinę. - I moją matkę też.

Nagle sokół wydał głośny okrzyk. Jego szpony ścisnęły mi ramię, a mgła przede mną zaczęła się dziwnie kłębić.

- Oooooo - powiedział powoli, wręcz leniwie, głos dochodzący z oparów. - Jak miło, jak strasznie miło, że raczyłeś się pojawić.

Kłopot zagwizdał zaniepokojony.

- Kim jesteś? - zawołałem do chmury. - Pokaż się.

- To właśnie zamierzam zrobić, młodzieńcze, już za chwilę - rzekł głos i mgła przede mną zakręciła

się jak zupa w delikatnie mieszanym półmisku. - Mam również dla ciebie podarunek, strasznie cenny podarunek. Ooooo, tak.

Powolny, odprężony ton głosu trochę mnie uspokoił. Jednak zrodziło się gdzieś we mnie niejasne poczucie, które nakazywało mi szczególną ostrożność. Postanowiłem, że lepiej zgrzeszyć nadmiarem ostrożności. Poprawiłem ciało Rhii na rękach.

- Nie mam teraz czasu na uprzejmości. Jeżeli chcesz mi coś dać, to się pokaż.

- Ooooo, młodzieńcze. Taki niecierpliwy, tak strasznie niecierpliwy. - Mgła się zakotłowała. - Nie masz jednak powodu do obaw. Spełnię twoją prośbę już za chwilę.

Chciałbym być twoim przyjacielem.

W tym momencie Kłopot zagwizdał przenikliwie. Machnął mocno skrzydłami i wzniósł się z mojego ramienia. Zagwizdał znowu, okrążył mnie, po czym odleciał i zniknął w oparach mgły.

- Nie musisz się mnie bać - wymamrotał głos. - Choć twój przyjaciel wyraźnie się przestraszył.

- Kłopot niczego się nie boi.

- Oooooo, w takim razie musiałem się pomylić. Dlaczego twoim zdaniem odleciał?

Przełknąłem ślinę, wpatrując się w falującą mgłę.

- Nie wiem. Musiał mieć dobry powód - powiedziałem i odwróciłem się do miejsca, z którego wydobywał się głos. - Jeżeli chcesz być moim przyjacielem, to pokaż mi, kim jesteś.

Szybko. Spiesz mi się.

Mgła zbulgotała powoli.

- Oooooo, czyżbyś miał jakieś ważne spotkanie?

- Bardzo ważne.

- W takim razie to właśnie musisz zrobić. Oooooo, tak. - Głos był tak odprężony, że wręcz senny. - Jestem pewien, że znasz drogę.

Nie odpowiedziałem, tylko szukałem w kłębach mgły Kłopoty. Dokąd on poleciał?

Dopiero co się spotkaliśmy! Liczyłem na to, że mógłby mnie zaprowadzić do Dagdy.

- Bo jeżeli nie znasz - mówił dalej kojący głos - mój podarunek może ci się przydać. I to strasznie. Ooooo, oferuję ci swoje usługi przewodnika.

Podjrzliwość, jakiegokolwiek byłoby jej źródło, znów we mnie wezbrała. Z drugiej strony... być może

ta osoba, kiedy w końcu się ujawni, naprawdę mogłaby mnie poprowadzić przez skłębione chmury. Mógłbym w ten sposób zaoszczędzić cenny czas. Przesunąłem ciężar ciała na schodku z mgły.

- Zanim przyjmę twoją ofertę, muszę się dowiedzieć, kim jesteś.

- Za chwilę, młodzieńcze. Za chwilę. - Głos ziewnął, po czym odezwał się z łagodnością muskających mi policzki smug mgły: - Młodzi ludzie tak się spieszą, tak strasznie się spieszą.

Na przekór moim obawom w głosie było coś niezwykle odprężającego. Wręcz...

przyjemnego. Albo może to ja byłem zmęczony. Bolały mnie plecy. Miałem ochotę położyć gdzieś Rhię. Tylko na chwilę.

- Oooooo, niesiesz ciężkie brzemie, młodzieńcze. - Kolejne niesamowicie powolne ziewnięcie. - Czy pozwoliłbyś mi cię odciążyc choćby na chwilę?

Wbrew woli ziewnąłem.

- Nie trzeba, dziękuję. Ale jeżeli mógłbyś zaprowadzić mnie do Dagdy, to z chęcią skorzystam. - Zreflektowałem się. - Tylko najpierw pokaż mi, kim jesteś.

- Do Dagdy, tak? Oooooo, do wielkiego i wspaniałego Dagdy. Wojownika nad wojownikami. On mieszka daleko, strasznie daleko stąd. Mimo to z przyjemnością cię tam zaprowadzę.

Wyprostowałem zdrętwiałe plecy.

- Możemy już iść? Czas ucieka.

- Oooooo, za chwilę. - Wijące się macki mgły kołysały mi się przed twarzą. - Jaka szkoda, że nie możesz chwilę odsapnąć. Wyglądasz, jakby przydał ci się odpoczynek.

Z Rhią na rękach przykucnąłem i oparłem ją sobie o uda.

- Chętnie bym odpoczął. Ale muszę już iść.

- Jak sobie życzysz. Oooooo, tak. - Głos ziewnął wyjątkowo długo i sennie. -

Natychmiast wyruszamy. Za chwilę.

Pokręciłem głową, która była dziwnie mętna.

- Dobrze. A teraz... miałeś coś najpierw zrobić. Co to było? A tak. Pokaż się. Zanim za tobą pójde.

- Oczywiście, młodzieńcze. Jestem prawie gotów - westchnął powoli i sennie głos. -

Pomogę ci z przyjemnością, straszną przyjemnością.

Znów tknęła mnie podejrzliwość, ale ją zignorowałem. Przesunąłem rękę, którą podtrzymywałem uda

Rhii i oparłem dłoń o wilgotny stopień. Zastanowiłem się, jakie to byłoby uczucie usiąść na nim, choćby na chwilę. Z pewnością nie zaszkodziłoby chwilę odsapnąć.

- Zgadza się, młodzieńcze - zamruczał głos wyjątkowo kojącym tonem. - Musisz się odprężyć.

Odprężyć się, pomyślałem sennie. Muszę się odprężyć.

- Oooooo, tak - westchnął sennie głos. - Jesteś mądrym młodzieńcem. Znacznie mądrzejszym od ojca.

Przytaknąłem, na wpół otępiały. Ojca, mądrzejszym od...

Znów poczułem ukłucie podejrzliwości. Skąd on mógł znać mojego ojca?

Ponownie ziewnąłem. Dlaczego mam się teraz martwić ojcem? Nie było go nigdzie w Zaświecie. Trudno mi było zebrać myśli, jakby otaczająca mgła przedostała mi się przez uszy i zaćmiła umysł. Dlaczego tak się spieszyłem? Gdybym chwilę odpoczął, to może bym sobie przypomniał. Przykucnąłem na schodach i opuściłem głowę na pierś.

Raz jeszcze odezwał się we mnie podejrzliwy głos, tak cichy, że prawie go nie słyszałem. *Obudź się, Merlinie! To nie jest twój przyjaciel. Obudź się.* Starąłem się zignorować głos, ale nie mogłem. *Zaufaj swojemu instynktowi, Merlinie.*

Poruszyłem się i podniosłem nieco głowę. Ten wewnętrzny głos wydawał mi się znajomy. Jakbym go już kiedyś słyszał.

Zaufaj instynktowi, Merlinie. Zaufaj jagodom.

Obudziłem się gwałtownie. To był głos Rhii! Mądrość Rhii! Jej duch wyczuwał to, czego nie czułem ja. Otrząsałem mgłę z myśli. Zabrałem dłoń ze schodka i złapałem nią mocno nogi Rhii. Stęknąłem i powoli się podniosłem.

- Oooooo, młodzieńcze. - W sennym głosie pojawił się odcień niepokoju. - Myślałem, że sobie chwilę odpoczniesz.

Liście spoczywającej mi na rękach Rhii schły, ale ciągle były miękkie, a ja wziąłem głęboki oddech.

- Nie będę odpoczywał. Nie pozwolę, żebyś mnie uśpił czarem. Wiem, kim jesteś.

- Ooooo, czyżby?

- Owszem, Rhito Gawrze!

Mgła zaczęła się pienić niczym garnek, w którym wrze. Bulgotała i kłębiła się przede mną. Z wirujących oparów wyszedł mężczyzna, wysoki i barczysty jak Balor, w zwiewnej białej tunice i z cienkim naszyjnikiem lśniących czerwonych klejnotów. Jego włosy, tak czarne jak moje, były idealnie zaczesane. Nawet brwi miał wyjątkowo zadbane. Jednak to jego oczy zwróciły moją uwagę. Zdawały się zupełnie nieobecne, puste jak próżnia. Choć na wspomnienie zabójczego oka Balora

przeszedł mnie dreszcz, tych oczu bałem się bardziej.

Rhita Gawr podniósł dłoń do warg i polizał koniuszki palców.

- Mogłem przybrać dowolną postać. - W jego szorstkim, nieprzyjaznym głosie nie było już śladu po leniwym tonie. - Szczególnie lubię dzika z blizną na przedniej nodze. W

końcu wszyscy mamy blizny. - Wygładził brew wilgotnymi palcami. - Ale ty już widziałeś dzika, prawda? Kiedyś na wybrzeżu tej sterty skał, którą zwiesz Gwynedd. I drugi raz we śnie.

- Skąd... - Na czoło wystąpił mi pot na wspomnienie snu i klów, które wydłużały się, mierząc prosto w moje oczy. - Skąd to wiesz?

- Daj spokój. Z pewnością jako niedoszły czarodziej dowiedziałeś się czegoś o Skakaniu. - Polizał koniuszki palców, a jego usta wykrzywiły się pogardliwie. - Wysyłanie snów to jedna z moich nielicznych rozrywek, krótkie wytchnienie po ciężkiej pracy. -

Uśmiechnął się szerzej. - Choć jest pewna rzecz, która sprawia mi jeszcze więcej przyjemności. Wysyłanie cienia śmierci.

Zesztywniałem, ściskając martwe ciało Rhii.

- Jakim prawem uwziąłeś się na moją matkę?

Puste oczy Rhity Gawra zwróciły się do mnie.

- Jakim prawem sprowadziłeś ją na Fincayrę?

- Nie chciałem...

- Odrobina pychy. - Przebiegł dłonią po głowie, przyglądając włosy. - To była największa wada twojego ojca, tak samo jak twojego dziadka. Naprawdę spodziewałeś się, że będziesz inny?

Wyprostowałem się.

- Jestem inny.

- Znów pycha! Myślałem, że czegoś się nauczyłeś. - Biała tunika zatrzepotała, kiedy zbliżył się do mnie. - Pycha sprowadzi na ciebie śmierć, to jest pewne. Sprowadziła ją już na twoją matkę.

Zatoczyłem się i zrobiłem chwiejny krok na schodku z mgły.

- To dlatego przez cały czas mnie opóźniasz!

- Ależ oczywiście. - Polizał ostrożnie koniuszki palców, jeden po drugim. - A teraz, kiedy już wiesz, że nie udało ci się zapobiec jej śmierci - śmierci, którą sam na nią sprowadziłeś - wybawię cię od dalszej męki. Zabiję cię, tu i teraz.

Cofnąłem się o krok, starając się nie przewrócić.

Rhita Gawr zaśmiał się, gładząc drugą brew.

- Twój bohater, Dagda, tym razem nie pojawi się, żeby cię uratować, tak jak to zrobił

w Gwynedd. Nie ma również tego durnego ptaka, przez którego nierozważny atak nie udało mi się z tobą skończyć w Spowitym Zamku. Tym razem cię dopadłem.

Zrobił kolejny krok przez mgłę w moim kierunku. Jego olbrzymie dłonie napięły się, jakby szykowały się do zmiżdżenia mi czaszki.

- Abyś mógł ogarnąć ogrom swojej pychy, pozwól, że coś ci wytłumaczę. Gdybyś nie ominął żadnej ze swoich lekcji, wiedziałbyś, że tylko mając na sobie opończę z jemioly, przekłętą złotą gałąź, mógłbyś udać się prosto do Dagdy. Nie udałoby mi się ciebie zatrzymać.

Zbladłem, kiedy przypomniałem sobie prośbę Rhii, żebym wziął ze sobą do Zaświata jemiolę. A ja bez zastanowienia zignorowałem jej poradę!

I znów Rhita Gawr uśmiechnął się pogardliwie. Z jego głowy wyrosły ręce z mgły, które rzuciły się na mnie.

- Uwielbiam arogancję. To jedna z najbardziej rozbrajających cech ludzi. - Jego puste oczy się zwężyły. - To tyle na temat twoich lekcji. Teraz umrzesz.

W tej chwili z chmur wyleciał skrzydlaty kształt. Po nieustannie przeobrażającym się mglistym krajobrazie rozszedł się skrzek, a Kłopot poszybował prosto ku mnie. Za sobą ciągnął falującą złotą gałąź. Jemiolę. Rhita Gawr zaryczał wściekle i rzucił się na mnie.

Ułamek sekundy przed tym, jak mnie dopadł, złota gałąź upadła mi na ramiona jak płaszcz. Poczułem, że potężne dłonie zaciskają mi się na gardle. Ale nagle zamieniłem się w opary i rozpląnałem we mgle. Poczułem, jak chwyta mnie za ramię para szponów, i usłyszałem wściekły okrzyk Rhity Gawra:

- Znów udało ci się uciec, czarodziejski pomociu! Następnym razem nie będziesz miał tyle szczęścia.

XXXIII

CUDOWNE RZECZY

Moje ciało - skóra, kości i mięśnie - rozpląnęło się. Składałem się z powietrza, wody i światła. I czegoś jeszcze, gdyż byłem teraz częścią mgły.

Falując jak opary, rozpościerałem w przód swoje bezkresne ręce. Złota gałązka jemioly niosła mnie ukrytymi ścieżkami do domu Dagdy, a ja wirowałem i kołysałem się, przenikając się z powietrzem. Leciałem przez spiralne tunele i kręte korytarze. I choć ich nie widziałem, wyczuwałem, że Kłopot i Rhia towarzyszą mi.

Zbyt wiele razy, by można było to zliczyć, widywałem wśród oparów inne krajobrazy i stworzenia. W każdej części mgły tkwiła bezgraniczna różnorodność. Światy wewnątrz światów, poziomy wewnątrz poziomów, życia wewnątrz żyć! Zaświat w całym swoim ogromie, w całej swojej złożoności wzywał mnie.

Jednak nie miałem czasu, żeby go zbadać. Życie Elen, jak również Rhii, wisiało na włosku. Być może przez własną kolosalną głupotę straciłem szansę, żeby je ocalić. Mimo to, jak powiedziała Rhia, kiedy moja laska zniknęła w Slantos: *Dopóki mamy nadzieję, zawsze jest jakaś szansa*. I ciągle miałem nadzieję, choć była równie ulotna jak kotłujące się chmury.

Moje myśli, skłębione niczym mgła, zwróciły się ku Dagdzie. Poczułem lęk przed spotkaniem z najpotężniejszym z duchów. Spodziewałem się surowej oceny wielu moich błędów, lecz czy mógł odmówić udzielenia mi pomocy? Być może uratowanie życia mojej matki zakłóciłoby delikatną równowagę kosmiczną, którą tylko on pojmował. Być może nie będzie miał czasu, żeby mnie przyjąć. Być może go nie zastanę, bo kiedy dotrę do jego królestwa, gdzieś daleko, w tym mglistym świecie albo innym, będzie walczył z siłami Rhity Gawra.

Ciekawiło mnie, jak wygląda ten potężny duch. Z pewnością, tak jak Rhita Gawr, może on przybrać dowolną postać. Tamtego dnia, kiedy fale wyrzuciły mnie na brzeg Gwynedd, przyjął formę jelenia. Potężnego, olbrzymiego, z majestatycznym porożem. Jednak największe wrażenie zrobiły na mnie jego oczy. Ich brązowa nieruchoma otchłań wydawała się głęboka i tajemnicza jak ocean.

Wiedziałem, że bez względu na to, jaką postać przybierze Dagda, będzie tak potężna i imponująca jak on sam. Być może będzie to jelen w ludzkiej postaci. Jak go nazwał Rhita Gawr? *Wielki i wspaniały Dagda. Wojownik nad wojownikami*.

Jak chmura, która natrafiła na swojej drodze na kotlinę, stopniowo zwalniałem, aż zupełnie się zatrzymałem. Wtedy, na początku niepostrzeżenie, mgła dokoła mnie zaczęła się rozpraszać. Powoli, bardzo powoli, rzedła i rozpływała się, rozchodziła jak eteryczny welon.

Stopniowo zza zasłony zaczął się wyłaniać zarys wysokiej, potężnej postaci. Zawisła przede mną, mroczna i złowieszcza.

Nagle resztki mgły rozproszyły się. Uświadomiłem sobie, że mroczna postać to w istocie gigantyczne, pokryte rosą drzewo. Stało wysokie i mocarne jak Arbassa, z jedną zdecydowaną różnicą.

Drzewo rosło do góry nogami. Jego potężne korzenie sięgały wzwyż, znikając w splątanych smugach mgły. Zawijały się majestatycznie wokół chmur, jakby obejmowały cały świat na górze. Z tych wznoszących się korzeni zwisały niezliczone gałązki jemioly, które kołysały się z gracją. Na dole, u podnóża pnia, grube gałęzie rozpościerały się szeroko po równinie w kotłujących się oparach. Całe drzewo, pokryte tysiącami tysięcy kropli rosy, skrzyło się jak powierzchnia pląsającego strumyka.

Byłem tak zafascynowany tym widokiem, że dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że ja również stoję na tej zamglonej równinie. Moje ciało wróciło! Rhia zwisała mi na rękach, a Kłopot wydawał prosto do mojego ucha ciche, bulgotliwe odgłosy. Na ramionach miałem gałązkę jemioly, taką samą jak te, które dyndały nade mną. Miecz wisiał u mojego boku, a za pasem miałem ciągle laskę. Spojrzałem w

obwiedzione na żółto oczy Kłopoty.

- Dziękuję, przyjacielu. Znow mnie uratowałeś.

Sokół wydał piskliwy, wręcz zakłopotany świst i zatrzepotał szarymi skrzydłami.

- Witaj przy Drzewie Duszy.

Odwrociłem się i zobaczyłem, skąd dochodzi cichy, łamiący się głos. Słowa wypowiedział słabowity starzec, którego prawa ręka wisiała bezwładnie u boku. Choć siedział na podłożu z mgły, opierając się o gałęzie, był tak mały i niepozorny, że wcześniej w ogóle nie zwróciłem na niego uwagi. Jego siwe włosy połyskiwały jak pokryta rosą kora.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję - powiedziałem chłodno, nie chcąc znów dać się nabrać.

Lecz gonił mnie czas i nie miałem innego wyjścia, jak przejść od razu do sedna sprawy. -

Szukam Dagdy.

Szpony Kłopoty ścisnęły mnie za ramię. Zaskrzeczał na mnie z wyrzutem.

Starzec uśmiechnął się łagodnie, a na jego twarzy pojawiły się delikatne zmarszczki.

Położył sobie kaleką rękę na kolanach i przyjrzał mi się z uwagą.

Nagle dostrzegłem jego oczy. Brązowe studnie pełne współczucia, mądrości i smutku.

Już je kiedyś widziałem. U wielkiego jelenia.

- Dagda. - Zagryzłem wargę, przyglądając się słabowitemu człowieczkowi. -

Przepraszam, że cię nie poznałem.

Uśmiech starca zniknął.

- Poznałeś mnie, z czasem. Tak samo jak z czasem poznasz prawdziwe źródło mojej mocy. Może już je znasz?

Zawahałem się, nic nie przychodziło mi do głowy.

- Obawiam się, że nic nie wiem o prawdziwym źródle twojej mocy. Ale wiem, że korzystasz z niej, aby pomagać żywym istotom iść swoją drogą, jakakolwiek by ona była.

Dlatego pomogłeś mi tamtego dnia na wybrzeżu.

- Bardzo dobrze, Merlinie, bardzo dobrze. - Jego brązowe oczy zaskrzyły się z zadowolenia i mignęła w nich irytacja. - Mimo że chciałeś ominąć jedną z Pieśni.

Przestąpiłem nerwowo z nogi na nogę.

Dagda przyjrzał mi się, jakby zaglądał do zakamarków mojej duszy.

- Nosisz ciężkie brzemie i nie mam na myśli tylko przyjaciółki, którą trzymasz na rękach. Tutaj. Połóż ją obok mnie.

- Czy możesz... możesz jej pomóc?

- Zobaczymy. - Jego pokryte siatką zmarszczek czoło jeszcze bardziej się pomarszczyło. - Opowiedz mi o Pieśniach, Merlinie. Gdzie leży dusza każdej z nich?

- A co z moją matką? Nie zostało jej już wiele czasu.

- Ona również musi zaczekać.

Nachyliłem się nad spowitą oparami mgły ziemią i delikatnie położyłem ciało mojej siostry obok Dagdy. Kłęby mgły wiły się wokół jej ramion i na piersi, zakrywając dziewczynkę niczym eteryczna kołdra. Dagda spojrział na nią z wielkim smutkiem, po czym przeniósł wzrok na mnie.

- Po pierwsze pokaż mi swoją laskę.

Kłopot cmoknął z podziwu, kiedy wyciągnąłem laskę z za pasa. Pokazałem sękaty koniec Dagdzie, powoli ją obracając. Lśniły przed nami wszystkie symbole, ciemnoniebieskie jak zmierzch. Motyl symbolizujący przemianę. Para sokołów złączonych ze sobą w locie.

Pęknięty kamień przypominający mi o próbie uwięzienia świetlnego latacza. Miecz, którego imię było mi dobrze znane. Gwiazda w okręgu przywodząca na myśl promienny śmiech Gwri o Złotych Włosach. Ogon smoka, który kojarzył mi się ze smakiem skóry ubrudzonej ziemią.

I na końcu oko, tak inne od oka Balora, jednak na swój sposób równie przerażające.

- Widzę, że nosisz teraz miecz. - Dagda skinął głową na moją broń.

Poklepałem srebrną rękojeść.

- Strzeż go dobrze, gdyż przeznaczeniem tego miecza jest służyć ci do czasu, gdy umieścisz go w pochwie z kamienia. Wtedy stanie się on własnością innego chłopca, który nie będzie starszy, niż ty jesteś teraz. Chłopca, którego przeznaczeniem będzie zostać królem i którego rządy pozostawią ślad dużo mocniejszy w sercach ludzi niż na ziemi.

- Będę go dobrze pilnował.

- Powiedz mi teraz, synu, jakie melodie usłyszałeś w Siedmiu Pieśniach. Zaczynj od pierwszej, Pieśni Przemiany.

Odchrząknąłem.

- Dowiedziałem się od motyla - i od drzewołaka, zdrajczynie, która odpokutowała za swoje czyny - że my wszyscy, wszystkie żywe stworzenia, mamy w sobie potencjał, żeby się zmienić.

Starzec przyglądał mi się uważnie.

- To nie przypadek, że to była pierwsza Pieśń, Merlinie. Myślę, że od dłuższego czasu słyszałeś jej strzępki.

- Owszem. - Popatrzyłem przez chwilę na zroszone gałęzie. - Rozumiem teraz, dlaczego Grecy nazywali motyla i duszę tym samym słowem.

- Dobrze. Teraz opowiedz mi o Wiązaniu.

Zerknąłem na twarz Rhii, bladą i nieruchomą.

- Najsilniejsze więzy to więzy serca. Dowiedziałem się tego od pary szybujących razem sokołów.

Kłopot zaczął paradować dumnie po moim ramieniu, muskając piórka.

- I może od Przechery?

- Też. - Westchnąłem.

Nad lewą dłonią Dagdy przesunął się skrawek mgły. Zręcznym ruchem palców splótł

z niej złożony węzeł. Potem przytaknął zamyślony i posłał go dalej. Skierował wzrok z powrotem na mnie.

- Potem trafiłeś do podziemnego królestwa mojej starej przyjaciółki Urnaldy. Jest mądrzejsza, niż może ci się wydawać, o tym mogę cię zapewnić! Bez wątpienia ucieszyła ją okazja, żeby cię czegoś nauczyć.

- Nie jestem pewien. - Pokręciłem głową. - Byłem mało pojętym uczniem. Jednak w końcu, dzięki pomocy świetlnego latacza, udało mi się znaleźć duszę tej Pieśni.

- Którą jest?

Wskazałem na symbol pękniętego kamienia.

- Aby coś ochronić, najlepiej to uwolnić.

Dagda odchylił się do tyłu i spojrzał w górę na potężne korzenie Drzewa Duszy.

Kiedy podniósł brew, wzdłuż pnia podążyła spiralnie w górę smuga mgły.

- Następna lekcja, jak sądzę, była dla ciebie zaskoczeniem.

- Nazywanie. Zajęło mi sporo czasu - i skończyło się złamanym nożem - zrozumienie, że w

prawdziwym imieniu drzemie prawdziwa potęga. - Urwałem, zamyślony. - Czy Merlin jest moim prawdziwym imieniem?

Starzec pokręcił siwą głową.

- Czy w takim razie znasz moje prawdziwe imię?

- Tak.

- Zdradzisz mi je?

Dagda rozważał przez chwilę moją prośbę.

- Nie. Jeszcze nie teraz. Ale zrobię to. Jeżeli będzie nam dane spotkać się w mniej niefortunnych okolicznościach, kiedy odniesiesz zwycięstwo nad najpotężniejszym z wrogów, wtedy zdradzę ci twoje prawdziwe imię.

Zbladłem.

- Najpotężniejszym z wrogów? Masz na myśli Rhitę Gawra?

- Być może - odpowiedział Dagda i wskazał na gwiazdę w okręgu. - Teraz Skakanie.

- To niesamowita zdolność. Wielka Eluza użyła jej, żeby wysłać nas do krainy drzewołaków. Gwri o Złoty Włosach też z niej skorzystała, żeby przesłać Rhii wizję Studni do Zaświata. - Zniżyłem głos. - Również Rhita Gawr posłużył się nią, żeby zesłać na moją matkę cień śmierci.

Srebrzyste brwi uniosły się.

- Na twoją matkę?

Moje trzewiki przesunęły się niepewnie na spowitej mgłą ziemi.

- Nie. Na mnie. Ale zamiast na mnie urok padł na moją matkę.

- Czyli jaka jest dusza sztuki Skakania?

Moją uwagę przyciągnęła rozpościerająca się dokoła mgła. Z gracją falowała między Dagdą a mną i delikatnie dotykała nas, tak samo jak muskała odwrócone drzewo, obejmując wielkie korzenie, które z kolei obejmowały świat nad nami.

- Wszystko łączy się ze wszystkim - oznajmiłem.

- Dobrze, mój synu, dobrze. A teraz Eliminowanie.

- Tego nauczyłem się od śpiącego smoka. I od... błazna. - Uśmiechnąłem się lekko. -

Pokazali mi, że każde żywe stworzenie jest w jakimś sensie cenne.

Dagda nachylił się do mnie.

- Nawet smok?

- Nawet smok.

Dagda pogładził w zamyśleniu brodę.

- Tego smoka spotkasz jeszcze raz. Kiedy się zbudzi.

Wstrzymałem oddech. Zanim zdążyłem zadać jakieś pytanie, Dagda mówił dalej:

- Widzenie. Opowiedz mi teraz o Widzeniu.

Zastanawiając się nad sformułowaniem zdania, wbiłem język w policzek.

- Serce widzi to, czego nie widzą oczy - wyszeptałem w końcu.

- Hmm. Co jeszcze?

Pomyślałem chwilę.

- Teraz, kiedy wiem co nieco o widzeniu sercem, będę miał lepszy wgląd w siebie.

Głębokie brązowe oczy Dagdy przyjrzały mi się.

- A kiedy spoglądasz w głąb siebie, synu, co tam widzisz?

Odchrząknąłem, szykowałem się, żeby coś powiedzieć, ale zamilkłem. Szukałem przez chwilę właściwych słów, po czym oznajmiłem:

- To... no cóż, to trochę jak zejście do Studni do Zaświata. Im głębiej schodzę, tym więcej odkrywam.

- Odwróciłem się i dodałem pod nosem: - A to, co odkrywam, może być przerażające.

Starzec przyglądał mi się ze współczuciem.

- Co jeszcze widzisz?

- Jak niewiele tak naprawdę wiem. - Westchnąłem.

Dagda wziął mnie za rękę.

- W takim razie, Merlinie, poznałeś bezcenną prawdę.

Przyciągnął mnie bliżej do siebie na spowitym mgłą podłożu. Macki oparów objęły nas obu.

- Zaiste bezcenną! Do tej pory szukałeś dusz Pieśni. Ale świadomość, jak niewiele się wie - pokora - to jest, mój synu, dusza samej magii.

Przechyliłem głowę zdziwiony.

- Sądzę, że z czasem to w pełni zrozumiesz. Gdyż pokora to autentyczny szacunek dla wszelkich zaskakujących wspaniałości świata.

Przytaknąłem powoli.

- Jakbym słyszał Rhię - powiedziałem i spojrzałem raz jeszcze na jej bezwładne ciało, po czym zapytałem zaniepokojony: - Czy możesz ją uratować?

Dagda nie odpowiedział.

- Możesz?

Przez dłuższą chwilę przyglądał mi się w milczeniu.

- Nie wiem, mój synu.

Krtań zacisnęła mi się, jakby Balor nadal trzymał mnie w swojej potężnej garści.

- Byłem taki głupi! Wyrządziłem tyle zła.

Dagda wskazał palcem wijącą się wstęgę mgły, która natychmiast się wyprostowała.

W tym samym czasie zerknął na inną eteryczną smugę, która nagle zwinęła się w kłębek.

Potem odwrócił się do mnie i uśmiechnął ze smutkiem.

- Czyli udało ci się dojrzeć w sobie zarówno mrok, jak i światło. Smoka i gwiazdę.

Węża i gołębia.

Przełknąłem ślinę.

- Kiedy mnie przywitałeś, powiedziałeś, że być może poznam źródło twojej mocy. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że twoja moc jest spokojniejsza i subtelniejsza niż inne.

Choć kieruje nią twoja głowa i dłoń, wypływa ona z twojego serca. Tak naprawdę twoja moc to esencja siódmej Pieśni. Patrzyć nie oczami, lecz sercem.

Jego brwi uniosły się nieznacznie.

- Kiedyś - ciągnąłem szeptem - byłem gotów oddać wszystko, żeby tylko znów widzieć oczami. Nadal brakuje mi tego sposobu widzenia. Bardzo. Ale teraz wiem, że są inne sposoby, by widzieć.

Dagda ścisnął mnie delikatnie za rękę.

- Widzisz bardzo dobrze, Merlinie.

Puścił moją dłoń, po czym przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

- I powiem ci tyle. Choć spotkało cię wiele cierpień i to jeszcze nie jest ich koniec, czekają cię niesamowite i wspaniałe rzeczy, młodzieńcze. Naprawdę cudowne rzeczy.

XXXIV

ELIKSIR

Dagda skierował swoje głębokie oczy na połyskujący diamentami rosy pień drzewa.

Wiódł wzrokiem w górę, aż do sękatych korzeni, które gdzieś tam wysoko niknęły we mgle.

Zatrzymał na nich przez chwilę spojrzenie, jakby umiał przeniknąć mgłę i zobaczyć leżące za nią krainy. W końcu powiedział:

- Teraz wróćmy do twojej przyjaciółki, z którą łączą cię więzy krwi i miłości.

Sięgnął zdrową ręką do leżącej na podłożu spowitym oparami Rhii. Była nieruchoma i cicha, a z jej skóry i stroju uszło życie. Żołądek ścisnął mi się z lęku, gdyż obawiałem się, że jej ciało zbyt wystygło, by nawet największy z duchów mógł je ożywić. Czy Gwri nie mówiła mi, że Dagda przy całej swojej mocy nie umie wskrzesić umarłych?

Tymczasem on bardzo delikatnie podniósł jej bezwładną dłoń, zamykając przy tym oczy. Wyglądał, jakby wsłuchiwał się w odległy dźwięk. Potem, nie otwierając oczu, wydał

polecenie:

- Możesz ją wypuścić, Merlinie.

Zawahałem się, bo nagle ogarnął mnie lęk, że to musi oznaczać, że umarła. Kiedy jej duch mnie opuści, kiedy odleci, już nigdy nie zobaczę jej żywej. Choć tak bardzo pragnąłem usłyszeć znów jej śmiech, jeszcze bardziej obawiałem się, że wypuszczając ją, stracę ją na zawsze.

- Merlinie - powtórzył Dagda. - Nadeszła pora.

W końcu ją wypuściłem. Poczułem, jak głęboko wewnątrz mnie jej duch porusza się delikatnie. Potem zaczął ze mnie wypływać, na początku jak strużka wody, potem przybierając na sile, aż w końcu był jak rzeka niszcząca tamę. Moje niewidzące oczy zasły łzami, gdyż wiedziałem, że niezależnie od tego, czy Rhia przeżyje w swojej śmiertelnej postaci, nigdy już nie będziemy ze sobą tak blisko.

Powoli, bardzo powoli odetchnąłem. Pasma mgły zaplotły się w powietrzu między mną a Rhią, tworząc połyskujący most, który łączył nasze piersi. Lśniący most unosił się przez chwilę, po czym zniknął.

Wtedy zauważyłem ranę z boku głowy dziewczynki. Zaczęła się zamykać, lecząc od wewnątrz. Kiedy

skóra się zrastała, plamy krwi, teraz bardziej brązowe niż czerwone, wyparowały z jej loków, szyi, odzienia ze splecionych pnączy. Jej policzki zaczęły nabierać kolorów, a strój miękkości i zielona witalność powróciła do każdego liścia i każdej łodygi.

Palec wskazujący Rhii zadrżał, plecy wyprostowały się. W końcu otworzyły się jej szaroniebieskie oczy. Spojrzała na korzenie przyozdobione jemiolą i z trudem wciągnęła powietrze. Odwróciła się do Dagdy, uśmiechnęła się, po czym wyrzuciła z siebie:

- Mieszkasz z drzewem, tak samo jak ja!

Jej podobny do dzwoneczków śmiech rozbrzmiał echem. Dołączyłem do niej, a za chwilę usłyszeliśmy też donośny, serdeczny śmiech Dagdy. Kiedy starzec zatrzęsł się ze szczęścia, wielkie drzewo też zaczęło się kołysać na zamglonej równinie. Spadły kropelki rosy, kręcąc się i połyskując w powietrzu. Nawet siedzący na moim ramieniu Kłopot zagwizdał radośnie. Wydawało mi się, że cały wszechświat śmieje się razem z nami.

Rhia podniosła się i odwróciła do mnie, a jej oczy były pełne życia.

- Merlinie, udało ci się. Uratowałeś mnie.

- Nie. To Dagda cię uratował.

- Dzięki twojej pomocy, młodzieńcze. - Starzec odsunął z czoła kilka siwych włosów.

- Z taką miłością przechowując w sobie jej ducha i niosąc jej ciało, to ty ocaliłeś ją przed śmiercią na tyle długo, żebym mógł ją odratować.

Spojrzał na Rhię.

- Ty też pomogłeś.

- Naprawdę?

Starzec przytaknął powoli.

- Twój duch jest świetlisty, Rhio. Wyjątkowo świetlisty. Masz w sobie moc życia, która jest równie potężna jak ta, którą umieściłem w jednym ze Skarbów Fincayry, w Kuli Ognia.

Rhia zaczerwieniła się.

Przypomniałem sobie połyskującą pomarańczową kulę, którą uratowałem z ruin Spowitego Zamku.

- Ona ma coś wspólnego z leczeniem, prawda?

- Owszem, z leczeniem. Ale duszy, nie ciała. Gdyż Kula Ognia w rękach mądrej osoby może wskrzesić nadzieję i radość, a nawet wolę życia.

Dagda odwrócił się do mnie.

- Ty, Merlinie, wiesz najlepiej, jak jaskrawo świeci duch twojej siostry.

Zdałem sobie sprawę, że ciągle czułem w swoim wnętrzu ślad po duchu Rhii.

Zachowałem w głębi siebie kawałek swojej siostry. I wiedziałem, że już zawsze będzie mi towarzyszył.

- Tak - oznajmił słabowity, siwy mężczyzna. - Twoje szkolenie na czarodzieja dopiero się zaczęło. Jednak zetknięcie się z mądrością i duchem twojej siostry było jego częścią.

Ważną częścią.

- Można by powiedzieć, że było moją ósmą Pieśnią.

- Owszem.

Spojrzałem na Rhię.

- Aylah próbowała mi to przekazać, ale nie zrozumiałem. Jednak teraz wydaje mi się, że mam pewne pojęcie.

Rhia dotknęła amuletu.

- Albo że masz... instynkt.

Kłopot zagdakał, co zabrzmiało jak śmiech.

Przesunąłem dłoń przez unoszącą się mgłę i poszukałem twarzy Dagdy.

- Instynkt mi mówi, że Fincayra jest moim prawdziwym domem. A jednak... Inny instynkt twierdzi, że wcale nie. Który z nich ma rację?

Starzec uśmiechnął się smutno.

- Ach, dalej się uczysz. Tak jak prawdziwa miłość często splata ze sobą radość i smutek, prawdziwy instynkt nierzadko miesza ze sobą przeciwstawne uczucia. Jednak w tym wypadku mogę ci pomóc. Ludziom nie jest przeznaczone żyć długo na Fincayrze. Nawet jeżeli czujesz się tu jak w domu, pewnego dnia będziesz musiał powrócić na Ziemię. Możesz zatrzymać się na tej wyspie jeszcze chwilę, gdyż masz tu zadanie do wykonania, ale koniec końców będziesz musiał nas opuścić.

Zagryzłem wargę.

- Nie możesz pozwolić mi zostać?

Dagda pokręcił głową ze współczuciem w oczach.

- Mógłbym, ale tego nie robię. Światy nie mogą się stykać, gdyż każdy upleciony jest z innej tkaniny i ma własną duszę, co trzeba uszanować. - Westchnął poważnie. - Dlatego muszę się zmagać z Rhitą Gawrem na tyłu frontach. On najchętniej rozerwałby tkaniny Zaświata, Ziemi i Fincayry, żeby zapleść je ponownie według własnego pokrętnego planu.

Zależy mu wyłącznie na tym, żeby zapanować nad wszystkimi światami tak jak nad swoim królestwem.

- Czy to dlatego Fincayranie stracili skrzydła? - zapytała Rhia, zerkając na kłębiące się chmury. - Zapomnieli, jak szanować tę tkaninę?

- Twoje instynkty są rzeczywiście silne, Rhiannon. Jesteś na właściwym tropie, ale resztę musisz odkryć sama.

- Dagdo, czy mogę cię o coś zapytać? - Urwałem, szukając właściwych słów. - Jest pewna przepowiednia. Mówi ona, że tylko dziecko zrodzone z człowieka pokona Rhitę Gawra albo jego sługi. Czy to prawda? A jeżeli tak, czy to dziecko zrodzone z człowieka jest jednym z nas?

Starzec przebiegł dłonią po wiszącej nieopodal gałęzce jemioly.

- Choć nie mogę ci wyjaśnić wszystkiego, co chciałbyś wiedzieć, powiem tyle. Ta przepowiednia ma wielką wagę. Jednak choć to twoja siostra pokonała Balora, Rhitę Gawra możesz powstrzymać w Fincayrze tylko ty.

Chciałem przełknąć ślinę, ale moja krtani znów się zacisnęła. Nagle przypomniałem sobie wnikający do gardła Elen cień śmierci. Kiedy się odezwałem, z moich ust wydobył się szept.

- Jeżeli mam zginąć w walce z Rhitą Gawrem, musisz mi coś powiedzieć. Czy jest jakiś sposób - jakkolwiek - żeby nasza matka przeżyła?

Zaniepokojona Rhia przeniosła wzrok ze mnie na Dagdę. Kłopot chodził nerwowo po moim ramieniu, trzepocząc skrzydłami.

Starzec wziął głęboki oddech.

- Masz jeszcze czas, choć niewiele. Tylko kilka godzin dzieli nas od końca ostatniej kwadry księżyca. Wraz z nią odejdzie twoja matka.

- Elik sir - poprosiłem. - Możesz go nam dać?

Dagda sięgnął w dół do grubej gałęzi. Koniuszkiem palca dotknął ostrożnie kropli rosy. Kiedy się oderwała, przykrył czubek palca cienkim połyskującym naczynkiem.

Pozostałymi palcami zdjął naczynie. Stało na jego dłoni jak maleńka kryształowa fiolka.

Skrzywił się i w tej samej chwili mała fiolka napełniła się kroplą czerwonego płynu. Krwią samego Dagdy. Kiedy była pełna, zamknęła się szczelnie.

- Proszę. - Mówił niewyraźnie, jakby zmęczony tym, co zrobił. Drżąc lekko, wręczył

mi fiolkę. - Weź.

Kiedy chowałem Elik sir do skórzanej torby, poczułem, jak szpony Kłopot a wbijają się w moje ramię. Miękkie pióra sokoła musnęły mi kark.

Dagda wiedział, o co chcę zapytać, zanim otworzyłem usta.

- Nie, Merlinie, on nie może ci towarzyszyć. Twój przyjaciel Kłopot oddał swoje doczesne życie w Spowitym Zamku, żeby ocalić twoje. Teraz tu jest jego miejsce.

Sokół zagwizdał cicho. Kiedy mgła zakłębiła się wokół nas, jego oczy w żółtych obwódkach spojrzały na moje. Ostatni raz wymieniliśmy spojrzenia.

- Kłopocie, będę za tobą tęsknił.

Ptak jeszcze raz musnął mi szyję, po czym powoli się odsunął.

Na twarzy Dagdy również widać było ból.

- Być może nie zrobi ci się teraz od tego lżej na sercu, Merlinie, ale wiedz, że pewnego dnia, w innej krainie poczujesz na ramieniu chwyt szponów innego ptaka.

- Nie chcę innego ptaka.

- Rozumiem - powiedział starzec i wyciągnął do mnie swoją sprawną rękę, by pogładzić mój policzek. - Obawiam się, że nasze ścieżki w tym miejscu się rozchodzą. Choć nikt nie wie, którądy mogą prowadzić.

- Nawet ty?

- Nawet ja - przyznał Dagda i podniósł z mojego ramienia opończę z jemioly. - Idź

teraz, moje dziecko, i bądź dzielny.

Ostatni skrzek Kłopot a zabrzmiał mi w uchu, a kłęby mgły zakryły mnie jak fala, wchłaniając wszystko.

XXXV

LASKA CZARODZIEJA

Po błysku wszystko zakryła ciemność. Jedyne światło dochodziło z garstki gwiazd nad naszymi głowami. Nadal klęczałem, a Rhia siedziała obok mnie. Mgłę zastąpiły postrzępione skały i strome urwiska, a na miejscu Drzewa Dusza stał krąg wypolerowanych kamieni.

Nieopodał w bezruchu i ciszy leżały zwłoki wielkiego wojownika. Wziąłem Rhię za rękę.

- Jesteśmy przy wejściu do Studni.

- Prawda jak sto pięćdziesiąt. - Z prawie zupełnego mroku wyłoniła się zgarbiona postać Bambulo. - Nie sądziłem, że uda ci się wrócić. I widzę, że przyniosłeś z powrotem ciało...

- Rhii - przerwała dziewczynka. - Całej i zdrowej.

Bambulo zmarł. Nawet w półmroku widziałem, że zrobił wielkie oczy. Potem przez chwilę jego usta i podbródki ułożyły się w uśmiech. Trwał zaledwie ułamek sekundy, ale byłem pewien, że błazen naprawdę się uśmiechnął.

Odwróciłem się w stronę nieba, szukając śladów księżyca. Nic jednak nie widziałem.

Zupełnie nic.

Zagryzłem wargę. Gdybym tylko nie zmarnował cennego czasu przez Rhię Gawra.

Rhia nagle wskazała na połyskujące światło, które wyłoniło się właśnie zza chmury.

- Och, Merlinie! To wszystko, co zostało z księżyca. Do świtu zupełnie zniknie!

Skoczyłem na równe nogi.

- A nasza matka umrze, chyba że dotrzemy do niej na czas.

- Ale jak? - Rhia wstała, patrząc na południowe niebo. - Arbassa jest tak daleko stąd.

Jakby w odpowiedzi cała grań nagle zadrżała. Potem nadszedł kolejny wstrząs, jeszcze silniejszy. Kolejny. I kolejny. Z obu stron urwiska posypały się na nas kamienie.

Wyciągnąłem zza pasa laskę i oparłem się na niej dla równowagi. Wtedy mój magiczny wzrok dostrzegł wylaniający się na horyzoncie kolejny kształt. Niczym rosnące szybko wzgórze zasłonił on gwiazdy. Wiedziałem, że to nie jest wzgórze.

- Shim! - krzyknąłem. - Jesteśmy tutaj!

Chwilę później nasza trójka miała nad sobą postać olbrzyma. Jego stopy zachręściły o kamienie i Shim opuścił ku nam wielką dłoń. Rhia i ja szybko się na nią wdrapaliśmy, a za nami niechętnie podążył Bambulo.

Pod kartoflowatym nosem Shima pojawił się krzywy uśmiech.

- Ciesz się, że wy żyje.

- Ciesz się go, że nas zje! - zajęczał Bambulo, ściskając z nerwów płaszcz. - Przyszedł

nas zjeść.

- A nas cieszy, że ty żyjesz! - odparłem, ignorując błazna.

- Skąd wiedziałaś, że jesteśmy w potrzebie? - zapytała Rhia. - I gdzie nas znaleźć?

Shim uniósł rękę i wyprostował się. Choć starałem się utrzymać równowagę, przewróciłem się na miękką powierzchnię dłoni, o mało nie wpadając na skulonego Bambula.

Za to Rhia usiadła obok nas z gracją lądującego łabędzia.

- Ja jest najsenniejszy, zaśnił o... - Olbrzym urwał i wyduł olbrzymie wargi. - Nie pamięta! Tak czy siak, sen zmienia się w ptaka. Sokoła, jak ten, który kiedyś siedzi ci na ramieniu, tyle że cały jest białoszary, a nie brązowy.

Skrzywiłem się. Czulem stary ból między łopatkami i nowy ból w sercu.

- Wtedy sokół na mnie skrzeczy, tak głośno, że się budzi. - Shim zmarszczył nos. - Z

najsilniejszym uczuciem, że musi was znaleźć! I zobaczy w głowie najdziwniejszy obraz, dokąd ma iść.

Rhia uśmiechnęła się.

- Ten sen wysłał do ciebie Dagda.

Krzaczaste brwi olbrzyma uniosły się.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem, Shimie! Teraz zabierz nas do Arbassy -

powiedziałem i zerknąłem na resztkę znikającego księżyca. Wydawał mi się jeszcze bledszy niż przed chwilą.

Zawiał przenikliwy wiatr, który zatrzepotał moją tuniką jak żaglem, a Shim obrócił się i zaczął wracać ciężkim krokiem po wzgórzach Zaginionych Ziemi. Trzema, czterema krokami pokonywał stoki, na które my wchodziliśmy wiele godzin, a jego włochate stopy chrzęściły na kamieniach. Zaraz po zejściu do doliny prawie od razu przekraczał kolejny łańcuch. Po chwili poczuliśmy dym i wiedziałem, że dotarliśmy do żlebu śpiącego smoka.

Kiedy Shim skręcił na południe, żeby przepawić się przez kanał, zakotłowała się wokół nas mroźna mgła. Różowe oczy olbrzyma zalśniły.

- Nie mówi wam, że ma nadzieję, że się kiedyś z wami przepawi? - Jego śmiech rozszedł się po falach, które uderzały mu o nogi. - Najpewniej, najzdecydowaniej, najstuprocentowiej.

Żadne z nas nie podzielało jednak jego radości. Bambulo trzymał się za brzuch, mamrocząc coś o śmierci wielkiego błazna. Z kolei Rhia i ja wpatrywaliśmy się w nocne niebo, pilnując szybko

ubywającego księżycyca.

Z przemieszczających się w mroku odgłosów i zapachów, jak również z rytmu kroków Shima wywnioskowałem, że zmieniło się podłoże. Po wyjściu z kanału olbrzym pomaszerował po wznoszącym się wybrzeżu i sprawnie wdrapał się na wzgórza. Wkrótce, w miarę jak teren robił się coraz bardziej stromy, kroki Shima stawały się krótsze. Dotarliśmy do zaśnieżonych wierzchołków nieopodal miasta Varigal. W pewnej chwili wydawało mi się, że słyszę śpiewające w oddali basowe głosy, choć dźwięk szybko ucichł.

Górskie powietrze zasnuło się mgłą i wilgocią, po czym zeszliśmy do labiryntu wzgórz i bagien. Wiedziałem, że gdzieś nieopodal znajduje się kryształowa jaskinia Wielkiej Eluzy. Czy wielka pajęczycyca pilnowała tam teraz Skarbów Fincayry? Czy wyruszyła na polowanie na zjawy i gobliny, żeby zaspokoić swój bezgraniczny apetyt?

Trzaski i pęknięcie gałęzi pod nami oznaczały, że wchodzimy do Lasu Druma.

Intensywny zapach żywicy podrażnił mi nozdrza. Gigantyczne cienie, niektóre tak wysokie jak olbrzym, który nas niósł, sięgały nieba. Przypomniałem sobie marzenie Shima, z którego niegdyś mi się zwierzył. Aby być wielki jak największe drzewo.

Jego życzenie bez wątpienia się spełniło. Siedząc na wielkiej dłoni, błagalnie wpatrywałem się w połyskujący wysoko nad nami znikający księżyc. I byłem coraz bardziej przekonany, że mojemu najskrytszemu marzeniu nie będzie dane się ziścić.

Kiedy zacząłem mieć wątpliwości, czy w ogóle jeszcze widać księżyc, czy już tylko wyobrażam sobie jego bladą poświatę, wyrósł przed nami kolejny cień. Wyższy i potężniejszy od innych, wznosił się równie majestatycznie jak Drzewo Duszy Dagdy. Oto, nareszcie, ujrzeliśmy Arbassę. W olbrzymich konarach lśniącego jak gwiazda drzewa był

domek, w którym czekała Elen o Szafirowym Spojrzeniu.

Shim schylił się i położył dłoń na grubych korzeniach dębu. Chwyciłem laskę i skoczyłem na ziemię, a w moje ślady poszli Rhia i potykający się Bambulo. Wykrzyknąłem do Shima podziękowanie, po czym zwróciłem się do Arbassy, mając nadzieję, że tym razem drzewo wpuści mnie bez oporu.

Z olbrzymiego pnia doszedł niski, rżący odgłos. Kora zmarszczyła się, popękała i rozwarła. Wpadłem do środka. Pognałem na górę po dwa schodki naraz, nawet nie zerkając na runy na ścianach. Kiedy przedarłem się przez zasłonę z liści na szczycie schodów, Ixtma, wiewiór o dużych oczach, wrzasnął. Obrócił się, upuszczając na podłogę półmisek z wodą.

Potem zobaczył wbiegającą za mną Rhię i rzucił się do niej, trajkocząc hałaśliwie.

Elen leżała z zamkniętymi oczami na podłodze, tam gdzie ją zostawiliśmy. Głowę miała wspartą na tej samej poduszce o zapachu sosny, a jej pierś zakrywał ten sam mieniący się koc. Jednak kiedy odłożyłem laskę i ukląknąłem przy jej boku, widziałem, jak wiele się zmieniło. Jej niegdyś kremowe policzki były bielsze niż wysuszone kości, a na jej czole rysowały się bruzdy cierpienia. Wydawała

się dużo chudsza, wymizerowana jak znikający księżyc. Przyłożyłem swoją głowę do jej piersi w nadziei, że usłyszę bicie serca, ale bez skutku. Dotknąłem jej popękanych warg, licząc, że poczuję choćby najlżejszy oddech, ale nic z tego.

Rhia przyklękła koło mnie, a jej twarz była prawie tak blada jak twarz naszej matki.

Przyglądała się bez ruchu, jak sięgam do torby i wyciągam fiolkę z Elikirem, która w dochodzącym z paleniska świetle błysnęła jaskrawą czerwienią, kolorem krwi samego Dagdy.

Cały pokój mienił się odcieniami szkarłatu.

Zdyszany wlałem Elikir do ust mojej matki. Błagam cię, Dagdo, nie pozwól, by było za późno. Nie pozwól jej umrzeć.

Nie zauważyłem, jak Ixtma jęknął, owijając puchaty ogon wokół nogi Rhii. Ani jak do pokoju wszedł Bambulo, kręcąc posępnie głową. Ani kiedy pierwsze blade promienie świtu musnęły liście na wychodzących na wschód oknach. Ale każdą cząstką mojego bytu chłonałem moment, w którym moja matka otworzyła oczy.

Kiedy zobaczyła Rhię i mnie, krzyknęła zaskoczona. Na jej policzki wystąpiły odcienie różu. Ostrożnie wciągnęła powietrze i z wysiłkiem uniosła do każdego z nas ręce.

Chwyciliśmy jej dłonie w nasze, ściskając żywe ciało. Oczy zasły mi łzami, a Rhia szlochała cicho.

- Moje dzieci.

Rhia uśmiechnęła się przez łzy.

- Jesteśmy tu... Matko.

Elen zmarszczyła nieznacznie czoło.

- Wybacz mi, dziecko, że nie powiedziałam ci, zanim wyruszyliście. Pomyślałam, że jeżeli umrę, to będziesz za bardzo cierpieć.

- Nie musiałaś mi mówić. - Rhia dotknęła amuletu z dębu, jesionu i głogu na piersi. - I tak wiedziałam.

Trąciłem ją i uśmiechnąłem się.

- Wszystkiego, co wie o instynkcie, nauczyła się ode mnie.

Zaśmialiśmy się, matka, córka i syn, jakby nie było tylu lat rozłąki. Bo nawet jeżeli pewnego dnia mieliśmy znów się rozstać, w tej chwili nasze serca wypełniała prawda, której nic nie mogło zmienić. Tego dnia siedzieliśmy o świcie wśród gałęzi wielkiego drzewa.

Nareszcie razem.

Dużo jeszcze było śmiechu i rozmów, zanim postanowiliśmy zjeść obfite śniadanie: orzeszki Ixtmy maczane w miodzie z herbatą z rozmarynu okraszona dużą porcją mięty.

Dopiero po piątej dokładnie dostrzegłem lśniący obiekt przy palenisku. Harfa Kwitnienia z połyskującymi strunami stała oparta o ścianę z żywego drewna. Nagle mnie zatkało. Za Harfą leżało kilka innych przedmiotów. Przyglądałem im się oniemiały, oblizalem palce z miodu i podszedłem do nich.

Nie mogłem uwierzyć, ale były tu wszystkie Skarby Fincayry! W domku Rhii.

I tak w półmroku połyskiwał Zaklinacz Marzeń, wspaniały róg, o którym Cairpré opowiadał mi kiedyś, że może sprawić, iż ziszczą się marzenia. Obok leżał miecz Głębotnij z podwójnym ostrzem, Kiedy sięgnąłem, żeby dotknąć jego rękojeści, wisząca u mojego pasa wspaniała klinga zadźwięczała cicho, przypominając, że mój miecz również miał niezwykle przeznaczenie. Przy splecionych konarach ściany spoczywał słynny pług, który orał własne pole. Obok stała motyka, która pielęgnowała swoje nasiona; piła, która cięła tylko tyle drzewa, ile było trzeba; i reszta Mądrych Narzędzi, oczywiście oprócz tego, które zaginęło.

Przez chwilę zastanawiałem się, co to za narzędzie i gdzie mogło teraz być. Potem moją uwagę zwrócił ostatni przedmiot - Kula Ognia. Pomarańczowa sfera lśniła jak jaskrawa pochodnia. Albo, jak powiedziała Dagda, niczym promienny duch.

- Skarby - powiedziałem na głos, nie mogąc oderwać od nich wzroku.

Rhia, która dołączyła do mnie bez słowa, wzięła mnie za rękę.

- Ixtma powiedział mi, że Wielka Eluza przyniosła je tu niedługo przed naszym przybyciem.

Wiewiór zaszczębiotał coś gniewnym tonem i Rhia uśmiechnęła się.

- Przypomniał mi, że Eluza zostawiła je na polanie przed Arbassą. Ponieważ była zbyt duża, żeby wnieść Skarby do środka, poprosiła - a właściwie rozkazała - żeby Ixtma i jego rodzina zajęli się tym.

Zdziwiony przebiegłem palcem po dębowym pudle Harfy.

- Dagda musiał wysłać Wielkiej Eluzie wiadomość tak jak Shimowi. Ale dlaczego?

Skarby były bezpieczne w jej kryształowej jaskini. Zgodziła się ich strzec cały czas.

- Nie cały czas. Tylko do chwili, kiedy znajdzie kogoś na tyle mądrego, żeby wybrał

odpowiednich strażników dla każdego Skarbu. Przed epoką Stangmara należały one do wszystkich Fincayran. Wielka Eluza wierzy, że tak powinno być znowu. A ja się z nią zgadzam.

Pokręciłem głową jeszcze bardziej zdezorientowany.

- Ale kto jest na tyle mądry, żeby wybrać strażników? Z pewnością Wielka Eluza zrobiłaby to najlepiej.

Rhia przyglądała mi się z uwagą.

- Ona ma na ten temat inne zdanie.

- Nie chcesz przez to powiedzieć...

- Tak, Merlinie. Chce, żebyś ty się tym zajął. Jak powiedziała Ixtmie: Na Fincayrze znów mamy czarodzieja.

Przełknąłem ślinę i spojrzałem raz jeszcze na ustawione przy ścianie przedmioty.

Każdy z nich, niezależnie od kształtu, rozmiaru czy budulca, posiadał w sobie magię, która mogła wzbogacić życie wszystkich mieszkańców Fincayry.

- To co masz zamiar zrobić? - zapytała z uśmiechem Rhia.

- Nie mam pojęcia.

- Musisz mieć jakiś pomysł.

Schyliłem się i podniosłem z podłogi laskę. Laskę czarodzieja.

- No cóż... Myślę, że Zaklinacz Marzeń powinien trafić do Cairprégo, najmądrzejszego z bardów.

Wskazałem na Bambula, który opychał się ciągle orzechami i miodem.

- A pewien ponury błazen zasłużył na zaszczyt doręczenia poecie tego instrumentu.

Rhia uśmiechnęła się nieco szerzej.

Szykując się do swojego nowego zadania, złapałem pług, który orze własne pole.

- Nie jestem pewien, co zrobić z resztą Mądrych Narzędzi. Ale jeśli idzie o ten pług, to znam mężczyznę o imieniu Honn, który właściwie go wykorzysta. I chętnie będzie się nim dzielił.

Potem nachyliłem się i wziąłem Kulę Ognia. Zważyłem ją w dłoni i poczułem jej pulsujące ciepło. Bez słowa wręczyłem ją Rhii, której liściasty strój zaczął się mienić pomarańczowym światłem. Zrobiła zaskoczoną minę.

- Dla mnie?

- Dla ciebie.

Zacząła protestować, ale jej przerwałem:

- Pamiętasz, co powiedział nam Dagda? Kula Ognia przywróci nadzieję, radość i nawet wolę życia. Powinna zająć się nią osoba, której duch świeci równie jaskrawo jak ona.

Oczy Rhii załśniły, kiedy przyglądała się kuli.

- Dałeś mi coś znacznie cenniejszego od niej. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

W końcu dziewczynka wskazała na Harfę Kwitnienia.

- A co z nią?

Uśmiechnąłem się.

- Chyba powinienem odwiedzić dwójkę staruszków z ogrodem, który kwitł na samym środku Rdzawych Pól, kiedy wszystko dokoła dogorywało.

- Teilana i Garlatę?

Przytaknąłem.

- I tym razem, kiedy zaniosę Harfę do ich domu, nie będę od nich wymagał niczego ponad to, żeby przyjęli mnie jak swojego przyjaciela. - Raz jeszcze dotknąłem dębowego pudła. - Jednak najpierw sam muszę pochodzić z Harfą. Zostało mi trochę pracy na Mrocznych Wzgórzach.

Kiedy Rhia uniosła wzrok i spojrzała na rozłożyste konary Arbassy, jej twarz promieniała.

- Tak się składa, że mnie również.

- Naprawdę? - Zmarszczyłem brwi. - A co ty tam masz do zrobienia?

- Jestem przewodniczką. Mam brata, który bez przerwy błądzi.

Table of Contents

[n* - po](#)

